

CZY ROSJA PRZEJMIE ZŁOŻA POLSKIEGO GAZU?

Chciwość jest dobrą

ZBIGNIEW MACHOWSKI



Wojna bankierów, wywiadów i zwykłych ludzi

Machowski Zbigniew

Chciwość jest dobra

Trwa światowy kryzys finansowy i gospodarczy. Tymczasem wokół Rosji, przede wszystkim w Polsce, odkryto wielkie, nowe pokłady gazu. Niezmierzone zasoby surowca mogą uniezależnić Polskę i innych odbiorców rosyjskiego gazu od Moskwy, odciąć Rosji główne źródło dochodów, pozbawić ją wpływów politycznych. Rosji zagrozi bankructwo i wewnętrzny chaos. A wtedy kolos na glinianych nogach runie w gruzy. Na to elita polityczno-finansowa Rosji nie może pozwolić. Do akcji wchodzi tajne służby...



*Chciwość jest dobra. Chciwość przynosi rezultaty.
Chciwość wyjaśnia, przenika i wyraża esencję ducha postępu.*

Chciwość, we wszystkich postaciach

- życia, pieniądza, miłości, wiedzy*
- popycha w górę rozwój ludzkości*

Z filmu „Wall Street” Olivera Stone'a

Podobno W chwili Śmierci przesuwały się przed oczami obrazy z całego życia. Nieprawda. Gdy nagle uderzenie w pierś rzuciło Andriejem Blazowem o ziemię, nie zobaczył całego życia, nie zobaczył choćby jednego wydarzenia, którego wspomnienie powinien zabrać w ostatnią podróż. Zobaczył tylko na tle palm deptaku Phinikoudes i starego meczetu Larnaki twarz, której już nigdy nie chciałby oglądać. Usłyszał oddalający się warkot samochodu i słodki przebój rosyjskiego boysbandu. Żałosne pożegnanie.

Rozdział 1

Wilno, styczeń 1991

- Ciii, kochanie, ciii... - Rozdzierający płacz dziecka wypełnia całe mieszkanie, przenika przez ściany, podłogę, sufit. Dwuletnia dziewczynka bije powietrze rączkami i nóżkami.

Jest już po północy. Pani Wiera, ta stara żoła z dołu, ma mało życzliwości i słabą wytrzymałość. Buch! Buch! Buch! - wali kijem od szczotki w sufit i złorzeczy. Anna nie rozpoznaje przekleństw, bo litościwa podłoga zatrzymuje potok złości tej starej wiedźmy. Tak samo było przed dwoma tygodniami, gdy obchodzili Nowy Rok 1991. Też waliła kijem od szczotki. Ale teraz? Dziecko chore. Co za ludzie? Maleństwo nie domagało już od paru dni. Aż tu nagle gorączka 40 stopni! Grypa? Angina? A Andriej w pracy od samego ranka. Kiedy wróci?

Anna wie, co się dzieje w Wilnie. Ruchawka w całym kraju. Litwa ogłasza niepodległość. To koniec ZSRR? Dałby Bóg! Ale co będzie z Andriejem?

Patrzy na córeczkę, a ona raz czerwona od płaczu, to znów biała. Na przemian. Tchu jej brak, dusi się. Boże! Trzeba do lekarza, nie ma na co czekać! Nasza córeczka, nasza jedyna. Wyczekana!

Szczęście, że po Andrieja przysłali samochód („- Pułkownik Blazow, kierowca czeka”), więc ich łada stoi pod blokiem. Szybko ubrać Wandzię: kaf-

tanik, kombinezon zimowy, czapeczka, buciki -i do auta. Anna bierze dziecko na ręce, już jest przy drzwiach. Wraca - jeszcze picie i pieluchy! Wandzia płacze, wyrywa się.

Zima łagodna, ledwie trochę śniegu, ale drzwi auta zamrożnięte. Jak tu wyszarpać je z lodu z dzieckiem na rękach? Ciągnie z całych sił raz i drugi. Wreszcie puściły. Wkłada dziecko do fotelika. Wandzia krzyczy pozbawiona ramion i ciepła matki. Szybciej, szybciej! Na szczęście silnik odpala. Rusza.

Wileński szpital niedaleko, trzeba przejechać ulicą obok wieży telewizyjnej. Wszędzie pełno ludzi. Tłum narasta. Przebić się trudno. Zatrzymują samochód. Wałą w okna. Krzyczą: - Rosjanie atakują Wilno! Specnaz! Spadochroniarze! Czołgi!

- Boże miłosierny! Wojna?!

Musi się wydostać z tej ulicy. Natychmiast. Skręca w lewo. Dziecko krzyczy z gorączki i przerażenia.

Naprzód! Naprzód!

Słyszą strzały. Koła buksują. Anna przyśpiesza. Piszczą opony łady. Znów gwałtownie skręca w przecznicę. Koła nie trzymają się już śniegu. Nie odpowiadają na szarpnięcia kierownicą. Z naprzeciwka wyjeżdżają czołgi. Jezuuu!!! Nieee!!! Moje dziecko!!!

Uderzenie w pancerz miażdży samochód. Czołg nie może się zatrzymać. Auto i czołg jadą jeszcze razem pchane stalowymi gaśnienicami...

Później

I wtedy, w nocy, zobaczył diabła. Tak właśnie opowiadał potem o tamtym zdarzeniu, takich właśnie słów używał, chociaż wcale nie był pewien, czy to było w nocy. Dobre żaluzje szczelnie zasłaniały okienne szyby, nie pozostawiając nawet szczeliny, która pozwoliłaby jakiemuś nachalnemu promieniowi słońca beczelnie wtargnąć do wnętrza sypialni i ugodzić boleśnie w jego oczy, w jego rozpacz. Dlatego nie wiedział na pewno, czy to był dzień, czy noc, choć raczej sądził, że noc - diabły przecież nie przychodzą za dnia.

Leżał nieruchomo na łóżku gwałtownie wybudzony z płytkiego, chropawego snu. I wtedy go zobaczył. Tak mówił, żeby było prościej, choć wcale nie było prościej, bo słuchacze od razu zbaczali na manowce wyobraźni, przywołując w myślach czarną postać z rogami i kopytami.

A to nie tak. To błąd. Nie o to chodzi.

W rzeczywistości nie widział diabła: nie widział ani czarnej postaci, ani zakręconych czy prostych rogów, nie widział kopyt i włochatych nóg ani obrzydliwego, oślizłego ogona zwieńczonego kitką. Ale to nie znaczyło wcale, że tamtej nocy diabeł nie przyszedł do niego, że można jego przyjście skwitować lekceważącym słowem *halucynacja*.

Właśnie że diabeł przyszedł, on poczuł go, prawie zobaczył; jakiś ruch pozornie nieruchomych cząsteczek powietrza niosący strach, od którego krzepły ciało i myśli. Czuł obezwładniającą pustkę, czuł siebie zawieszoną w przestrzeni szatańskiej potęgi,

przeżalonego, ale cudownie, obiecująco bezwolnego. Przepelniający go koktajl strachu i kojącego spokoju poddaństwa mącił otępiałe zmysły, krążył po całym ciele żyłami nabrzmiętymi czarną krwią i wylewał się przez usta okrzykiem: - Szaaatan niech będzie pochwalooony!

- Czy lepiej już? Lepiej się czujesz?

- Doktor Friedman odjechał biurowym fotelem na kółkach w stronę okna, odchylił plecy do tyłu i założył nogę na nogę.

Blazow siedział przed nim nieruchomo, odgradzony niewidzialną ścianą psychotropów. Wpatrywał się w biały fartuch doktora, spod którego wystawał kołnierzyk koszuli w granatowe paski.

- Co czujesz? - Friedman spytał po chwili.

- Nic nie czuję. Pustkę czuję, jeśli można w ogóle czuć coś, czego nie ma. Można? - Podniósł wzrok z koszuli doktora i niepewnie spojrzał mu w oczy.

- Można. - Lekarz uśmiechnął się łagodnie.

- Widzę, że jesteś w lepszej formie.

Blazow milczał, usta miał zaciśnięte, a mięśnie policzkowe napięte tak mocno, że niemal przebijały skórę. Muszą sprawiać mu ból - pomyślał Friedman. Słyszał miarowy świst jego płytkiego, szybkiego oddechu, który wydobywał się przez nozdrza.

- Pamiętasz, co się stało? - Zapytał lekarz po chwili milczenia.

- Tak... Muszę.

Kościste dłonie chorego, leżące symetrycznie na obu udach, naprężyły się. Palce rozczapierzone jak szpony ptaka wbijały się paznokciami w błękitnoszare nogawki piżamy.

- A pamiętasz, co było później?

- Trochę...

- Co czujesz, gdy o tym myślisz?

Mężczyzna milczał. Wpatrywał się w gałęzie starej sosny rosnącej za oknem. Konary wyginały się mocno, uderzane gwałtownymi podmuchami silnego wiatru, który docierał aż do gabinetu, stukając o ścianę

ramą otwartego okna i podrywając rogi kartek w rozłożonym na biurku skoroszybie doktora Friedmana.

Po dłuższym milczeniu pacjent przestał obserwować wyczyny wiatru, znów spojrzał na lekarza.

- Czuję wdzięczność - powiedział.

Na twarz doktora wypłynęło niezdarnie maskowane zdumienie.

- Wdzięczność? - spytał z niedowierzaniem, jakby nie dosłyszał, co przed chwilą oznajmił pacjent, mimo że dzieliła ich tylko szerokość blatu prostego biurka z jasnej sklejki.

- Tak, wdzięczność: dla całej Federalnej Służby Bezpieczeństwa, za wsparcie, i dla generała Tokariewa w szczególności, za piękne przemówienie na cmentarzu - rzekł powoli, prawie sylabizując.

Doktor poruszył się niespokojnie, w fotelu i przysunął do biurka. Spojrzał na podrygujące w takt podmuchów wiatru kartki, po czym sięgnął po zielony wazon z bukietem żółtych tulipanów stojący w rogu biurka i stanowczym ruchem postawił go na brzegu notatnika.

- Jeszcze trochę u nas zostaniesz - powiedział, uśmiechając się samymi wargami, z wyraźnym wysiłkiem. - Odpoczniesz, dojdiesz do siebie.

Pacjent podniósł wzrok z kolan i spojrzał doktorowi w oczy. - Na pana miejscu nie robiłbym tego. Może być nieszczęście - przestrzegł. A potem wskazał wzrokiem na wazon, który zachybotał niebezpiecznie pod wpływem kolejnego podmuchu.

Rozdział 11.

Moskwa

Wysypana żwirem parkowa alejka przecina rzadki sosnowy las, a potem, przy wielkim narzutowym głazie, wychodzi na rozległą polanę. Dalej, po kilkudziesięciu metrach, za stylową latarnią skręca w prawo i pnie się ostro pod górę, w stronę mostku nad strugą.

Na skraju lasu późnym przedpołudniem pojawił się biegacz w błękitnym dresie z czerwonymi lampasami i równie jaskrawoczerwonej czapce bejsbolówce. Poruszał się szybko w kierunku mostka, a jego miarowy krok i żwawo chrzęszczące pod stopami kamyczki mówiły, że nie pierwszy raz przemierza ten dystans. Gdy wybiegł z zakrętu na prostą, przysłonił oczy dłonią i naciągnął głębiej czapkę, ale i tak daszek bejsbolówki nie chronił przed wiosennym słońcem.

Aleję, którą przemierzał biegacz, otulały kępy żywopłotu posadzone w równych odstępach. Mężczyzna rytmicznie odliczał kroki: - Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... - i co trzeci krok mrużył powieki, bo słońce, goniąc za nim, mijało kępę żywopłotu i w pustej przestrzeni atakowało tak, że mroczki skakały mu przed oczami.

Wsio mogut koroli, wsio mogut koroli - komórka w kieszeni mężczyzny zaśpiewała stary, jeszcze

radziecki, przebój Ałły Pugaczowej. Biegacz przystanął w połowie wzniesienia, zerwał z głowy czapkę, pochylił się nieco i łapczywie wciągał powietrze. Krótko ostrzyżone włosy nie zatrzymywały kropel potu, które spływały po szczupłej twarzy, pomarszczonej, choć wciąż jeszcze młodej, i żyłastym karku.

- Halo... - dopiero po chwili, gdy złapał oddech, zasapał w aparat.

- Pułkownik Andriej Blazow? - usłyszał głos adiutanta. - Generał prosi...

- Dawaj słuchawkę, synku... - w tle zadudnił tubalny głos szefa. - Blazow? Co tak sapiesz? Koniec seksu! Wciągaj gacie na tyłek! U mnie za pół godziny, ha, ha, ha... - Śmiał się jeszcze, gdy odkładał słuchawkę.

Moskiewskie Słońce sięgnęło już wiosennego zenitu i kolorem brudnej pomarańczy nakrapiało fasady domów przy placu Łubieńskim. Odświeżone słonecznym makijażem kamienice piękniały w oczach, ale i tak nie dorównywały urodą tej najbardziej okazałej, którą - nie wiedzieć czemu - pokryto tynkiem o barwie wesołego, meksykańskiego piasku. Dostojny, choć niepozbawiony lekkości gmach o regularnych liniach okien po zmroku podświetlały dziesiątki reflektorów. Wiązki mocnego światła wydobywały dyskretną urodę budowli, nadawały jej fałszywie renesansowy sznyt i upodabniały, można by rzec z pewną przesadą, do pałaców weneckich dożów. Wielki okrągły zegar na szczycie fasady od dziesiątków lat pokazywał upływający czas, którego znaczenie każdy mógł odczuwać na swój sposób: inaczej przechodnie, którzy przez przypadek znaleźli się w sąsiedztwie gmachu, inaczej gospodarze kamienicy, a jeszcze inaczej przymusowi lokatorzy jej kazamatów.

Andriej Blazow, mężczyzna raczej niewysoki, ale dziarski, który właśnie od strony placu zbliżał się do drzwi gmachu, nie był przypadkowym przechodniem, co można było poznać choćby po pewnym kroku i przepisowym mundurze. Mocnym szarpnięciem otworzył drzwi i sprężyste ruszył ku szerokim marmurowym schodom moskiewskiej siedziby Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Zaraz za progiem poczuł przyjemny, rześki chłód, choć wewnątrz gmachu nie było klimatyzacji. No bo i po co? Tu zawsze jest chłodno. A nawet jak nie jest, to i tak ciarki przejdą po plecach każdemu, kto pierwszy raz przestąpi ten próg.

Ale Blazow nie jest każdym. Przyzwyczał się. Codziennie od siedemnastu lat, z małą przerwą, pokonuje marmurowe schody: dwa piętra - razem sześćdziesiąt trzy stopnie.

No właśnie! Sześćdziesiąt trzy, a nie sześćdziesiąt cztery. Niby rzecz bagatelna - myśli Blazow - a męczy jak cholera. Dlaczego jedno piętro liczy trzydzieści dwa stopnie, a drugie o stopień mniej? Czy wysokość pięter jest różna, czy to schodki" miary nie trzymają? Coś jest nie tak. Przecież się nie myli, codziennie liczy te stopnie, gdy idzie do biura. Dlaczego wcześniej nie zauważono tego braku; niemożliwe przecież, żeby nikt nigdy nie liczył tych przeklętych stopni - myśli pułkownik.

Choćby na przykład tysiące wrogów władzy radzieckiej, które wchodziły po tych schodach... Przecież niektórzy z nich przeżyli Łubiankę. Z takiej masy przynajmniej kilku musiało liczyć stopnie, kiedy ich tu wprowadzano (potem oczywiście nie mieli już głowy do liczenia). Ktoś musiał liczyć! To oczywiste. To święte prawo statystyki. Dlaczego więc nikt nigdy nie ujawnił defektu schodów? Nawet po śmierci Stalina, nawet po pierestrojce? A można było jeden stopień dorobić i porządek by był. Męcząca sprawa.

...Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden... Pułkownik w końcu dotarł na drugie piętro. Odetchnął głęboko, przegnał nieprzyjemne wspomnienia i otrząsnął się z natręctwa. Dzięki Bogu to tylko małe dziwactwo - pomyślał - takie tyci, tyci. Przecież każdy jakieś ma, no nie?

Przemierzając pusty, sterylne biały korytarz, poprzecinany rzędami drzwi bez tabliczek, Blazow przyspieszył kroku, stukot obcasów jego oficerskich butów skutecznie głużył czerwony chodnik rozciągnięty w sieci łubieńskich korytarzy. Wreszcie pułkownik stanął przed wejściem do gabinetu generała Konstantego Piętrowa.

Wygładził mundur i rozluźnił napięte mięśnie. Po co ten jowialny przygłup wezwał mnie tak nagle? - zastanowił się.

Rzeczywiście, generał nie miał podobnych zwyczajów. Nie przemęczał się i tego samego oczekiwał od podwładnych, więc Blazow bez trudu spełniał oczekiwania przełożonego, namiętnie rozgrywając w swoim gabinecie samotne partie szachów przy szklaneczce whisky. Zadaniem bojowym Piętrowa, które sam sobie wyznaczył i konsekwentnie realizował, było dotrzeć do emerytury. Kreml o tym wiedział i właśnie dlatego mianował Piętrowa szefem FSB. Decyzje generał dostawał do wykonania.

Ledwie pułkownik Blazow nacisnął kłamkę, generał rzucił się ku niemu, dysząc z podniecenia.

- Jesteś wreszcie! Słuchaj! Za godzinę będzie tu Kajdanowicz z jakąś sprawą. Przysłał raport do przeczytania. Taaajny!!! Baaardzo tajny! - to mówiąc, Pietrow klepał pułkownika po ramieniu. Mundur miał rozpięty na wielkim brzuchu i przez rozchyloną połę wyglądała koszula poplamiona tłuszczem. Z ekscytacją głaskał się po łysej głowie i mlaskał, rozpylając ślinę przy każdej spółgłosce.

Blazow zastanawiał się przez chwilę, czy zlitować się nad biedakiem przed emeryturą i powiedzieć mu o mundurze i o tłustej plamie, zanim przyjdzie Kajdanowicz. Spojrzał w stronę biurka szefa. Na zamkniętej teczce opatrzonej stemplem *Ścisłe tajne* leżała kanapka z boczkiem i okruchy chleba. To łajza! - pomyślał. - Czort z nim!

Generał Pietrow podszedł do blatu, delikatnie przesunął kanapkę na bok, otarł teczkę rękawem munduru i podał pułkownikowi. - Czytaj, masz godzinę. Ja... - zawahał się - przejrzę później... Widzisz... jest tylko jeden egzemplarz, w końcu to sowiersziennie sekretno - dodał, wzruszając ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

Gdy pułkownik, posępnie zamyślony, z poplamioną boczkiem teczką pod pachą otworzył drzwi do swojego biura, zobaczył nagle przed sobą Tanię Wasiliewną. Dziewczyna z zadziwiającą zwinnością wyskoczyła na środek sekretariatu i gwałtownie zahamowała przed Blazowem, długi warkocz przeleciał w powietrzu, a młode, wcale nieszczipłe, broń Boże, ciało zafalowało i przyjęło postawę na baczność. Policzki okrągłej twarzy płonęły rumieńcem dojrzałej, pędzonej hormonami brzoskwini. - Jestem Tania, sekretarka, do usług - zameldowała się dwuznacznie i słodko.

- Taniu, przestań - powiedział Blazow i spojrzał na nią z czułą naganą. - Niczego mi nie trzeba.

- Szkoda - zasmuciła się dziewczyna. - Może chociaż kawę zrobię? Albo coś słodkiego, loda może?

- Przestań! - teraz głos Błażowa zabrzmiał surowo; pułkownik nerwowo przeciągnął dłonią po języku na głowie. - Amerykańskich seriali się naoglądałaś czy co? Nikogo nie wpuszczaj i nie łącz rozmów!

Przeszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i ciężko usiadł w fotelu. Teczke w kolorze papieru pakowego położył na lakierowanym blacie biurka, którego wysoki połysk pamiętał jeszcze czasy głębokiego Breżniewa. Z szafki wyjął szklankę i butelkę czarnego Johnny'ego Walkera, nalał setkę, równo do kreski pociągniętej na szkle czarnym flamastrem, popatrzył i dolał jeszcze kropelkę, no, może dwie. Dopiero wtedy sięgnął po teczkę. Uważnie się jej przyjrzał. Na okładce widniał tylko odcisk stempla *Ścisłe tajne* i nic więcej - ani kto ją przygotował, ani dla kogo, ani kiedy. Nic. Zupełnie nic.

W środku były dwie kartki, też bez sygnatur, zatytułowane *Energetyczne aspekty suwerenności państwowej*.

Pułkownik powoli przebiegał wzrokiem urzędowy tekst, linijka po linijce. Potem odłożył kartki na biurko, wstał i zaczął przemierzać gabinet od ściany do ściany, z rękami splecionymi z tyłu i wzrokiem wbitym w podłogę. Po dziesięciu długościach pokoju znowu usiadł za biurkiem i jeszcze raz przeczytał cały dokument. Można by go w punktach streścić tak:

1. *Rosja ma ogromne konwencjonalne złoża gazu ziemnego. W tej części świata większymi dysponują tylko Turkmenistan i Iran.*

2. *60 procent wpływów budżetu Rosji pochodzi ze sprzedaży gazu i ropy naftowej.*

3. *Głównymi odbiorcami rosyjskiego gazu są kraje europejskie, ale one, zrażone corocznym zakręcaniem kurka Ukrainie, chcą się uniezależnić od Rosji. Szczególnie dotyczy to Polski, która może mieć porównywalne do amerykańskiego Teksasu złoża gazu łupkowego. Europa wiąże także wielkie nadzieje z budową rurociągu Nabucco i gazem z dawnej Republiki Turkmeńskiej (obecnie Turkmenistan), który uniezależniłby ją od dostaw z Rosji.*

Nasze starania (np. pozyskanie b. kanclerza Niemiec) i wielkie nakłady finansowe na podwodny bałtycki rurociąg North Stream, omijający Polskę, powoli zaczynają przynosić rezultaty. Jednak Warszawa i inne stolice Unii Europejskiej od dawna próbowały zablokować tę inwestycję, inspirując protesty zachodnich ekologów. I zrobią wszystko, żeby jej znaczenie ograniczyć. Podobnie rzecz się ma z gazociągiem South Stream, którego celem jest dostarczanie do Europy naszego gazu z pominięciem Polski i Ukrainy.

4. *Wydobycie rosyjskiego gazu jest bardzo drogie. Wynika to z trudnego dostępu do złóż i zacofania przemysłu gazowego.*

Inni dostawcy są znacznie tańsi. Żeby uczynić gaz rosyjski konkurencyjnym, trzeba gigantycznych inwestycji przez 10-20 lat.

5. W czasie kryzysu ceny gazu spadły gwałtownie, z 13 do 2 dolarów za MMBTU. Sovgaz musi go wydobywać i dostarczać po cenie, która czasem nawet nie pokrywa kosztów.*

6. Konkluzja: jeśli cena gazu nie wzrośnie, Sovgaz i Rosja znajdują się w poważnych kłopotach. Jeżeli powstaną nowe gazociągi, którymi do Europy będzie można dostarczyć gaz od naszych konkurentów, na przykład z Turkmenistanu czy Iranu, Rosja zbankrutuje. Ale jeśli Polska, przy wsparciu Ameryki, zacznie wydobywać gaz łupkowy i zaleje nim całą Europę Zachodnią - wtedy Sovgaz i Rosja zginą.

Blazow energicznym ruchem zamknął teczkę. Żarty jakieś czy co? - pomyślał zadziwiony tym, co przeczytał. Bardzo tajnateczka zawierała ogólnikowy raport, w którym nie było nic nowego. Co prawda Kreml udawał, że sprawy gazu nie ma, i zamykał usta gazetom, żeby zbytnio nie straszyły, ale służby wiedziały o niej od dawna i ostrożnie działały. Pułkownik też to i owo słyszał przy okazji akcji w Możej-

* BTU (*British Thermal Unit*) - jednostka energii używana na światowych giełdach i w USA. 1 BTU to ilość energii potrzebna do podniesienia temperatury jednego funta wody o jeden stopień Fahrenheita; MMBTU = 1 milion BTU.

kach: o blokowaniu polskiego gazoportu, który ma przyjmować morskie transporty gazu, o opłacaniu ekologów, żeby protestowali, o nagłaśnianiu w mediach, że wydobycie gazu z łupków jest groźne, że za jego przyczyną polski chłop zamiast kranu będzie miał w chałupie palnik, bo jak odkręci kurek, to gaz mu polecą, nie woda.

Błazow od dawna uważał, że to za mało, że te działania nie wystarczą, ale swoje myśli zachowywał dla siebie. Kto by go słuchał? A teraz ten raport - pusty, kompromitujący dla służb. I wizyta Kajdanowicza, szarej eminencji Kremla. Coś się za tym musi kryć - pomyślał podejrzliwie. I właśnie to, co ukryte, podświadomie zaniepokoiło pułkownika. Nie wiedział dlaczego.

Odchylił się w fotelu i spojrzął przez okno na plac Łubieński, gdzie równym rzędem posadzono w zeszłym roku młode, ale dorodne już drzewa, chyba klony, a może kasztanowce? Wzrok Błazowa błądził po wiotkich gałązkach pokrytych strzępiastymi listkami, ale oczy nie cieszyły się nabrzmiewającą wiosenną zielenią. Gdyby Tania weszła teraz do gabinetu, zobaczyłaby w poszarzałej twarzy pułkownika niepokój, może nawet lęk. Pewnie byłaby zaskoczona i dziewczęcy szczebiot utknąłby jej w krtani w pół słowa, ponieważ nigdy jeszcze szefa takim nie widziała.

Podobnie bolesny, kłujący niepokój - który Błazow poczuł najpierw gdzieś w splocie słonecznym, zanim palącą strugą przepłynął do gardła - dopadł pułkownika tylko raz w życiu i wtedy zapowiadał nadejście nieszczęścia. Może znowu śmierć? Czyją? Skąd ten lęk? Nie ma przecież powodu, żadnego, nawet najmniejszego - powtarzał w myślach jak mantrę, żadnego, nawet najmniejszego... Poderwał się z fotela i kilkakrotnie przemierzył gabinet nerwowymi krokami: raz, dwa, trzy, cztery kroki od drzwi do okna, pięć i pół od ściany do ściany...

Na marmurowym beżowym blacie kawowego stolika o giętych nóżkach stały trzy filiżanki w różowe kwiatki, patera z kruchymi ciasteczkami w czekoladzie i fajansowy dzbanek, z którego sączył się zapach świeżej kawy. Kajdanowicz i Pietrow czekali na pułkownika w milczeniu. Gdy wszedł, dygnitarz wskazał mu fotel naprzeciw siebie.

- Przeczytaliście raport? - zwrócił się do obu oficerów. Zapadła cisza. Zimne spojrzenie zza druczianych okularów prześliznęło się szybko po twarzy pułkownika i zatrzymało na przestraszonym Pietrowie. Mięśnie policzkowe generała z każdą sekundą ciszy, która wypełniła gabinet, a było tych sekund kilka, tężały coraz bardziej. Z boku czoła po skroni i tłustym policzku powoli spływała kropla potu, aż zatrzymała się przy dołku w brodzie z wahaniem, czy spaść.

Kajdanowicz z odrazą spojrzał na niechlujny mundur Pietrowa, a potem przez chwilę przewiercał wzrokiem koszulę generała w miejscu, gdzie niesforny plaster boczku zostawił tłustą plamę. Pietrow poczuł, jakby to nie spojrzenie, lecz stalowe ostrze bezlitośnie zagłębiało się w jego trzewia wypełnione drugim śniadaniem, by wziąć je na ruszt. Wreszcie generał opanował strach i niepewnie skinął głową: - Przeczytaliśmy.

Dygnitarz poprawił się w wielkim fotelu, który wypełniał ledwie w połowie - był bowiem mężczyzną najwyżej średniej postury. Podobnie rzecz się miała z jego wiekiem: można by go określić jedynie z grubsza jako średni - Kajdanowicz mógł mieć na przykład lat trzydzieści pięć, ale nikt by się specjalnie nie zdziwił, gdyby się okazało, że skończył już pięćdziesiątkę. Taki typ. Z ptasią twarzą o głęboko osadzonych, wąskich oczach patrzących lodowato przez okulary w druczianej oprawie, z gładko zaczesanymi rzadkimi włosami - do złudzenia przypominał wielkiego szefa stalinowskiego NKWD Ławrientija Berię, spełnionego twórcę Gułagu, którego wielki

portret w złoconych ramach wisiał w holu Łubianki. Niektórzy szeptali, że Kajdanowicz stylizuje się tylko na wzór swojego idola - podobno w rzeczywistości ma sokoli wzrok, a w oprawkach okularów kazał umieścić zwykłe szkło.

Podróbka Ławrientija Berii miała jeszcze jeden słaby punkt, który różnił ją od oryginału: dygnitarz czuł słabość do drogich garniturów i ubierał się w Londynie, o czym dyskretnie donosiły nienaganny krój i szlachetne tkaniny jego ubrań. Towarzysz Beria nie pochwaliłby tego - myślał czasem, walcząc z wyrzutami kremłowskiego sumienia. Ale mówi się trudno. Wszystkim nie dogodzisz. Beria jest martwy, a garnitury śliczne - odprawiał wtedy z kwitkiem niewygodną myśl.

Kajdanowicz, jak niegdyś Beria dla Stalina, był najbardziej zaufanym sługą pana na Kremlu. Po dłuższej chwili milczenia, gdy wpatrywał się w ostre jak brzytwa kanty swoich spodni z delikatnej szarej wełny, kupionych przy Oxford Street, podniósł wzrok na czekających w napięciu oficerów. Zgodnie z zaleceniem kreatorów wizerunku złączył dłonie tak, że palce stykały się opuszkami, i przemówił. A słowa cedził powoli, jakby wyrywał paznokcie:

- Panowie, jak widzicie, nasza matka Rosja jest w położeniu tragicznym. W ostatnim dwudziestolecu doświadczyła wielu nieszczęść, które ucieszyły naszych wrogów. Marzy im się, że Rosja zdechnie

pod płotem Unii Europejskiej, jak stara dziwka zniszczona przez wódkę i AIDS, okradziona przez alfonsów. Ale Rosja nie z takich klęsk się podnosiła, nie takie potęgi łamała. Miała swoich bohaterów: miała Lenina, Dzierżyńskiego i Stalina, teraz ma prezydenta Smirnowa, miała też wybitnych inżynierów i naukowców, sportowców, kosmonautów i psa Łajkę. I tym razem Rosja się podźwignie. Dzisiaj ratowanie ojczyzny jest waszym zadaniem - Kajdanowicz mówił z nabożeństwem. - Znacie zawartość raportu, więc wiecie, jakiej rangi to misja. Musicie wykorzystać całą wiedzę i wszystkie talenty. - Tu spojrział na Piętrowa, który próbował przyjąć na krześle postawę na baczność, bezskutecznie wciągając brzuch. - Pracujcie bez wytchnienia, choćby po nocach. Na przygotowanie planu ratowania Rosji macie pięć miesięcy. To wszystko.

Wstał i ruszył do drzwi, nie patrząc na oficerów. General Pietrow rzucił się za nim, by pierwszy nacisnąć klamkę, szczęśliwy, że to już koniec przesłuchania.

Blazow wyszedł z biura wcześniej niż zwykle, zaraz po spotkaniu w gabinecie generała. Nie zjadł nawet obiadu w kantynie Łubianki, mimo że na czarnej tablicy ręka kucharza nabazgrała: *Siewodnia pielmieny*, a tych nigdy sobie nie odmawiał. Nie zatrzymało go nawet wspomnienie domowej kuchni, w której nie było nic do jedzenia poza krakersami, paczką chipsów, dwoma słoikami ogórków i otwartą wczoraj puszką sardynek.

Pułkownik wprost ze schodów wyszedł na wewnętrzny dziedziniec, przeskoczył przez łańcuch parkingowy i żwawo ruszył do służbowej zielonej łady niwy zaparkowanej wrogu podwórza. Chwilę walczył z drzwiami, które po jakiejś drobnej stłuczce otwierały się opornie, ale już po chwili, obsalutowany służalczo przez strażników, z piskiem opon wyjechał na plac Łubiański. Ruszył w stronę Taganki. Chciał jak najszybciej

znaleźć się w domu, usiąść w starym, skórzanym fotelu, który zwykle pomagał mu porządkować myśli.

Jednak mimo dość wczesnej popołudniowej pory zaraz na pierwszych światłach łada Błażowa utknęła w korku i droga do domu zajęła mu dobrą godzinę. Gdy skręcił w boczną uliczkę przylegającą do parku, gdzie zwykle biegał, zwolnił i rozglądał się za miejscem do parkowania. Nagle kątem oka dostrzegł ledwie cień sylwetki przed maską samochodu. Zahamował gwałtownie. W przedniej szybie mignęła mu czerwona, nalana twarz i milicyjna czapka. Zniknęła. Błażow wyskoczył z samochodu.

- Coście ochujeli?! - wrzeszczał milicjant, ciężko podnosząc się z ziemi i otrzepując mundur. - Dokumenty! Już!

Błazow w milczeniu machnął mu przed nosem służbową legitymacją. To nieco ostudziło gniew funkcjonariusza.

- Dajcie to - powiedział już zgodniej i odszedł do radiowozu.

Wrócił po jakichś dwudziestu minutach, widać aż tyle zajęło mu sprawdzanie dokumentów w centrali.

- Prawdziwa. Prawie jak radziecka - powiedział z szacunkiem i oddał legitymację. - Ale to was nie zwalnia, pułkowniku, z obowiązku zachowania ostrożności przy prowadzeniu samochodu.

Błazow nie odezwał się ani słowem, stał obojętnie przy aucie, choć utrzymanie wściekłości na łańcuchu przychodziło mu z trudem.

- O, niesprawny reflektorek! - milicjant wreszcie uśmiechnął się szeroko, gdy skończył trzeci obchód łady pułkownika. - Do tego niebezpieczna jazda, będzie solidny mandacik.

Oczy Błazowa zwęziły się, próbował opanować gniew. Patrzył ze złością i pogardą prosto w nalaną gębę stójkowego.

- Przecież to twój zakuty łeb rozbił mi reflektor! - wycedził jadowicie.

Posterunkowy stracił humor, ale rezonu nie. Odparł: - Tylko grzecznie proszę, skończyły się czasy, kiedy wszystko wam było wolno.

- Mylisz się, nie skończyły się, tylko ty masz szczęście, że trafiłeś na mnie. Ja jestem grzeczny i dobry i dlatego ci daruję - pułkownik powoli wypuszczał jad. - Bo gdybym był złym czekistą, to bym paluchy obciążkami połamał, jasne?! - ryknął prosto w ucho milicjanta. - A teraz spisuj, co masz spisać, i wynocha!

Stójkowy skulił się w sobie, nacisnął czapkę na oczy, jakby chciał, żeby go tu nie było, i zabrał się do pisania.

Było już grubo po siedemnastej, gdy

Błazow zaparkował samochód przed secesyjną kamienicą - na grubość lakieru. Inaczej nie dało się wcisnąć między dwa krążowniki szos należące do nowych Ruskich, którzy od jakiegoś czasu zaczęli osiedlać się w dzielnicy, nieco zaniedbanej, ale snobistycznej z powodu siedziby legendarnego teatru Na Tagance.

Pułkownik pchnął ciężkie secesyjne drzwi prowadzące do obszernego holu. Ruszył ku schodom, ale odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na stare wrota zdobione witrażami, które w słoneczne popołudnia wyświeślały kolorowe kwiaty na ścianach klatki schodowej. Dni tego arcydzieła sztuki snycerskiej były już policzone: drzwi pamiętały rewolucję 1905 roku i tę październikową, bolszewicką. Przeżyły. Ale rewolucji kapitalistycznej nie przetrwały. Zezłościły administratora domu i nowych lokatorów, którzy zgodnie postanowili wyrzucić „złom” i kupić nowe, z kuloodpornego szkła. Ech, szkoda.

Pułkownik Spojrzał w górę schodów. Najpierw zobaczył gołe stopy Natalii, potem łydki, zgrabne, choć zbyt umięśnione jak na jego gust. Zwolnił, pokonywał stopnie schodów jeden po drugim, nie licząc ich wcale, za to delektując się widokiem ukazujących się powoli kolan, kwiecistej, dopasowanej do bioder spódnicy, a potem całej bujnej reszty w obcisłej bluzce. Zawsze tak robił, gdy czekała na niego w drzwiach mieszkania: wchodził po schodach powoli, przedłużając tę chwilę ze względu na pamięć dzieciństwa i zachodnich długopisów ze zdjęciami pięknych zachodnich dziewcząt, które powoli, wzmagając młodzieńczą chuć, odsłaniały wszystko. Wystarczyło lekko wstrząsnąć.

Natalia stała oparta o futrynę uchylonych drzwi. Niby patrzyła na Błazowa, ale on nie był pewny, czy go w ogóle widzi. Często miał wrażenie, że wymyka mu się, gdzieś znika.

Nawet wtedy, gdy leżała pod nim i patrzyła mu w oczy, jej myśli krążyły gdzieś indziej. Gdzie? Nie miał pojęcia. Może po Syberii, skąd przywiózł ją do Moskwy ten wyzelowany Pietia Butz? Przywiózł i zostawił, żeby mieć na delegacje.

Pułkownik stanął przed dziewczyną otoczoną obłokiem parującej kobiecości i kosztownych perfum, Natalia lewą dłoń zacisnęła na jego krawacie i mocno pociągnęła ku sobie. Poczł jej brutalny pocałunek. Jednocześnie prawą ręką pchnęła drzwi tak mocno, że uderzyły klamką o ścianę przedpokoju.

- Wejdz, pułkowniku Branzlow. I wyciągnij broń. Kawę dostaniesz później.

Światło przesączało się wąską stróżką przez szparę w drzwiach wejściowych do mieszkania pułkownika, którą wydłubał kiedyś kuchennym nożem. Blazow dostrzegł tę jasną smugę, gdy po godzinie zostawił Natalię pogrążoną w niespokojnym śnie mierzonym nierównym oddechem i postanowił wrócić do siebie, piętro wyżej.

Delikatnie przekręcił klucz w zamku, powoli nacisnął klamkę i popchnął drzwi, które głośno jęknęły. Cholera! Ostrożnie wszedł do środka. Na wprost długiego korytarza, w salonie, tyłem do okna siedział w jego skórzanym fotelu jakiś mężczyzna. Nie poruszył się, mimo że musiał słyszeć zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, a już na pewno skrzypienie zawiasów. Blazow czujnie podszedł bliżej. Zasłonięte stopy ukrywały twarz przybysza w półmroku. Tylko lampa Tiffany stojąca przy fotelu, na stoliku z gazetami, oświetlała kolana mężczyzny i leżącą na nich teczkę z wykaligrafowanym nazwiskiem *Blazow*. Teczkę personalną pułkownika.

To był Kajdanowicz.

- Od przewracania papierów straciłeś czujność, Blazow. Siadaj! - rzucił rozkazująco, jakby nie tylko to mieszkanie, ale cała Moskwa, ba, cała Rosja należały do niego.

Jak długo tu siedzi? - zastanowił się Blazow, ustawiając krzesło naprzeciw dygnitarza. Pomyślał o Natalii, która miała lubieżny zwyczaj pieprzyć się z nim, i tylko z nim, przy otwartym oknie wychodzącym na podwórko-studnię. Pułkownika krępowało to i gasiło chuć, ale gdy pytał dziewczynę, po co jej takie nagłośnienie, milczała. Może ją podniecało? Może chciała prowokować moskiewskich mieszczan? Może narobić wstydu Butzowi? A może było to próżne wołanie o pomoc, krzyk rozpacz, tęsknoty za utraconą wolnością, którą z własnej woli zamieniła na złotą moskiewską klatkę? Któż to wie? W każdym razie jęki Natalii, potępieńcze, dzikie, a czasem niskie, gardłowe, wydobywające się gdzieś z

głębi trzewi, odbijały się od ścian oficyn i potężniały jeszcze, wypełniając całą przestrzeń podwórza - aż po dachy kamienicy - niczym skowyt więźniów wyjących do wolności.

Kajdanowicz nie dał jednak po sobie poznać, że był świadkiem wokalnych popisów Natalii. Zachował kamienną twarz, choć musiał się nasłuchać.

Obaj dobrze wiedzieli, co jest w teczce, którą dygnitarz przyniósł do mieszkania pułkownika, żeby pokazać, że wszystko wie i wszystko może. Chociaż

i bez tej demonstracji Blazow w to nie wątpił.

Pułkownik Andriej Blazow: ur. 1958 w Wilnie. Ojciec Rosjanin, matka (Maria Nowakowska) Litwinka polskiego pochodzenia. Absolwent ekonomii moskiewskiego Uniwersytetu Łomonosowa, złoty medalista Uniwersjady w biegach na 3 km. Bystry, inteligentny. Z poboru wysłany na wojnę w Afganistanie, został tam jako ochotnik. Szkolony w służbach specjalnych, gwiazda wywiadu radzieckiego, kilkakrotnie odznaczony. Po tragedii rodzinnej na wielomiesięcznym leczeniu. Przeszedł ciężką depresję. Za zasługi wysłany na studia w London School of Economics, specjalność: rynki surowcowe.

Wykorzystywać do prac biurowych i łatwiejszych akcji.

- Pewnie ciekawi cię, co to za cyrk dziś przyjechał i co ja tutaj robię? - Kajdanowicz zrobił efektowną pauzę. - Raport znasz, wiesz, że nie ma w nim nic

nowego. To było przedstawienie dla Piętrowa. Miesiąc poleniuchuje, powoła zespół. Niech obce służby chodzą za nim do woli. Ale ty masz od razu zabrać się do roboty i przygotować prawdziwy plan bitwy o naszą Rosję. Zostałeś wybrany. Wybrany jak Matka Boska - do najważniejszej misji - uderzył w cerkiewny ton, wznosząc otwarte dłonie ku górze, ale zaraz zreflektował się, że przesadził, opuścił ręce i dokończył rzeczowo:

- Przychodzę do ciebie z propozycją, tak to nazwijmy, choć jest to życzenie z najwyższego szczebla. Oczywiście możesz odmówić, ale... - zawiesił głos - nie zrobisz tego. - Kajdanowicz patrzył na pułkownika. Bezbarwne oczy dygnitarza nie wyrażały żadnej emocji, jakby wizyta w mieszkaniu na Tagance była dla niego tylko zwykłym obowiązkiem, rutyną, do tego zostawioną na koniec ciężkiego dnia pracy.

- Nie odmówisz przyjęcia misji - ciągnął powoli dalej - nie dlatego, że coś ci może grozić za niesubordynację, bo nic ci nie grozi, ale dlatego, że twój wybór jest ograniczony, i to skrajnie. Jeśli odmówisz, pozostaniesz zerem, bo jesteś zerem, pułkowniku. Oczywiście zera też są potrzebne, także w służbach, czasem nawet dwa, jak do kibla - głos Kajdanowicza był jadowity i drwiący. - Popatrz na takiego Piętrowa - zero w czystej postaci. Czy chcesz być parą dla Piętrowa, zerem trzęsącym się ze strachu, że nie dotrwa do emerytury? Spędzić resztę życia i służby, przekładając papiery z kupki na kupkę, a w wolnych chwilach liczyć te swoje schodki? - W kącikach ust Kajdanowicza wykwitł wredny uśmiezek. - Nie chcesz, z pewnością nie chcesz, więc, pułkowniku, zrobisz, co ci każę.

Zamilkł i patrzył na Błazowa, szukając w jego twarzy potwierdzenia, że słowa, które wypowiedział, zrobiły odpowiednio mocne wrażenie.

Tymczasem pułkownik siedział nieruchomo na krześle naprzeciw dygnitarza, a jego myśli zaprzętało tylko jedno pytanie, które po krótkiej chwili milczenia wypowiedział cicho:

- Dlaczego ja?

- Powody są z grubsza dwa: po pierwsze, jesteś dobry, a po drugie, jesteś świrem, Blazow - Kajdanowicz nie mógł pohamować rozbawienia. - Dobrze cię sprawdziłem, znam twoją przeszłość, wiem, na co cię stać i co wyprawiałeś w Afganistanie. Mówiąc eufemistycznie, jesteś agentem nietuzinkowym, potrafisz zaskakiwać, działać, powiedzmy, niekonwencjonalnie, a w tej misji będzie to konieczne. Przygotowanie merytoryczne też nie pozostawia wątpliwości: mówisz po polsku i angielsku, znasz Azję - Kajdanowicz odliczał pochwały, rytmicznie uderzając teczką personalną w kolano.

- To są powody z grupy pierwszej - jesteś naprawdę dobry, co potwierdziłeś w ostatniej akcji po długiej przerwie. Podpalenie litewskiej rafinerii w Możejkach to był majstersztyk, który przyniósł Rosji duże korzyści polityczne. - Dygnitarz uśmiechnął się na to wspomnienie, by po chwili ciągnąć dalej:

- Co do powodów z drugiej grupy, jak już ustaliliśmy, jesteś świrem i wszyscy to wiedzą i widzą: bieganie po schodach z centymetrem krawieckim, przeskakiwanie przez słupki parkingowe, liczenie drzew w czasie joggingu i okrążeń wokół gabinetu... Że o próbie przejechania milicjanta i groźbach łamania palców nie wspomnę. Tak, jesteś, Blazow,

regularnym świrem. Do tego nie masz przyjaciół, znajomych. Ale to dobrze dla naszej misji. Nikt się nie zdziwi, jeśli znikniesz, pójdziesz nagle na długie zwolnienie lekarskie i pies z kulawą nogą nie zapyta, gdzie się podziałeś. Najwyżej ktoś ze współczuciem wspomni: biedny ten Blazow, czołg rozjechał mu żonę i dziecko i chłop się nie podniósł, szkoda...

- Kajdanowicz machnął ręką i zrobił teatralnie żalowaną minę.

Gdy dygnitarz wypowiadał ostatnie słowa, pułkownik zeszywniał, dłonie zaciśnięte na ramie krzesła wbiły się paznokciami w drewno, choć twarz pozostała niewzruszona. Kajdanowicz musiał to dostrzec i gdy spojrzał w oczy Błazowa, poczuł, że posunął się za daleko. Uśmiech zamarł mu na ustach.

- To jest nasz atut - powiedział szybko, żeby zatrzeć złe wrażenie - gwarancja tajności misji i jej powodzenia. Dostajesz wielką szansę, Blazow, więc nie spieprz jej. Czekają nas starcie wagi ciężkiej, światowej wagi ciężkiej. Dlatego musisz myśleć i działać nieszablonowo, może czasem brutalnie, tak jak ja. Nie zawahasz się przed niczym, rozumiesz? - słowa Kajdanowicza zabrzmiały w uszach Błazowa jak nędzne usprawiedliwienie.

Gość zamilkł na chwilę, poprawił okulary i popatrzył na pułkownika, ale nie doczekał się podziękowań za wyróżnienie. Blazow milczał, beznamiętnie odwzajemniając spojrzenie Kajdanowicza. To nie spodobało się kremłowskiej eminencji.

- Pamiętaj, jesteś na widelcu - przypomniał.

- Dostajesz zadanie najwyższej rangi. Stajesz się ważny i dla nas, i dla wszystkich innych służb także. Musisz być czujny jak nigdy. Jeśli zauważysz coś podejrzanego, jeśli ktoś będzie chciał zanadto się do ciebie zbliżyć, bądź bezwzględny. I nie melduj o tym. Nic nie chcę wiedzieć. - Gestem dłoni dygnitarz odciął się od komplikacji. - Wkrótce się spotkamy, wtedy

poznasz szczegóły zadania. Na razie to, co powiedziałem, musi ci wystarczyć.

Kajdanowicz skończył. Wstał z fotela, rozprostował marynarkę i spodnie i ruszył do drzwi. W progu odwrócił się jednak. - Jutro poprosisz o kilkumiesięczny urlop zdrowotny. Pietrow o nic nie zapyta. O naszym spotkaniu wiemy tylko ja, ty i jeszcze ktoś... - przerwał, spojrzał wymownie na sufit, ale nie miał na myśli sąsiada z góry. - I niech tak zostanie.

Gdy za Kajdanowiczem zamknęły się drzwi, pułkownik Blazow długo siedział bez ruchu na krześle i wpatrywał się w pusty fotel, którego stare skórzane pokrycie precyzyjnie odwzorowało zarys pośladków szarej eminencji Kremla. Myśl, że wraca na pierwszą linię służb, przyjemnie łechtała jego próżność, ale Blazow był starym czekistą, zbyt wiele widział i wiedział, żeby nie zdawać sobie sprawy, w co teraz wdeptuje, albo raczej - w co został wdep-tany. To nie było zwykle zadanie: przełożony wydaje rozkaz, podwładny wykonuje. Wkraczał na nieznany mu teren działań poza strukturą służbową - na rozkaz człowieka, którego prawdziwych celów ani mocodawców nie znał.

Drogi odwrotu mu nie zostawiono.

Pułkownik wstał z krzesła, odstawił je na bok, pod ścianę, i usiadł w fotelu. Nie bez obrzydzenia zauważył, że skóra obicia zachowała jeszcze ciepło ciała Kajdanowicza. Wzdrygnął się. Ten człowiek nie cofnie się przed niczym - pomyślał. - Dziurki nie zrobi, a krew wypije. Wykorzysta wszystkie słabości ofiary, kopnie w podbrzusze i oczy wykluje. Blazow przypomniał sobie, co Kajdanowicz mówił o schodach na Łubiance. A więc od dawna go obserwowali, a on, naiwny, myślał, że przekładanie papierów na biurku czyni go niewidzialnym.

Przekłete schody. Trzeba z tym wreszcie skończyć - solennie postanowił pułkownik. Już dawno by to zresztą zrobił, bo co go te cholerne schody obchodzą, ale chciał sprawę wyjaśnić. Kiedyś, zeszłej jesieni chyba, zdecydował się zgłosić sprawę przełożonym. Kilka razy już, już otwierał usta, ale w końcu zawsze brakowało mu odwagi. No bo jak by to wyglądało? Miałby wejść na ten przykład do generała Piętrowa, zaszutować i zameldować: „Generale, na drugim półpiętrze brakuje schodka!?”. I co niby Pietrow miałby na to odpowiedzieć? Pewnie puknąłby się tłustym palcem w łysą

czaszkę i odesłał go na długie zwolnienie lekarskie albo gorzej, obsobaczyłby jeszcze.

Nie, kolegów z pracy nie można w to mieszać.

Więc spróbował inaczej. Pewnego smutnego wieczora, gdy pierwsza butelka wódki pokazała dno, a czujność oficerska plecy, pułkownik zagadnął o schody serdecznego przyjaciela, Stiepana Worodkę, majora w stanie spoczynku. Pili, jak zawsze, w ostatni piątek miesiąca w klubie Hollywood, który nie miał wielu bywalców. Właśnie w pustawej sali i w smrodzie petów z nieopróżnianych popielniczek tańczyła na rurze Andżelika. Tańczyła to za dużo powiedziane - kurczowo trzymała się rury, próbując z jej pomocą utrzymać równowagę mocno zaburzoną kolejną porcją jakiegoś białego proszku, który przed występem wciągnęła swym wielkim, kartoflanym nosem. Z mozołem i cierpieniem na szpetnej twarzy poruszała biodrami, chcąc nadażyć za rytmem, ale nie miała szans: wielkie pośladki wylewały się ze skąpych majtek, a fałdy tłuszczu odłożonego na brzuchu zgodnie z prawami grawitacji zwisały z przodu aż za gumkę złotych stringów nabijanych cekinami.

Popatrując z litością i współczuciem na Andżelikę, Blazow zebrał się na odwagę i wypalił bełkotliwie: - Nie wiesz ty, Stiepan, czy na Łubiance schody są równe? Okrutnie mnie to męczy, przyjacielu, spać nie daje.

Stiepan Worodka, próbując odnaleźć jakiś sens w pytaniu kolegi, spojrział przeciągle na Błazowa zażawionymi od alkoholu i dymu oczami, ale nie pomogło - sensu nie znalazł. Odchrząknął więc, zdławił wracającą wódkę i prosto, po wojskowemu, ryknął: - Męczy cię, czy schody są równe? To je, kurwa, zmierz!

Żołnierska łatwość, z jaką Stiepan trafił w samo sedno sprawy, wydała się pułkownikowi mocno podejrzana. W bełkocie przyjaciela wyczuł drwinę, która dotknęła go do głębi. Chciał nawet przywalić z piąchy we wredny Stiepanowy ryj, ale alkohol zrobił już swoje, więc Blazow wycharczał tylko: - Takiś kurwa, przyjaciel? Jakby to wyglądało, gdyby oficer bezpieczeństwa biegał po schodach z miarką?

Następnego dnia, gdy kwas z ogórków wypity duszkiem ze słoika rozluźnił nieco stalową obręcz kaca, która ścisnęła do bólu głowę pułkownika, Blazow przeklął swoją pijacką szczerłość i odpuścił Stiepanowi wszystkie winy. Nawet to, że przyjaciel upiera się przy spotkaniach w Hollywood, przez co pułkownik musi co miesiąc oglądać płąsy grubej Andżeliki. Blazow wybaczył też Stiepanowi obrazę i niedorzeczną, pijacką propozycję.

Jednak po paru dniach pomysł zmierzenia schodów nie wydawał się już pułkownikowi ani tak niedorzeczny, ani tym bardziej obraźliwy. Zauważył, że ma wiele zalet, z których główną była ta, że zmierzenie schodów raz na zawsze mogło rozwiązać zagadkę Łubianki, przynieść mu wyzwolenie od natrętnych myśli i ukojenie. Dlatego pewnej nocy Blazow, bez munduru (o'akże by inaczej), pojechał na Łubiankę z centymetrem krawieckim w kieszeni. Ale, czort, nie udało się. Łubianka nigdy nie śpi: a to prowadzą jakiegoś bandytę do góry, a to znowu innego spekulanta czy oligarchę na dół. A to ktoś idzie do kantyny, to znowu ktoś inny zbiega do automatu

po kawę, niepitną lurę. Po półgodzinie wreszcie chwila spokoju, już pułkownik wyciąga centymetr, ale nagle słyszy:

- stuk, stuk - biegną pantofelki do drugich pantofelków. Sekretarki, cholery jedne, zrobiły sobie przerwę na ploty, i to na środku schodów, i trajkoczą: tralala, tralala...

W końcu Blazow zaczął budzić zainteresowanie ochrony: strażnicy, chłopcy jak syberyjskie dęby, najpierw gapią się na niego raz i drugi, pokazują go sobie, trzających głowami, aż w końcu podchodzą:

- Czy mu się coś stało? - pytają i patrzą z troską, ale podejrzliwie. - Czy zdrowy? Może żołądek nawala, że tak kręci się po schodach, albo, nie daj Boże, wątroba, co w tej służbie częste?

Trzeba było wracać do domu.

Pułkownik pięć razy mocno zacisnął powieki, żeby odpędzić wspomnienia, które teraz zamieniły się w raporty wypełniające jego teczkę personalną. Kajdanowicz w czasie rozmowy tylko machnął mu plikiem papierów przed nosem, więc Blazow nie wie, co te donosy zawierają ani kto je napisał: ten łajza Pietrow, z pewnością, ale kto jeszcze? Tania sekretarka? Stiepan? Pułkownik zauważył tylko, że jeden nosił stempel *Ochrona budynku*, a inny podpisany był *Natalia*. Natalia? Popularne imię. Cholerne schody! Czort z nimi!

Przez Uchylone okno wtargnął do wnętrza mieszkania szaro-czerwony blask późnego, zachodniego słońca i mdły zapach kapusty z sąsiedniej oficyny. Pułkownik skrzywił się i wstrzymał oddech. Wstał z fotela, szybko zamknął okno i przeszedł do kuchni. Włączył wyciąg na pełną moc. Jego wibrujący dźwięk wypełnił jazgotem całe mieszkanie, ale trupi zapach gotowanej kapusty zniknął, zassany do rur.

Stary wileński zegar z kukułką zaskrzeczał dwadzieścia razy, mówiąc pułkownikowi, że na rozmyślaniach spędził dobrą godzinę. Ledwie kukułka przestała skrzeczeć głosem zdartym przez czas i koleje losu, rozdzwonił się dzwonek u drzwi. - Co jest, do kurwy nędzy? - wycedził Błazow ze złością, bo nadmiar dźwięków wywołał w nim wściekłość i rozdrażnienie, ale podszedł do drzwi. - Czego? - rzucił, nie siląc się na grzeczności.

- Pułkowniku, Kajdanowicz prosi... - usłyszał niski, chrapliwy głos.

Prosi, ładnie powiedziane, upierdliwa kanalia - pomyślał Błazow i uchylił drzwi. Zaraz jednak musiał zadrzeć głowę wysoko do góry, bo na progu stał wielki, ponad dwumetrowy, nabity mięśniami blondas w kurtce komandosa.

- Samochód czeka - rzucił obojętnie, a jego kanciasta twarz i małe oczka nie wyrażały zupełnie nic. Widać nie spodziewał się odmowy ani jakiegokolwiek dyskusji, bo od razu odwrócił się i ruszył schodami w dół, nie czekając na Błazowa.

Pułkownik nie namyślał się wiele, bo i nie było nad czym. Wziął marynarkę z wieszaka i podążył za olbrzymem.

Przed kamienicą nie było limuzyny Kajdanowicza, za to przy krawężniku stał stary, podrdzewiały volkswagen passat. Komandos w milczeniu otworzył pułkownikowi drzwi z tyłu, sam, nie bez wysiłku, wtłoczył się za kierownicę auta. Ruszyli w stronę wyjazdu z Moskwy, jednak po ledwie kilku kilometrach, może pięciu, skręcili w kierunku podmiejskiej

dzielnicy willowej, której nazwy Blazow nawet nie znał. Passat z mozołem brnął uliczkami, które wybrukowano tu polnymi kamieniami; zawieszenie auta stukało boleśnie, wóz huśtał się na starych resorach. Mijali zaniedbane wille-komunalki, otoczone równie zaniedbanymi ogrodami. Niektóre z nich, powiększone o prowizoryczne dobudówki w najróżniejszych kształtach i wzniesione z byle czego, stanowiły bolesne świadectwo architektonicznego gustu miejscowych budowniczych, ale i dowodziły zaradności radzieckiego człowieka. Na jednej z mijanych posesji Blazow zauważył wrak jakiegoś samochodu, na innej korpus wysłużonej i porzuconej łódki oraz kilka kineskopów od telewizorów, pewnie marki Rubin, po wybuchach.

Auto zatrzymało się przed bramą posiadłości otoczonej częściowo płotem z pociętej siatki, a częściowo z blachy. Pułkownik zobaczył człowieka w bluzie, z kapturem naciągniętym na głowę, który zbliżył się od strony zabudowań. Chwilę manipulował przy kłódce, po czym szeroko otworzył wrota. Passat wtoczył się na podjazd ułożony z poczerniałych i śmierdzących smarem podkładów kolejowych, który prowadził aż do zaniedbanej willi. - Proszę za mną, pułkowniku - powiedział mięśniak, zatrzymawszy auto u podnóża schodów i poprowadził Błazowa po

wyszczerbionych stopniach na ganek, a stamtąd do obszernej sieni pozbawionej jakichkolwiek sprzętów, które zdradzałyby, że w tym domu toczy się życie. Zapukał do odrapanych z szarej olejnej farby dwuskrzydłowych drzwi i po chwili, gdy rozległo się krótkie: „Wejść!”, wpuścił pułkownika do środka.

- Obiecałem, że wkrótce się spotkamy, a ja słowa dotrzymuję. - Kajdanowicz uśmiechnął się, jakby opowiedział świetny żart. - Nie pytam cię, pułkowniku, czy się zastanowiłeś nad moją propozycją, bo i po co. I tak sobie zaraz szczerze porozmawiamy. - Spojrzał na Błazowa z politowaniem. - Saszeńka, daj pułkownika do piwnicy - rzucił słodko do komandosa, który w tej chwili bezszelestnie pojawił się w progu z szerokim uśmiechem na kwadratowej twarzy.

- Proszę, ja po panu, pierwsze drzwi na prawo. - Mięśniak wykonał zapraszający gest.

Błazow zastygł, spojrzał na twarz dygnitarza wypraną z jakiegokolwiek wyrazu i szybko zlustrował pokój, jakby szukał drogi odwrotu. Zadziałał instynkt, ale pułkownik zaraz zdał sobie sprawę, że próba ucieczki nie ma najmniejszego sensu, dlatego bez słowa protestu ruszył w kierunku wskazanym przez komandosa.

Zeszli ledwie pół piętra, do nisko sklepionego pomieszczenia o betonowych ścianach. Pośrodku stały tylko dwa proste krzesła. Z sufitu zwisała żarówka na drucie, która raziała oczy mocnym światłem. Komandos położył pułkownikowi rękę na ramieniu, kładąc siadać. Sam stanął za jego plecami, przy ścianie, obok drzwi. Zapanowała cisza.

Błazow znał takie pomieszczenia jeszcze z czasów radzieckich, spędził w nich - bez przyjemności

- wiele godzin. Nie lubił ich, nie lubił w takich miejscach pracować: puste, niskie przestrzenie zwielokrotniają krzyki przesłuchiwanym, a to męczy uszy jak cholera. Teraz na

krześle siedział on, pułkownik Blazow, i próbował wyrównać oddech, mimo że piwniczny odór wywoływał w nim obrzydzenie.

Wtedy do piwnicy wszedł Kajdanowicz. Usiadł na krześle przed Blazowem, wsparł ręce na udach i przez kilka sekund w milczeniu patrzył mu prosto w oczy. - Bez obaw pułkowniku, to nie to, co myślisz

- powiedział dopiero po dłuższej chwili. - Jesteśmy w naszym pokoju ciszy, perfekcyjnie zabezpieczonym przed podsłuchem. Tu omawiamy najtajniejsze sprawy, więc możesz czuć się doceniony. - Dygnitarz nawet nie próbował ukryć złośliwego uśmiechu, który wypełził na jego wąskie wargi.

- A teraz do rzeczy... Saszeńka, wypierdalaj - rozkazał Kajdanowicz, nie zaszczycając komandosa choćby ruchem głowy, a ten w jednej chwili odwrócił się na pięcie i zniknął.

- „Wypierdalaj” to jego nazwisko? - wyrwało się pułkownikowi, gdy za Saszeńką zamknęły się drzwi.

Zaskoczony Kajdanowicz spojrzał czujnie na Błazowa. Zapadła ciężka cisza, ale zaraz dygnitarz szczerze się roześmiał. - Ho, ho, pan pułkownik się odprężył, przemówił i błysnął dowcipem. To mnie cieszy. Sam jestem człowiekiem z poczuciem humoru. I lubię takich, którzy mówią ludzkim głosem, byle nie za dużo. Zrozumiano? Koniec żartów!

- Rosja jest hojna, potrafi nagradzać swoich wiernych synów, którzy troszczą się o jej przyszłość, ale

i karać nieposłusznych i nieudaczników. Jesteś, pułkowniku Blazow, ostatnim w łańcuszku ludzi, którzy od lat przygotowywali tę operację, zasiali nasze ziarno na polskiej ziemi. Teraz przyszedł czas zebrać plon. A ty, pułkowniku, będziesz miał honor zwieńczyć ich dzieło, odzyskać to, co było rosyjskie i co się Rosji należy. Tu jest szczegółowy zapis dotychczasowych działań. - Kajdanowicz wyjął pendrive'a z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał Blazowowi na wyciągniętej dłoni. - Masz pięć godzin. Potem zapis zniknie. Szczegóły i kontakty operacyjne oraz kontakty z naszą agenturą przekażę ci za chwilę, ale na początek nakreślę ogólne tło zdarzeń. Resztę możemy omówić w biurze. Nie muszę ci powtarzać, że misja jest najwyższej wagi państwowej. Jeśli jutro do wieczora nie przyjdiesz choćby z zarysem planu, będę bardzo rozczarowany. Nie zawieźdź mnie!

To powiedziawszy, Kajdanowicz przymknął oczy, jakby szukał inspiracji i zbierał myśli. Po chwili zaczął mówić.

Następnego dnia Moskwa płakała. Wiosenne słońce, które jeszcze wczoraj raniło oczy przywykłe do zimowych szarości, dziś było tylko nierzeczywistym wspomnieniem. Chłodny deszcz lał się strugami z nieba szczelnie zasnutego przez czarne chmury, ściekał po twarzy, przenikał dres pułkownika.

Blazow wybiegł z rzadkiego parkowego lasku na polanę przy wielkim narzutowym głazie, gdzie czasem wypoczywał. Ale nie tym razem. Tym razem przyśpieszył jeszcze. Wraz z deszczem i potem chciał splukać kaca nieprzespanej nocy, gdy na przemian pracował nad nowym zadaniem i oglądał kreskówki - żeby wyczyścić umysł. Rano wysłał do biura wniosek o urlop zdrowotny i zasnął ciężkim, dusznym snem, z którego obudziło go bębnienie ulewy o parapet. Było późne popołudnie.

Paskudna pogoda wystraszyła amatorów joggingu, nie mówiąc już o spacerowiczach i matkach z rozkrzyczanymi dziećmi - park był zupełnie pusty, co Blazowowi było miłe. Nic nie mąciło koncentracji, nic nie zakłócało miarowego ruchu jego stóp: raz, dwa, raz, dwa...

Jednak gdy pułkownik minął stylową latarnię, gdzie żwirowa aleja skręca w prawo i pnie się ostro pod górę w stronę mostku nad strugą, usłyszał za sobą odgłos czterech stóp innych biegaczy. Poruszali się z wyraźnym wysiłkiem. To zbliżali się do pułkownika, to znów dzielący ich dystans rósł, gdy Blazow przyśpieszał.

- Pułkowniku Blazow! Niech pan zwolni, na litość boską!
- usłyszał za plecami. Wiedział już, że Kajdanowicz nie chciał czekać do wieczora. To już czwarte spotkanie w ciągu dwóch dni, niezwykle pośpiech

jak na biurokratę - pomyślał. - Nie tylko mnie zegar tyka, jemu też.

Pułkownik płynnie przeszedł w trucht, a po kilkudziesięciu metrach się zatrzymał. Długą chwilę musiał czekać na dwóch osiłków w błękitnych dresach, takich samych jak jego. Nieszczęśnicy z wyraźnym wysiłkiem łapali oddech, a ich nabite sterydami mięśnie klatki piersiowej drgały chaotycznie. Blazow patrzył na nich z niedowierzaniem, nie mogąc nadziwić się bezużyteczności muskulatury. - Jest pan proszony na Kreml. Samochód czeka za mostkiem - powiedział ten mniejszy. Oddychał jeszcze z trudem, ale nie przestawał drobić nogami w miejscu.

- Prowadźcie - rzucił Blazow. - Wolno już nie truchtać.

Mężczyźni ruszyli w kierunku auta. Większy z osiłków, który nie odezwał się słowem, został nieco z tyłu zgięty wpół. Kolka.

Boczna brama Kremla, tak szczelna, że

nawet cień się nie przecisnę, ruszyła powoli w bok, ukazując dziedziniec ociekający złoconiami. Gdy samochód podjechał do kutech w żelazie, ukrytych za załomem muru drzwi, dwaj błękitni dresiarze zniknęli. Na górę, bez słowa, poprowadził Błażowa Sa-szeńka, tym razem ubrany nie w mundur komandosa, lecz w nienaganny, ciemny garnitur z kamizelką. Wchodzili na piętro drewnianymi, stromymi schodkami - tak wąskimi, że ściany zostawiały jasne smugi tynku czy farby na garniturze Saszeńki. Schody pięły się stromo ku górze, zakręcając bezustannie i trzeszcząc groźnie pod stopami. Mimo to przewodnik poruszał się pewnie, dobrze znał drogę i wytrzymałość schodków. Natomiast Błażow musiał się opierać ręką o zimną, obłą ścianę i wpatrywać pod nogi, bo ciemność rozjaśniało tylko wątłe światło spływające z rzadko rozmieszczonych ściennych kinkietów.

- Widzę, że przykład idzie z góry - wycedził powoli Kajdanowicz, gdy pułkownik przekroczył próg jego gabinetu, także tonącego w półmroku, nie tylko z powodu pochmurnej pogody, którą przyniósł niż znad Skandynawii. Jedyne wąska strużka światła przesączała się przez szczelinę między ciężkimi kotarami zasłaniającymi okno wychodzące na rzekę. Kajdanowicz z drwiną wymalowaną na twarzy patrzył na Błażowa w mokrym dresie.

Na wiele sobie pozwalał. Nie wobec pułkownika, oczywiście. Ten mógł tylko przełknąć kpinę w milczeniu. Kajdanowicz miał czelność dworować z prezydenta Rosji i wszystkich, którzy go naśladowali.

Odkąd prezydent Smirnow wprowadził się na Kreml, z pomocą speców od PR wynajętych w re-

nomowanej brytyjskiej agencji budował swój nowy wizerunek: ojca narodu, ale takiego, co nie pęka i zawsze jest gotowy stawić czoło wrogom - krótko mówiąc, miał być bossem i twardzielem. Chciał odróżnić się od przaśnych poprzedników - sekretarzy generalnych KPZR i zapijaczonego eksprezydenta. Rosyjskie gazety w milionach egzemplarzy karnie powielaly zdjęcia wodza: Smirnow ćwiczy w siłowni, Smirnow gra w piłkę z młodzieżą, Smirnow pływa, Smirnow galopuje na koniu...

Takiego prezydenta Smirnowa naród pokochał.

Od tego czasu ośrodki sportowe armii, służb specjalnych i policji pełne były brzuchatych generałów, którzy z mozolem wypacali niedolę służby, dźwigając ciężary i ciężarki. I przeklinali w duchu.

- Co dla mnie masz? - rzucił oschle Kajdanowicz, gdy jego twarz na powrót przybrała kamienny wyraz. Od czasu popołudniowej wizyty w mieszkaniu Błazowa mówił mu na „ty”. Wskazał pułkownikowi krzesło przy stoliku konferencyjnym, sam usiadł za biurkiem. - Siadaj i pisz, tylko wyraźnie - rozkazał.

Pułkownik był przygotowany.

Gdy szczegóły planu operacyjnego przelewał na papier, Kajdanowicz nie przerywał mu słowem. Teraz, kiedy Błazow już skończył i podał dygnitarzowi notatkę, także milczał. Kilkakrotnie przebiegł wzrokiem po kartce pokrytej równym pismem pułkownika i dopiero dźwięk kremłowskich kurantów dobiegający z za okna oderwał go od lektury.

- Nie zawiodłeś mnie - powiedział cicho. - Tego oczekiwałem. - Twardo patrzył pułkownikowi w oczy, jakby chciał sprawdzić wytrzymałość jego źrenic. - Twój plan jest zuchwały i sprytny, powiedziałbym nawet niespodziewanie błyskotliwy. Ale pamiętaj, grasz o wszystko. Jeden fałszywy ruch i konstrukcja runie, grzebiąc sprawę, no i ciebie też

- wycedził Kajdanowicz. Pułkownik wiedział, że nie używa przenośni.

- Myślisz, że Amerykanie wejdą do naszej gry?

- zapytał dygnitarz.

- Sprzedaję im świetny pomysł na biznes. Kupią to - odpowiedział bez wahania Blazow. - Chciwość rozum odbiera.

- Z kim będziesz grał?

- Z bankiem Stern & Sons, rządzi nim Robert Goldmine.

- To pięknie, najpotężniejszy bank świata, godny partner.

- Kajdanowicz zamyślił się na chwilę, ale zaraz wrócił do rozmowy. Zawiesił wzrok na twarzy Błażowa i spytał:

- Co wiemy o tym Goldminie? Ale gadaj po ludzku, nie po wojskowemu. - Zakręcił palcem kółko w powietrzu, jakby nawijał taśmę na szpulę, zachęcając pułkownika do mówienia. Jednak ten milczał.

- Weź krzesło i siadaj tu bliżej. - Kajdanowicza męczyła ciekawość, kim jest człowiek, który trzęsie rynkami finansowymi świata.

Blazow wykonał polecenie i usiadł przy biurku naprzeciw dygnitarza, ale nadal milczał, bo mówienie, a opowiadanie tym bardziej, nie było jego mocną stroną. Przygotować plan, zreferować go - to i owszem, wysledzić kogoś, nawet usunąć po cichu, proszę bardzo, niech będzie, ale opowiadać? Za kogo on mnie ma? - myślał pułkownik.

Kajdanowicz patrzył na oficera z dezaprobatą, przez dłuższą chwilę licząc, że ten jednak przemówi.

W końcu zrezygnowany machnął ręką. - No tak, tu cię przeceniłem. Nie od tego jesteś.

Sięgnął po słuchawkę i rzucił zwięźle: - Worobiowa do mnie, z teczką Roberta Goldmine'a, prezesa banku Stern & Sons.

Po chwili w drzwiach stanęła Olga Worobiowa. Weszła do gabinetu, nie patrząc na mężczyznę, kartkowała zawartośćteczki. Była to młoda kobieta w rogowych okularach, ubrana w skromną beżową bluzkę i brązową spódnicę tuż za kolano, trochę niestosownie opinając jej wydatne biodra. Podniosła wzrok, dopiero gdy stanęła przed biurkiem Kajdanowicza. Wtedy niesforny kosmyk jasnych włosów wymknął się z gładkiej fryzury zwieńczonej kokiem i zawisł przy policzku. Spojrzała na szefa, dyskretnie ukryła jasny kosmyk za uchem i widząc przyzwolenie, zaczęła mówić, nie przestając przeglądać papierów.

- Goldmine to dość tajemnicza postać, nasz wywiad nie do końca go rozgryzł. Miał ledwie skończoną pięćdziesiątkę, gdy został prezesem Stern & Sons (Kajdanowicz zmarszczył czoło: Niewiele starszy ode mnie - pomyślał). - Goldmine często podkreśla

- ciągnęła Worobiowa - że nic nikomu nie zawdzięcza, ale to naturalnie nieprawda i nikt w to nie wierzy. Żyd, oczywiście, ale pochodzi z biednej rodziny. O tym, w jaki sposób wdrapał się na sam szczyt światowej finansjery, krążą w Nowym Jorku legendy, jednak nikt niczego nie wie na pewno. Jedni mówią o starym profesorze Kravitzu z Harvardu, który miał pięknego wówczas i wszechstronnie utalentowanego kawalera polecić przyjacielowi z banku Stern & Sons

- ale nasi agenci nie potrafili wygrzebać niczego kompromitującego. - Tu Worobiowa podniosła wzrok i wydawało się, że profesjonalnie kamienny wyraz jej ładnej twarzy zmącił uśmiezek.

- No proszę: Żyd, a na dodatek gej - podsumował Kajdanowicz.

- Oto dwa zdjęcia. - Worobiowa podała dygnitarzowi fotografie. - To mniejsze zrobiono około roku 1980, w początkach jego kariery. Goldmine na pierwszym planie przy biurku, w tle inni maklerzy ze Stern & Sons. Drugie zdjęcie pochodzi sprzed roku, z konferencji w Davos, Goldmine w środku, z prawej brytyjski minister skarbu, z lewej prezes Banku Światowego.

Kajdanowicz uważnie popatrzył na fotografie i skrzywił się z niesmakiem, choć nie bez satysfakcji: - Czas nie obszedł się łaskawie z jego niegdysiejszą urodą - powiedział powoli i rzucił zdjęcia na biurko.

Worobiowa nie zwykła komentować słów szefa, więc odczekawszy, aż skończy swoją kwestię, mówiła dalej: - Pojawiały się również informacje o podejrzanych spotkaniach Goldmine'a w restauracjach z agentami FBI i Mosadu, ale nie ma na to żadnych dowodów. Ludzie mówią też oczywiście o łoży masońskiej i żydowskiej sitwie, ale to norma. W każdym razie nasz wywiad nie był w stanie niczego potwierdzić.

Kajdanowicz zmarszczył brwi.

- Dzisiejsza pozycja i siła banku to w dużej mierze właśnie zasługa Goldmine'a - mówiła dalej Worobiowa. - W mistrzowski sposób potrafi wykorzystywać kryzysy do pomnażania pieniędzy. Także ten ostatni, największy. Specjaliści od finansów twierdzą, że tylko dwie wielkie instytucje na całym świecie były do niego przygotowane: Bank Stern & Sons

i Watykan, który zawczasu sprzedawał akcje i skupował złoto na tony. Goldmine często podkreśla, że tylko dwóch ludzi przewidziało kryzys: on i papież.

Worobiowa skończyła mówić i podniosła wzrok znad teczki. Patrzyła na Kajdanowicza, starając się odgadnąć z jego miny, czy jest zadowolony z referatu. W gabinecie zaległa cisza. Dygnitarz siedział za biurkiem z posępnym wyrazem twarzy. Zdjął okulary i ze złością przecierał szkła chusteczką. Nie zadowolila go opowieść Worobiowej, ale nie była to wina dziewczyny, tu nawet jej dyplom z Harvardu nie pomoże: po prostu wywiad nic nie wiedział o prezesie największego banku świata! Ten cholerny Pietrow, leń patentowany! Na dobrą sprawę powinno się go rozstrzelać, ale nie te czasy, niestety. I jak tu pracować?

Tymczasem Worobiowa, z twarzą białą jak papier, stała bez ruchu przy biurku szefa, sądząc, że to ona jest przyczyną jego gniewu. Widząc to, Kajdanowicz opanował złość, wykrzywił usta w grymasie, który miał być uśmiechem, i zwrócił się do niej: - Dobrze się spisałyście, Worobiowa, dziękuję. Możecie odejść.

Gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi, dygnitarz szorstko zwrócił się do Błażowa:

- Jutro polecisz na Cypr, tam będzie twoja baza. Dostaniesz dobrego informatyka, wyposażenie. On zapewni ci całą obsługę techniczną, będzie odbierał i rozsyłał wiadomości. Wiem, że nie lubisz tej całej „techniki”... - Wargi dygnitarza wygięły się w czymś w rodzaju wyrozumiałego uśmiechu. - Wszystkie przesyłki, odpowiednio zabezpieczone, będziesz sygnował kodem Alfa - to twój tajny osobisty kod wskazujący na najwyższy priorytet zadania. Każdy z naszych ludzi na świecie natychmiast wykona polecenie Alfego. Tak chyba nazywano twój oddział w Afganistanie, jeśli dobrze pamiętam? Teraz Alfa to ty!

Kajdanowicz przerwał, wstał i nie patrząc na Błażowa, podszedł do okna. Odchylił kotarę. Na chwilę musiał zacisnąć powieki, bo wiosenne słońce przedarło się przez ciężkie deszczowe chmury, a jego promienie odbijały się w złoceniach cerkiewnych dachów i kopuł z taką siłą, że dygnitarzowi zajączki skakały przed oczami. Gdy je ostrożnie otworzył, zanim przemówił, jeszcze przez dłuższą chwilę zachwycił się widokiem lśniącej w słońcu rzeki Moskwy, której nurtem płynął wycieczkowy statek z turystami.

- Kogo wyślesz do Amerykanów? - spytał w końcu odwrócony do Błażowa plecami.

- Fiodotowa.

- Tę mendę? Bardzo dobrze.

Kajdanowicz wrócił za biurko, ale nie usiadł, oparł się rękami o blat jak o mównicę.

- Finansowanie zapewnia człowiek z Belidze. Akcję w Polsce, według twojego planu, poprowadzą jak dotychczas ludzie z Sovgazu. Nasza komórka w Turkmenistanie bez trudu zrobi, co zaplanowałeś, to najłatwiejsza część programu. Ty spinasz wszystko. Informujesz mnie o kolejnych etapach - wyprostował się energicznie - zrozumiano?

- Tak. - Błażow skinął głową, przepocony dres nie sprzyjał służbowej etykietce.

- Możesz odejść.

W progu stał już sękaty Saszeńka. Gdy Błażow kierował się ku wyjściu, na biurku Kajdanowicza zadzwonił czerwony telefon. Ale dyg-

nitarz nie podniósł słuchawki, dopóki za pułkownikiem nie zamknęły się drzwi. Odczekał jeszcze dwa dzwonki. W słuchawce spokojny głos wypowiedział sześć słów:

- Kajdanowicz? Słyszałem wszystko. Masz *carte blanche*.

Kremlowski kierowca odwiózł pułkownika do mieszkania na Tagance. Niemal w progu Blazow zrzucił mokry dres i sportowe buty, napuścił wody do wanny. Zagłębił się po szyję w pianie i próbował jeszcze raz zebrać i uspokoić myśli. Jednak jego mózg tego dnia pracował inaczej: nie był w stanie ani powtórnie przeanalizować sytuacji, ani do wczorajszego puzzla dokleić nowych wrażeń i informacji. Pustka i bezruch szarych komórek wpędziły go w rozdrażnienie.

Wyszedł z wanny, otulił się szczelnie granatowym szlafrokiem i poczłapał do kuchni. Zimno, już przestali grzać.

Poczuł głód. Otworzył drzwi lodówki i po kolei przejrzał zawartość każdej z półek. Tu nic się nie zmieniło: napoczęta puszka sardynek, chyba przedwczorajsza, i dwa słoiki korniszonów. Otworzył jeden z nich i całą zawartość przelał niezdarnie do szklanej miski, którą wyjął z szafki. Dłuższą chwilę wpatrywał się w ogórki z napięciem: było ich dwadzieścia jeden. Znów podszedł do lodówki, sięgnął po drugi słoik, chciał sprawdzić, czy liczba korniszonów jest taka sama, ale zwalczył pokusę.

Z miską w ręce zagłębił się w fotelu i wcisnął guzik na pilocie do telewizora, wybrał kanał z kreskówkami, wyłączył głos. Pogryzając ogórki, obserwował wilka, który wygrażał zającowi. *Mi pagadi, zajad* - odczytał z ruchu warg.

Nagle z klatki schodowej dobiegł go odgłos kroków, ktoś podszedł do drzwi jego mieszkania i przystanął. Zaległa cisza.

Blazow, wciąż z miską korniszonów w ręce, nie spuszczając wzroku z wilka, sięgnął po pistolet leżą-

cy na stoliku obok lampy Tiffanyego. Odbezpieczył go, a potem usiadł na kanapie w głębi salonu - tam był niewidoczny z przedpokoju. Broń położył przy udzie. Wyłowił ogórka z miski. Czekał.

Po chwili rozległo się pukanie. Wpatrzony w telewizor Blazow nawet nie drgnął. Na ekranie wilk gonił zającą, wymachując łopata. Znow ktoś zapukał. Głośniejsze i natarczywiej. Pułkownik powoli i cicho odgryzł kawałek ogórka.

- Andriej, to ja - usłyszał słowa Natalii. Ma ładny głos - pomyślał - niski i ciepły. Znow sięgnął po ogórka. - Andriej, otwórz! Wiem, że tam jesteś. Jutro przyjeżdża Butz. Nie chcę być dzisiaj sama...

Blazow sięgnął po pilota, włączył dźwięk i wzmocnił go do końca skali. Nie słyszał już pukania ani kroków odchodzącej Natalii. Na ekranie tym razem zając gonił wilka, wrzeszcząc: *Nu pagadi!!!* Pułkownik zdziwił się trochę, bo powinno być odwrotnie, ale pomyślał, że może mu się wydawało.

Bębenki jego USZU poraził pisk o takim natężeniu, że szklanki by rozbił, potem chrapliwy skowyt. Obudzony w środku nocy pułkownik usiadł na materacu. Przytomność wracała powoli. Odrzucił kołdrę, wychylił się z łóżka i po ciemku próbował wymacać zegarek na blacie nocnego stolika. Trzecia, do kurwy nędzy!

Po chwili, gdy już wybudził się trochę, spróbował określić źródło dźwięku, który tak brutalnie przerwał mu sen: uchylone okno! To Natalia.

Pieprzy się przy otwartym oknie, a mówiła, że tylko ze mną - poczuł się zawiedziony. - Butz ma przyjechać jutro, musiała sobie kogoś znaleźć na wieczór, smutna kurewka!

Blazow z wysiłkiem zwałował się z łóżka. Nie mógł po ciemku trafić w kapcie, więc bosy, na krawędziach stóp, z

zimna wykrzywając usta, podszedł do okna. Był wściekły, że piski dziewczyny, a teraz lodowata podłoga, wybudzą go na amen i resztę nocy będzie musiał spędzić na oglądaniu kreskówek. Gdy sięgnął do klamki, żeby zamknąć okno i odciąć się od rozkoszy Natalii, zauważył, że nic już nie słychać, że krzyk dziewczyny ustał.

Pułkownik wrócił do łóżka, ułożył się na brzuchu, prawą dłoń wsunął pod przepocony jasiek, z którym nigdy się nie rozstawał. Ale sen nie przychodził. Blazow przewrócił się na bok i znów wsunął rękę pod jasiek. Nadal nic.

Spokoju nie dawała mu inna niż zwykle melodia miłosnych uniesień Natalii. Nata nigdy tak nie kończy, zawsze jeszcze długo pojękuje - zdziwił się i lekko zaniepokoił. Znów usiadł na łóżku, zrobił kilka obrotów głową. Potem wstał, wciągnął spodnie i włożył

sweter na gołe ciało. Zszedł po schodach. Przystanął przed drzwiami mieszkania dziewczyny. Były uchylone. Przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Lekko pchnął klamkę i powoli wszedł do przedpokoju. W salonie zobaczył drgające na ścianie odbicie płomienia cynamonowej świecy, którą Natalia zawsze zapala na takie okazje („bzykoświeca" - tak ją nazywa).

Leżała naga z rozwartymi nogami i rękami, przywiązany czterema pończochami do ramy łóżka. Koniec piątej pończochy, zakręconej ciasno wokół szyi (przez kogoś, a może przez samą Natalię), spoczywał luźno na lewej piersi dziewczyny. Oczy miała otwarte, w chwili śmierci wpatrywały się w wielki kryształowy żyrandol, a może w oczy mordercy?

Błazow stał przez chwilę przy łóżku wpatrzony w stężałą twarz Natalii, w której nie było strachu ani cierpienia, może tylko lekki odcień zdziwienia w przekrwionych, wybałuszonych oczach. Patrzył na dziewczynę z wyrzutem, jakby chciał jej powiedzieć: „Nata, do cholery, sama jesteś sobie winna! Te zboczone pomysły: pejcze, kajdanki i to zaciskane, nie tak dla draki, ale mocno, do krwi, albo pistolet w cipsku, koniecznie odbezpieczony! W końcu trafiłaś na psychola, kretynko!"

Natalia lubiła zabawy sadomaso, a pułkownik spełniał jej perwersyjne zachcianki, chociaż takie gierki nie sprawiały mu przyjemności, podobnie jak dezynfekowanie ran po ukąszeniach kochanki, która zostawiała mu gdzie popadło głębokie i krwawe ślady swego krzywego zgryzu.

Z zadumy pomieszanej z rozdrażnieniem wyrwał Błazowa syk gasnącego płomienia bzykoświecy. Wyszedł ostrożnie z mieszkania dziewczyny, nie domykając drzwi. Spojrzał jeszcze na futrynę, o którą Natalia zwykle opierała się w pożądlwym oczekiwaniu na niego. Potem przetaił klamkę brzegiem swetra - na wszelki wypadek - nie pamiętał, czy wchodząc tu, zostawił na niej ślady.

Rozdział 56.

Moskwa

Siergiej Wzniósł kryształowy, rżnięty w kwiaty kieliszek, w którym radośnie podskakiwały bąbelki szampana Dom Perignon. - *Na zdarowie, riebiata* - zakrzyknął piskliwie. - Na zdrowie, Siergieju - odkrzyknęli chórem i przechylili kieliszki. Do dna. Nikt na tego „Dorna Perignona” nie powiedział złego słowa - wiedzieli, że Siergiej lubi snobizmy, ale trzech młodzi mężczyźni, jak na komendę, skrzywili się lekko i pomyśleli, że jutro będzie kac i masakra.

- Panowie, przyszedł nasz wielki dzień - ciągnął Siergiej, mocno ożywiony. - Dostaliśmy zlecenie od Sovgazu, zlecenie-marzenie, o którym śniliśmy od chwili założenia firmy. Mamy robotę na rok, i to robotę nie za marne kopiejki, ale za walizki pięknych rubelków. I referencje jak cholera! A więc, panowie, skrzynka szampana jest wasza, a od jutra kielbasy w górę - i do roboty!

Czarna marynarka od Armaniego szerokim łukiem przeleciała pół gabinetu Siergieja i opadła na skórzany czerwony fotel. Po chwili tę samą przestrzeń, z podobną trajektorią, pokonała jedwabna fioletowa koszula. Po niej wystrzeliły kolejno czarne skarpetki i żółty krawat - ale nie doleciały, opadły na szarą biurową wykładzinę tuż przed fotelem.

Siergiej wszedł pod prysznic. Zamknął oczy. Mocny strumień gorącej wody boleśnie masował mu ramiona.

Teraz życie inaczej się potoczy! - cieszył się w duchu. - Teraz dopiero wyjdę na prostą, wszystko się ułoży, ułoży się. To życie zakręcone jak obwarzanek, to moje zezowate szczęście.

Zawsze, gdy myślał o swoim kaprawym losie, wracała do niego scena z filmu, tytułu nie pamiętał, zwariowanej komedii oczywiście: podczas ogrodowego kinderbalu, wśród gromadki dzieci zajętych zabawą, jeden chłopaczyna kręci się wokół własnej osi z taką determinacją, jakby chciał sam siebie wystrzelić w kosmos.

Jakaś mamusia przechodzi obok, przetyka łąpczywie tort czekoladowy, macha widelcem i troskliwie mówi: - Nie rób tak, kochanie, bo w główce ci się zakręci! A chłopak nic - dalej się kręci. Potem jakiś tatuś zauważa wirującego malca, zbliża się i nakazuje groźnie: - Przestań natychmiast! Bo zwymiotujesz! A dzieciak nic, coraz szybciej się kręci. Na koniec dwie mamusie, spacerujące po ogrodzie pod rączkę, mijają chłopaczka, przerywają plotki, już, już jedna chce coś powiedzieć, wiadomo co: - Nio, nio, nio, nie wolno - ale nie zdąża - chłopak wali łbem o chodnik, z ust tryska fontanna wymiocin skomponowana

z chipsów, cukierków, coli i czekoladowego urodzinowego tortu.

Oto życie moje - patetycznie myślał Siergiej w takich chwilach.

„Wybitny programista”, „młody geniusz” - tak o nim mówili i pisali, w gazetach nawet. Zwycięzca konkursu SoftTechu, światowego, informatycznego giganta, nagrodzony trzymiesięcznym stażem w Krzemowej Dolinie, mekce informatyków całego globu. Wszystko dobrze mu się układało, wprost znakomicie. A układałoby się jeszcze lepiej, gdyby nie młodzieńcza fantazja, parę wypitych flaszek i duża porcja buzującej namiętności.

Siergiej dobrze zapamiętał tamten dzień. Wrył mu się w mózg jak napis na płycie nagrobnej jego kariery.

To był piątek. Nieszczęsny piątek, choć wcale nie trzynastego. Skończyli właśnie z Maksem projekt oprogramowania na zaliczenie stażu w SoftTechu. Zadanie jak zadanie. Na pewno nie na miarę talentu Siergieja, Maksa też zresztą nie, raczej wprawka. Byli najlepsi. Nic wtedy jeszcze nie zapowiadało katastrofy, która miała nadejść nocą i w jednej chwili, brutalnie, zniszczyć im obiecujące kariery.

Z Maksem zbliżyli się od pierwszego dnia stażu, choć nie mieszkali razem. Po przyjeździe do Krzemowej Doliny gruby John, ponury recepcjonista, który nie rozstawał się z hot dogiem, dokwaterował Maksa do pokoju Duńczyka Gunnera - zwalistego, milczącego jak Harald Sinozęby blond wikinga. Siergiej z kolei, ślepym wyrokiem grubego Johna, trafił na Francuza Jacques'a: - To dopiero nieszczęście! - żalił się Maksowi - gęba mu się nie zamyka, napierdala na okrągło po angielsku z tym swoim francuskim akcentem - nic nie idzie zrozumieć! I narzeka jak moskiewski taksówkarz albo i gorzej: a to wino kalifornijskie nie *oke*, a to znów sery nie *oke*. Wyobrażasz sobie? Po ichniemu nie *oke* znaczy to, że nie *okay*,

ale te żabodmuchy głoski *jot* nie wymówią; u nich *ay* to e, no i gadaj tu z takim! - Siergiej wyplakiwał się Maksowi w rękaw, chcąc wzbudzić litość i namówić go na wspólne mieszkanie. Ale bez powodzenia.

Dlatego Siergiej wolny czas, chociaż za dnia, chciał spędzać z Maksem, bo Maks (ach, ten Maks...) nieśmiały, cherubinek taki: włoski ciemne, kręcone lekko, a oczy tak głębokie, że Siergiej błagał w myślach gejowskiego boga o koło ratunkowe. No ale bóg koła nie rzucił. I stało się. Nieugaszony pożar Siergiejowych zmysłów wybuchł z taką siłą, że chłopak nie mógł już zwalczyć chuci - tylko czekał na okazję. Miał plan.

Postanowił go zrealizować właśnie w tamten nieszczęsny piątek (niech będzie przeklęty). Wyciągnął Maksa na piwo. Zaczęli, jak zawsze, od studenckiej knajpy na rogu, przy wyjściu z kampusu, gdzie czasem w tłoku i dymie można się niewinnie pocierać: gadka szmatka, dwa browary. Następnie poszli w dół, do centrum, do Hard Rock Cafe: *smali talk* przy łubu dubu i po dwie *whiskey on the rocks*. Potem przemknęli obok ulubionego baru gangów motocyklowych, szerokim łukiem ominęli czarne harleye z trupimi czaszkami, ignorując głośne zaczepki i świntuszenie. Aż wreszcie Siergiej doprowadził lekko wstawionego już Maksa tam, gdzie zamierzał: przed drzwi klubu Naked Truth, czyli do Nagiej Prawdy. Siergiej znalazł ten klub, bywał tu już wcześ-

niej. Porządne miejsce, dyskretne i z klasą. Nie żaden tam gejowski bajzel do dupczenia na stojaka: z tyłu, nomen omen, od zaplecza, troskliwy i znający się na rzeczy właściciel urządził dyskretne gabineczki z leżankami.

Ale Maks (ach, te jego oczy...) nieswój jakiś: wierci się, kręci na barowym stołku, rozgląda dookoła. Siergiej widzi, że nic z tego nie będzie: pośladki mocno ściągnięte! Trzeba brać flaszkę i próbować gdzie indziej, w jakimś miejscu bardziej *friendly* dla prawiczka. (Maks, co ja z tobą mam...).

Na szczęście zabodmuchał Jacques gdzieś poszedł. Pokój wolny. Więc niestety od początku: dwie wódeczki na kanapie i gadka szmatka, rączka na oparciu, za plecami Maksa, druga, jak trzeba, na kolanku. Już, już Siergiej witał się z gąsiorkiem Maksa, a tu buch! Ten prawiczek zrywa się z kanapy tak miękko, że przyjemnie byłoby się we dwóch zagłębić - i do komputera! - Może pohakujemy? - pyta (jak nastolatka, co chciałyby, a boi się - więc wyciąga albumy z fotkami aktorek). Jasna cholera!

Siergiej załamany, ociężały po gorzale, a w Maksa jakby piorun strzelił: wali palcami w klawiaturę, przed oczami migają ikony: Biały Dom, CIA, FBI, Pentagon. No i poleciało! Łatwo było, ale zapomnieli dla bezpieczeństwa przeskoczyć przez parę zamorskich serwerów, żeby ich nie namierzyli.

I namierzyli, oczywiście.

Obudził ich trzask drzwi wywalanych razem z futrynami przez agentów FBI. Ściągnęli półnagich z kanapy i rzucili na ziemię. Siergiej był tak przerażony i skacowany, że nawet nie pamiętał, czy z Maksem na tej kanapie do czegoś w końcu doszło, czy nie. Maks nie chciał w ogóle nic mówić, ale patrzył na Siergieja jakoś dziwnie.

W każdym razie teraz mieli większe problemy niż ustalenie, czy TO się stało, czy nie. Groziła im długa odsiadka za szpiegostwo, za złamanie zabezpieczeń Pentagonu, jakby to

był wyczyn jakiś (kogo oni tam zatrudniają?). Ale nic armii amerykańskiej nie napsuli, poza krwią, żadnych akt tajnych nie przejrżeli. Na szczęście.

Więc po trzech miesiącach odsiadki i przesłuchań wsadzono ich do samolotów: Maksa do Polski, Siergieja do Rosji - i deportowano. Bez prawa powrotu na amerykańską ziemię.

A w Rosji Siergieja nosili na rękach: ot, Ruski dał popalić Amerykańcom! Pięknie było! Przez jakiś czas tylko, niestety, bo później nikt nie chciał Siergieja zatrudnić: ani zachodnie korporacje - pewnie zabronione było albo przynajmniej źle widziane - ani rosyjskie firmy, bo zbyt dobry w swoim fachu, a one zawsze miały coś za uszami.

Więc Siergiej, z braku wyboru, założył firmę; nazwał ją przekornie i głupio - Hackservice. Objechał pół Rosji, zebrał najlepszych hakerów z rosyjskiej ziemi i w garażu na moskiewskim przedmieściu czekał na klientów. Czekał i czekał, ale doczekał się tylko smutnego pana w szarym prochowcu, który życzliwie poradził, żeby zamknął interes, bo nogi z dupy powyrywa.

Jednak Siergiej twardy był albo głupi, dobrej rady doświadczonego człowieka nie posłuchał, i czekał dalej. Jego kaprawy los w końcu się zlitował: przyszedł inny, nie mniej smutny pan - z Sovgazu, rosyjskiego monopolisty branży wydobywczej, i zaproponował

zlecenie. A dokładniej: czekanie na zlecenie. Płacił za gotowość. Dobrze płacił. Siergiej domyślił się, że jego mołojcka, hakerska sława sprawiła, że ten smutny pan i jego pewnie równie smutni szefowie woleli mieć go na smyczy, niż martwić się, dla kogo pracuje i jakie tajemnice zgłębia, czy aby nie ich?

Aż wreszcie przyszedł ten dzień, a z nim prawdziwe, wyczekane zlecenie: miał zbudować i obsługiwać system ochrony sieci informatycznej gazowego giganta.

Teraz karta się odwróci - cieszył się Siergiej, a strugi wody z prysznicza chłodziły jego rozpaloną głowę, obmywały jasne włosy i delikatne, chude ciało, rozpryskując się na szybach kabiny. Usłyszał skrzypnięcie drzwi i niski znajomy głos: - Mogę wejść do ciebie?

- Chodź, kochanie...

Rozdział 63.

Cypr, Larnaka

Samolot z Aten do Larnaki nadlatywał od strony morza. Pilot schodził do lądowania z taką stanowczością, że zdawało się, iż skosi maszty żaglówek wycelowane w podbrzusze maszyny. Nie miał zresztą wyboru - pas startowy lotniska w Larnace zaczyna się tuż za wąską plażą. Pasażerowie, którzy nie lubią mocnych wrażeń, nerwowo przełykali ślinę.

Inaczej pułkownik Blazow, on zachował spokój i dobry nastrój, mimo że przez małe okienko nie mógł dokładnie policzyć masztów żaglówek, nad którymi przelatywał samolot. Ubrany w płócienne beżowe spodnie, brązową koszulkę polo i także mokasyny (kupione przed laty w Larnace w nędznym sklepiku, który prowadził zasuszony staruszek, niegdysiejszy bohater walk z Turkami), pułkownik zbliżył się pewnym krokiem do budki kontroli paszportowej. Na ladzie położył słomkowy, wakacyjny kapelusz i podał dokument spoconemu żołnierzowi. Tak jak przewidywał - jego paszport nie wzbudził żadnego zainteresowania.

Na Cyprze czuł się jak w domu. Był tu przed laty wiele razy, ale nigdy nie zostawił śladów.

Na tej śródziemnomorskiej wyspie, należącej do Unii Europejskiej, lubią Rosjan. Bardzo. I żyją z Rosjan. Sympatia jest zresztą wzajemna. To tu, korzy-

stając z liberalnego prawa gospodarczego i podatkowego, zarejestrowano tysiące zagranicznych firm. Wiele z nich to spółki rosyjskie. Specjalność: import-eksport. Na papierze.

Za długimi rzędami liczb o wielu zerach, wypełniającymi co roku setki tysięcy ksiąg rachunkowych, kryją się surowce, które zrodziła rosyjska ziemia. Każda rosyjska spółka wydobywcza ma tu swoją córkę, którą obdarza przywilejem wyłączności na sprzedaż urobku. I tak koszty wydobycia pozostają w Rosji, a zyski ze sprzedaży trafiają na Cypr. Następnie rzeka pieniędzy rozdziela się na wiele nurtów: znaczna część płynie na różne konta w szwajcarskich albo zamorskich bankach - do tych, którzy kiedyś rozdali rosyjskie skarby w ręce szemranych biznesmenów, oraz do tych, którzy obecny stan akceptują, czyli do kremlofskich polityków. *Perpetuum mobile.*

Po wyjściu z niewielkiej, zapełnionej po brzegi turystami hali lotniska pułkownik Blazow skierował się w prawo - ku postojowi taksówek, który znajdował się na placu, ledwie kilkadziesiąt kroków dalej. Naprzeciw wyszedł mu smagły, otyły mężczyzna w przepoconej, rozpiętej niemal do pępka koszuli. - Taksy? - zapytał służbowo. Pułkownik skinął głową. Wtedy Cypryjczyk, zapewne kierownik postoju, samozwańczy albo z nadania lotniskowej góry, rzucił coś po grecku do mężczyzn, którzy grali w kości przy rozkładanym turystycznym stoliku, ułomnie ocienionym przez samotną palmę. Jeden z nich podniósł się żwawo, wziął niewielką torbę podróżną z rąk pasażera i wskazał samochód. Blazow wszedł do żółtego, starego mercedesa i kazał się wieźć na przybrzeżny deptak Phinikoudes.

Na rogu ulicy dochodzącej do deptaka, przy Meeting Pubie, smutnej budzie, której ściany obwieszono plazmowymi telewizorami, żeby turyści mogli oglądać kilka meczów ligi angielskiej naraz, pułkownik kazał zatrzymać. Zapłacił i ruszył

ku następnej przecznicy - tam czekał na niego zielony jeep; drzwi były otwarte, a kluczyki w schowku. Na wyspie nikt jeszcze nie zamykał samochodów, choć przestępczość już się pojawiła - razem z Rosjanami.

Blazow wyjechał z miasta na autostradę. Prowadził ostrożnie: pierwsze godziny jazdy w ruchu prawostronnym zawsze były trudne. Szczególnie irytowało go, gdy włączał wycieraczki zamiast kierunkowskazu, których dźwignie chytrze zamieniono. Dopiero gdy minął Limassol, poczuł się pewniej i przyśpieszył. Po kilkudziesięciu kilometrach, ale jeszcze przed skałą Afrodyty, jeep pułkownika skręcił na północ, w góry Troodos.

Droga biegła z początku płasko, ale już tu, u podnóża wzniesienia, czuł na twarzy powiew świeżego wiatru - zapowiedź chłodu, który czekał go wysoko w górach. Mijał samotne monastyny i pojedyncze domostwa. Droga pięła się coraz bardziej stromo; asfalt już dawno ustąpił miejsca kamiennym wybojom. Jeep sunął dróżką, która przecinała zbocze, bujał się na mocnych resorach i szorował brzuchem po krzewach rosnących między głębokimi koleinami.

Po dwóch godzinach jazdy przez bezdroża Blazow dojrzał w oddali zabudowania: liche, kamienne domostwo o surowych, niewyprawionych nawet wapnem ścianach i płaskim dachu pokrytym dachówką. Gdzieś tam rzędy jasnoczerwonych, wyblakłych od słońca i popękanych płytek przykryto dodatkowo

szarą blachą: pewnie, żeby wiatr w środku nie hulał, bo o deszcz doprosić się tu nie sposób. Gospodarstwo otaczały zdziczały gaj oliwny, schodzący tarasami ku dolinie: drzewka karłowate, wysuszone do cna, wydierały jeszcze mdlawy zapach, który zmieszany z wonią rosnącego gdzieś w dolinie lauru wypełnił wnętrze samochodu.

Tu kończyła się droga. Jeep Błażowa wjechał na podwórko przez rozpadającą się kamienną bramę. Pułkownik poczuł na sobie spojrzenie czyichś czujnych oczu. Zatrzymał auto w rogu podwórza, przy chlewiku. Wysiadł z samochodu i nieśpiesznie rozprostował mięśnie zeszywniałe w drodze przez górskie wertepy. Potem wyjął z bagażnika podróżną torbę i podszedł do drzwi domostwa. Zapukał w umówiony sposób. Drzwi się uchylły.

- Czy tu mieszka pan Samaras? - spytał.

- Proszę wejść, pułkowniku. - Młody mężczyzna szeroko otworzył drzwi.

Informatyk Oleg, bo takie nosił imię, prawdziwe lub nie, poprowadził Błażowa do izby. - Napije się pan gruzińskiej herbaty? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi, pułkownik rozglądał się uważnie po pokoju. Mimo to gospodarz postawił okopcony czajnik na gazowym palniku i wyjął z szafki kubki. Dyskretnie przyglądał się pułkownikowi, który tymczasem usiadł przy drewnianym stole z surowego, ledwie oheblowanego drewna. Oleg czuł lekki zawód, nie tak wyobrażał sobie szefa: Błażow był niezbyt wysokim mężczyzną, chudym i tak żylastym, że spod cienkiej warstwy skóry na jego szyi prześwitywały fioletowe zgrubienia żył i aorty. Oleg pomyślał, że pułkownik byłby doskonałym modelem anatomicznym dla studentów medycyny poznających układ krwionośny i mięśniowy. Oczywiście musiałyby najpierw zemrzeć młodo i w dobrym stanie.

O ile to pierwsze, z powodu profesji pułkownika, dość łatwo można było sobie wyobrazić, to drugi warunek był raczej trudny do spełnienia.

Zapewne z powodu tej chudości kanciastą twarz Błażowa, pozbawioną grama tłuszczu, przecinały we wszystkie strony zmarszczki, nadając jej stanowczy

i posępny wyraz. Do tego obrazu nie pasowały tylko chłopięce oczy, pełne jednak jakiegoś nieokreślonego smutku, i nadzwyczaj jasne, prawie białe, krótko ostrzyżone włosy. Oleg pomyślał, że ten mężczyzna wygląda jak stare dziecko, ale mógł być pewien, że z takim dzieckiem nie ma żartów.

Zanim czajnik zaczął prychać, pułkownik wstał i ruszył na inspekcję bazy.

Domostwo liczyło trzy izby. Miało być ich schronieniem na wiele tygodni. Sprzęt informatyczny zajmował pół największego pokoju; prócz niego stał tu jeszcze stół, na którym dymiły już kubki z wrzącą herbatą, krzesła i kanapa. Przez ścianę izby, do chlewika, Oleg poprowadził kable rezerwowego generatora prądu i przewody anten satelitarnych. Tak sprytnie je ustawił, że przez dziurę w dachu odbierały sygnały z satelity, same pozostając niewidoczne.

Mniejszą sypialnię, klitkę raczej, zajął Oleg, zostawiając pułkownikowi dużą i wygodną izbę ze starym, skrzypiącym łóżkiem i świętą ikoną zawieszoną na brudnym, ciemnoszarym, chropowatym tynku. Obie izby nie miały okien, zamurowano je dla bezpieczeństwa.

- Pozwoli pan, pułkowniku, że go wprowadzę w sprawę - zaczął pośpiesznie, ale z respektem Oleg, gdy Błazow wrócił do izby i usiadł przed kubkiem parującego napoju.

- Mów, ale bez zbędnych szczegółów technicznych, w prostych żołnierskich słowach - zgodził się niechętnie pułkownik.

- Mamy tu dostęp do części bazy danych FSB i bezpośrednią zaszyfrowaną łączność z centralą oraz z agenturą. Przygotowałem dla pana „opakowanie” - to taka struktura informatyczna, jakby wirus komputerowy najnowszej generacji. Do jego wnętrza wprowadza się wiadomość opatrzoną kodem alfa - pana osobistym kodem. Wiadomość można otworzyć tylko poprzez uruchomienie specjalnego programu, który działa jak detonator: niszczy opakowanie, odsłaniając treść. Całość - nie do złamania. Pokazać panu, jak to działa?

- Prosiłem, bez szczegółów. - Grymas na twarzy Błazowa wyrażał skrajne zniechęcenie. - Może jutro. Idę spać.

Pułkownik zabrał kubek i wyszedł do swojej sypialni, zamykając dokładnie drzwi. Pociągnął łyk bardzo jeszcze gorącej herbaty i odstawił naczynie na nocną szafkę. Zdjął buty, zmienił skarpetki po całodziennej podróży i wyciągnął się na skrzypiącym łóżku pod świętą ikoną.

Sięgnął po gazety, które dostał w samolocie. Jego wzrok przykuł tytuł w „Financial Courier”: *Czy to jest naprawdę zwykły bank? Stern & Sons steruje Waszyngtonem.* W artykule na pierwszej stronie ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego mówił o „cichym puczu kapitału”. Dalej dziennikarz pisał: *Prezes Robert Goldmine z gigantycznego zysku banku w ostatnim roku według własnego klucza rozdał pracownikom 20 miliardów dolarów. Nie zapomniał odpowiednio dopieścić i wrogów, i przyjaciół. Jemu samemu przypadło 68 milionów.*

Już nie tylko nawiedzeni internauci, ale i autorytety zauważają, że decyzje gospodarcze w Białym Domu podejmują ludzie wywodzący się z banku Stern & Sons, że to oni doprowadzili do bankructwa konkurentów banku, że to oni udzielili mu wielomiliardowej subwencji z pieniędzy podatników, że rządy kolejnych krajów słusznie skarżą się całemu światu na barbarzyńskie, spekulacyjne ataki na ich waluty.

Blazow odłożył gazetę i uśmiechnął się z satysfakcją - dokonał trafnego wyboru. Oto wspólnik idealny.

Pot lal Się z jego tłustego ciała jak żar z cypryjskiego majowego nieba na plaży Nissi. Pograżony w wolnomyśleniu Fiodotow rozpływał się w gorącu, które przytępiało ostrość wzroku i rozmywało kontury przybrzeżnej skały. Zmęczony umysł pracował leniwie, niczym kołchoźnik na samogonie.

Dlaczego młode kobiety tak bezlitośnie torturują? - myślał nieśpiesznie, rozglądając się na boki. - Te cycki torturują... Stare kobiety - to nie. Młode właśnie. Stare na plaży uwalniają radośnie piersi z biustonoszy, pozwalają im dyndać przerażająco swobodnie na rozciągniętej do pasa skórze.

A młode - nie. Młode kobiety aresztują młode cycki, wciskają je w kolorowe biustonosze o najbardziej wymyślnych krojach. Tak wymyślnych, że one, te cycki właśnie, przy najmniejszym naporze wody morskiej chcą się uwolnić, chyżo wyskoczyć i zakpić ze światowych projektantów mody od Versace czy nie-światowych z jakiegoś Uniwiermaga, na przykład.

Co za okrutna sprzeczność kobiecej natury: stare uwalniają, a młode aresztują - Fiodotow czuł się osobiście i głęboko dotknięty kobiecą perfidią. Stare chcą budzić pożądanie, choć nie mogą, a młode mogą, a nie chcą... Pokręcony świat.

Ta myśl wpędziła go w złość i frustrację. W kolorowych czasopismach wiadrami przecież leją się kobiece Izy i skargi: *Ojoj, mój mąż już mnie nie zauważa! Ostatni raz mnie ten-tego w poprzednim kwartale. Usycham, już nie jestem atrakcyjna, ratuuunku!* Ale na plażę to jedna z drugą wyciąga zbroję nowej letniej kolekcji i dawaj sznurować, zapinać, wiązać te cycki nieszczęsne. I jeszcze się cieszą!

Zadowolone z siebie, pokazują, jaką to śliczną uprząż cyckową nabyły drogą kupna albo prezentu.

Tak. Trzeba rewolucję zrobić, światową! - roił wycieńczony upałem mózg Fiodotowa. Namówić Greenpeace,

Armię Zbawienia, innych Niepokalanych Rycerzy Dziury Ozonowej i biustonoszom powiedzieć - nie! Trzeba oplakatować wszystkie plaże: *Jestem topless, dbam o środowisko* albo *Nagim biustem w dziurę ozonową*. (Kto wie, może i Watykan by się przyłączył...?). Jakie to oszczędności by były! Na skalę globu! Materiału mniej, gumy mniej, chemii mniej, energii mniej! Miliaaardy!

Już widział oczami wyobraźni okładki kolorowych magazynów ze zdjęciami sławnych kobiet: Maria Szarapowa, Naomi Klein, Paris Hilton, prezydentowa Smirnowa - i krzyczące tytuły: *Jestem topless, ratuję planetę!*

Był z siebie dumny. Ten plan rewolucji światowej spodobał mu się bardzo...

- *Priviet, mendo* - niski głos wyrwał Fiodotowa z błogich urojeń.

To był Blazow.

- Blazow, ty do mnie tak nie mów, ty nie wiesz, kto ja jestem? - Fiodotow wyrzucał z siebie słowa jak z karabinu.

- Wiem, wiem, wesz jesteś!

- Blazow, ty sobie nie pozwalaj, ja szanowany businessmen jestem! I ustosunkowany!

- Dobra, gnido. Słuchaj, wezwałem cię tu...

- Blazow! Nie wezwałem, tylko zaprosiłem, a ja, Fiodotow, zaproszenie przyjąłem, no i jestem w całym majestacie.

- Stul pysk! Wciągnij swój majestat i słuchaj, bo przywiozę-wagon teczek z hakami na ciebie!

- No dobra, słucham, ale, Blazow, z szacunkiem...

- Spotkasz się z Amerykanami ze Stern & Sons. Nie musisz wiedzieć, kto cię wysyła, nie musisz wiedzieć po co. Reprezentujesz rosyjskich businessmenów. Zaproponujesz Amerykanom świetny interes. Niech wynajmują tankowce i po cichu skupują ropę...

- Co to za interes, Blazow? Po co gromadzić ropę, skoro kryzys jak cholera, a zaraz będzie następny?

- Oni już będą wiedzieli po co.

- Jak kto chce spekulować na ropie, to kupuje sobie opcje - *crude oilfutures*, tak to się nazywa, a nie tankowce, wierz mi, znam się na tym. - Fiodotow machnął ręką.

- Policz sobie, buraku z wiochy Krasnoje, koszty transakcyjne kupna opcji i porównaj z kosztem wynajęcia tankowca dzisiaj - na dnie kryzysu. A zanim policzysz, nie przerywaj - Blazow przywołał go do porządku.

Fiodotow wyciągnął kalkulator z kąpielówek w palmy.

- Blazow, jeśli to taki interes, to może ja bym też... jeden tankowiec, malutki... Mogę?

- Możesz.

- A gdyby mój kolega chciał, też poważny biznesmen, to może?

- Może. Fiodotow, pamiętaj, załatwiasz sprawę, znikasz i milczysz.

Rozdział 74.

Nowy Jork

Gdyby nie deszcz, poranek byłby lepki i duszny. Prezes Robert Goldmine stał przy wielkim od podłogi po sufit oknie gabinetu na dwudziestym pierwszym piętrze biurowca przy Narrow Street 58. Patrzył na ciężkie, gęste krople, które odklejały się od niskich, grafitowych chmur i popychane podmuchami wiatru z wielką szybkością opadały w dół - ku szaremu asfaltowi nowojorskiej ulicy.

Gdy pół godziny wcześniej szofer pchnął przed nim ciężkie, szklane drzwi budynku banku Stern & Sons, owalny zegar w monumentalnym hallu wybijał właśnie godzinę siódmą. Brunatny, betonowy gmach, wzniesiony bez fantazji w latach osiemdziesiątych, był niemal pusty. Goldmine lubił przychodzić wcześniej. Jak co dnia, minął obojętnie nocną zmianę ochroniarzy, którzy na jego widok czym prędzej, ale z wielkim trudem przywracali się do stanu gotowości. Wsiadł do bocznej windy, która miękko wzniosła go wprost do sekretariatu jego biura na dwudziestym pierwszym piętrze. Następnie, jak co dzień, rzucił granatowy wełniany płaszcz na pusty fotel miss Johnson, która później, za jego pozwoleniem o ósmej, starannie wygładzi fałdy i załamania materiału i z nabożeństwem powiesi płaszcz na drewnianym wieszaku wykonanym na miarę.

Chwilę potem, też jak co dnia, nie wyłączając niedzieli, wolnym krokiem, lekko zgarbiony wszedł do swojego gabinetu. Wysłużoną ciemnobrązową teczkę z miękkiej skóry postawił na blacie ciężkiego, stylowego biurka i podszedł do okna, by w ciszy, której nikt nie przerwie, popatrzeć na Nowy Jork leżący u jego stóp.

Wtedy właśnie w kieszeni jego czarnej marynarki z grubej, australijskiej wełny zadzwonił telefon. To musi być on. Tyli© kilka osób zna ten numer - pomyślał Goldmine.

- Halo - rzucił krótko do słuchawki.

- Robert? Zapraszam cię dzisiaj na lunch, tam gdzie zwykle - zacharczał głos przerywany krótkim, suchym kaszlem.

- Zapraszasz na lunch? Nigdy nie ma lunchów za darmo. A szczególnie u ciebie. Zawsze trzeba zapłacić...

Usłyszał stłumiony śmiech. - Nie marudź, Robercie, jest interes do zrobienia.

Goldmine, bez słowa pożegnania, wyłączył telefon, odwrócił się od okna, które obmywały strugi deszczu, i podszedł do stylowej biblioteki wypełnionej fachową literaturą. Spojrzał na swoje odbicie w szybie. Poprawił kamizelkę i muszkę, przygładził zaczesane do tyłu rzadkie, siwe włosy, które wcale nie zasłaniały łysiny. Wiedział, że wygląda staro, ale nie przeszkadzało mu to. Cesarz finansjery nie może być młody.

Miejsce na samym szczycie świata finansów Goldmine zasłużenie zajął już wiele lat temu, ale ostatni kryzys dał mu władzę, jakiej wcześniej nie miał żaden prezes banku. Co kilka lat rynki finansowe ca-

tego globu wpadają w euforyczny trans, napędzane powszechną chciwością. Tym razem też nie było inaczej. Choć wróble od dawna ćwierkały, że zbliża się krach, nikt nie brał tego poważnie. Wbrew antycznej zasadzie, która każe oszczędzić posłańców niosącym złe wieści, bez miłosierdzia obśmiewano nielicznych ekonomistów wieszczących katastrofę: zarzucano im defetyzm oraz pogardę dla siły ducha i potęgi USA oraz dzielnego, twórczego narodu amerykańskiego. Zresztą naród też ponurym wieszczom nie ufał, bo jak miał wierzyć ludziom, którzy zdradziecko godzili w powszechnie głoszone, choć całkiem nowe prawo człowieka do własnego domu z ogródkiem i dwóch samochodów na podjeździe?

Ale on, Robert Goldmine, nie tylko wierzył, że przyjdzie krach, Goldmine szczerze cieszył się z nadchodzącej katastrofy, bo nikt tak jak on nie potrafi zarabiać na nieszczęściu. W nieposkromionym zapale do pracy przypominał ponurego grabarza z Dzikiego Zachodu, który zaciera dłonie, gdy do miasteczka zjeżdżają rewolwerowcy, żeby się strzelać. Dlatego właśnie, od kiedy zaczął rządzić w Stern & Sons, pieniądze wlewały się szerokim, nieprzerwanym strumieniem na konta banku, a cyfry w rubryce zysków kręciły się w tak zawrotnym tempie jak rysunki owoców w automacie do gry.

Krach w końcu przyszedł, jak zawsze. A wtedy prezes Goldmine przeprowadził swój bank przez kryzys jak Mojżesz Żydów przez Morze Czerwone, choć wielu życzyło mu źle, a wszyscy patrzyli na ręce. Uczynił bank jeszcze większym i potężniejszym, zniszczył konkurencję. Dziś rządzi i dzieli. Nikt już nie ma wątpliwości, że król, cesarz jest jeden - Stern & Sons, czyli Robert Goldmine.

Kryzys wstrząsnął światem finansów, skruszył jego fundamenty, których odbudowa potrwa lata. Bez strat wyszły z niego zaledwie dwie instytucje: Bank Stern & Sons i Watykan. Tylko ja i papież... - ta myśl sprawiła Robertowi przyjemność. W szarych źrenicach błysnęło na krótką chwilę światło, które wygładziło starcze zmarszczki.

Dzwonek interkomu na biurku Roberta Goldmine'a zabrzączał zaraz po przerwie na lunch.

- Panie prezesie, Paul Eagleman prosi o spotkanie

- usłyszał głos sekretarki. - Niech przyjdzie za kwadrans - rzucił do słuchawki.

Usadowił się wygodnie w skórzanym fotelu i wcisnął guzik pilota. Ściana z mahoniowej boazerii przesunęła się, odsłaniając wielki telewizor. Na ekranie Michael Douglas w roli Gordona Gekko z filmu „Wall Street” przemawiał do akcjonariuszy spółki Teldar Paper:

Nie jesteśmy tu po to, aby ulegać fantazji, lecz by ocenić rzeczywistość ekonomiczną. Ameryka stała się mocarstwem drugiego rzędu. Jej deficyt handlowy i fiskalny osiągnął koszmarnie rozmiary.

W czasach gospodarki wolnorynkowej, kiedy nasz kraj był wiodącą siłą przemysłową, obowiązywała zasada odpowiedzialności względem akcjonariuszy. Ludzie jak Carnegie i Mellon, którzy stworzyli to imperium, dbali o nie, ponieważ w grę wchodziły ich własne pieniądze.

Chodzi oto, panie i panowie, że chciwość jest dobra. Chciwość przynosi rezultaty. Chciwość wyjaśnia, streszcza i wyraża esencję ducha ewolucji. Chciwość, we wszystkich swych postaciach - życia, pieniądza, miłości, wiedzy - popycha w górę rozwój ludzkości. I chciwość, wspomnicie moje słowa, uratuje nie tylko Teldar Paper, ale też inną źle funkcjonującą korporację pod nazwą USA.

Z ekranu płynęła fala entuzjazmu i oklasków dla Gordona Gekko. Robert Goldmine wyłączył telewizor i przez chwilę wpatrywał się w pusty ekran. To była jego codzienna medytacja, codzienna modlitwa. Kochał ten film, kochał Gordona Gekko, kochał Amerykę, dawną Amerykę, i kochał chciwość, która była motorem jej rozwoju oraz potęgi. I potęgi Stern & Sons.

- Paul Eagleman czeka, panie prezesie - przemówił interkom.

- Niech wejdzie.

W drzwiach wąskiego i długiego gabinetu oddalonych o sześćdziesiąt metrów od biurka Goldmine'a pojawił się niski człowieczek. Ruszył do przodu małymi kroczkami. Zbliżał się tak powoli, że zdawało się, minie wieczność, zanim wreszcie dotrze przed oblicze prezesa.

Robert Goldmine wiedział, że nie było grama przypadku w tym, że stary Abel Bernstein, prezes banku sprzed trzydziestu lat, właśnie w tej sali kazał urządzić swój gabinet. Stary Bernstein nienawidził słowa przypadek i nie zostawiał mu pola do działania. Ten kostyczny, groźny i sadystyczny człowiek trzymał bank żelazną ręką. A jego gabinet był tej misji skutecznym orężem. Gabinet zaprojektowany przez Bernsteina, długi i wąski jak kiszka, budził powszechne zdumienie, ale Bernstein wiedział swoje.

Ile czasu trwa przejście sześćdziesięciu metrów? Abel Bernstein wiedział, bo zanim kazał urządzić gabinet, sam starannie to policzył, przemierzając przestrzeń patykowatymi nogami. Otóż mężczyźnie idącemu szybkim krokiem przebycie takiego dystansu zajmie około czterdzieści pięć sekund, kobiecie nawet sześćdziesiąt. Duuużo!

Wiele się w tym czasie może wydarzyć, wiele można przeżyć, wiele przemyśleć. Na ten przykład: co się ma na sumieniu? Albo: czy do prezesa należy iść kro-

kiem szybkim, żeby pokazać zaangażowanie, czy raczej wolnym, żeby oddać szacunek i docenić świątynny charakter miejsca? I co zrobić z rękami, które albo wiszą bezwładnie, albo maszerują po wojskowemu?

Ale przede wszystkim, powoli zbliżając się do prezesa, który z każdym krokiem rośnie i rośnie, można poczuć jego potęgę - i własną małość.

I o to chodzi.

Tak czy owak, delikwent czuje się tu jak kulawa modelka na wybiegu. Idzie i idzie, raz szybciej, raz wolniej, znów przyspiesza, a z boazeryjnych ścian patrzą na niego groźnie sportretowane twarze kolejnych prezesów banku. Idzie i idzie, macha rękami, a po plecach spływają krople potu, pokonują zaporę paska i nieprzyjemnie kapią w bokserki.

Mało kto zniesie taki przemarsz zgodnością. I mało kto ma takie przedstawienie za darmo - stary prezes Bernstein to wiedział i cenił.

Goldmine też już to wiedział i cenił, bo miał wyjątkową sposobność sprawdzić: i jako podwładny, i - teraz - jako prezes. Dlatego mimo wielu upokorzeń, których wcześniej doznał, pokonując tę golgotę, czuł dla prezesa Bernsteina głęboką wdzięczność za jego wizjonerski wkład w praktykę zarządzania personelem.

Tylko jeden człowiek w budynku przy Narrow Street nie bywał nigdy obiektem psychotechnicznych sztuczek prezesa: Paul Eagleman. Gdy na swych krótkich nóżkach dotarł wreszcie przed jego biurko, nie było widać cienia strachu na jego dziobatej twarzy oproszonej rudym zarostem. On nie czuł się onieśmielony obliczem prezesa Goldmine'a.

Znali się wiele lat, razem zaczynali od spekulacji zlotem w Stern & Sons. Paul Eagleman - sprytny, z drygiem do interesów, który zadziwiał wszystkich, był wyjątkowo zdolny, o niebo zdolniejszy od Goldmine'a, ale kariery w pojedynkę by

nie zrobił. Natura jest niesprawiedliwa, a może właśnie wyrazem jej doskonałej, choć przewrotnej sprawiedliwości było to, że obdarzyła Paula posturą nikczemną, dziobatą twarzą oraz niesforną strzechą rudych włosów, którym nawet żel nie dawał rady. Mały, rudy, pryszczaty i Żyd na dodatek. Nie, takiego bankiera nawet najczarniejszy PR by nie wymyślił. Dlatego droga do wyższych stanowisk była dla Paula zamknięta.

Zresztą Eagleman swojej karierze też nie pomagał. Jakby chciał losowi spluwać co dzień w twarz, kłuł bankowy establishment w oczy swoim ekscentrycznym hobby. Były nim kamizelki, które wdziewał pod marynarkę. Kamizelki o najwymyślniejszych krojach, wzorach i kolorach. Musiał swemu hobby poświęcać bardzo wiele czasu i uwagi, bo od kiedy zaczął dużo zarabiać i przeprowadził się do wielkiego apartamentu na Manhattanie, w krótkim czasie zgromadził kolekcję 365 kamizelek, które wypełniły gigantyczną garderobę.

Obaj z Goldmine'em świetnie się uzupełniali i od lat pracowali razem. Nieraz Goldmine ratował skórę pryszczatemu kumplowi, a i Eagleman nie pozostawał mu dłużny. Dlatego Robert wciągnął rudego Paula za sobą na sam szczyt. Ufał mu bezgranicznie.

- Hi, Bob. - Eagleman uśmiechnął się szeroko. Tylko na osobności mógł tak mówić do prezesa. - Witaj, mały - odpowiedział Goldmine. - Nie je-

stem mały, tylko krótki, zapamiętaj to sobie - odparował Paul. Przez chwilę poczuli, jakby znów mieli po dwadzieścia lat i jeszcze mylili jena z Jelcynem.

No dobra, wystarczy! - skonstatował w myślach Goldmine i zapytał oschle: - Co masz?

- Nasz człowiek w Moskwie przysłał dziwną wiadomość: Rosjanie chcą z nami rozmawiać.

- Słyszałem już o tym, Paul. Rosjanie, czyli kto: Kreml? Oligarchowie? Kagebiści? I o czym chcą gadać?

Goldmine dobrze wspominał interesy z Rosjanami. W latach dziewięćdziesiątych Stern & Sons pomógł im sprywatyzować pół Rosji. Wszyscy byli zadowoleni: i Kreml, i te typy spod ciemnej gwiazdy, drobni kanciarze, zwani później oligarchami, chodzący na smyczy władzy. No, może najmniej zadowolone były tajne służby, ale one też dostały należną porcję tortu, a i Kreml dorzucił im niemało ze swojej puli.

Oczywiście zadowolony był też bank Stern & Sons, ale to rozumie się samo przez się.

Eagleman poruszył się nerwowo w fotelu.

- Nasz człowiek nic więcej nie wie. Skontaktował się z nim Fiodotow. To taka menda, która kręci się przy dworze Smirnowa i służbach, ma kopalnie niklu na Syberii i angielski klub piłkarski. Pierze tam pieniądze.

- Dowiedz się, o co chodzi. - Masz jeszcze coś? spytał Goldmine, lekko już zniecierpliwiony.

- Drobna sprawa: nasz doradca ze Słowacji czy Chorwacji, a może z Polski...? Nie pamiętam. Ten był minister, katolik, no... - Piotrowski. Porzucił żonę z dziećmi i dyma jakąś kelnerkę.

- Niech dyma chłopina. Co nam do tego?

- Ale on z tym dymaniem biega do brukowców i opowiada, jaki jest szczęśliwy. Wywalić go?

- To pajac! Zabrać pół pensji i kartę kredytową! Niech zniknie z mediów i dyma w domu. Potem zobaczymy. Nie zawracaj mi głowy takimi duperelami! - zirytował się Goldmine.

Eagleman wstał szybko, choć wyglądało, jakby nadal siedział, i ruszył w stronę wyjścia, drobiąc krótkimi nóżkami.

- Jeśli się pośpieszysz, to przed kolacją dotrzesz do drzwi - mruknął złośliwie Goldmine.

Rozdział 84.

Turecka Kyrenia, Cypr

Fiodorów czekał na Amerykanina w restauracji na nabrzeżu portu w Kyrenii, w tureckiej części wyspy. Przypatrywał się spacerującym.

Turystów było niewiele: cypryjscy Grecy utrudniają jak mogą dostęp do północnej części wyspy, którą po wojnie domowej oddzieliły od państwa cypryjskich Greków bloki betonu, drut kolczasty i pas ziemi niczyjej, naznaczony ruinami porzuconych w pośpiechu domów. Dotrzeć tu można z Nikozji przejściem drogowym albo drugim, pieszym. Tym pierwszym wjeżdżają autokary z turystami w zorganizowanych grupach, tym drugim przechodzą Turcy pracujący w bogatszej, greckiej części wyspy oraz nieliczni, co bardziej odważni turyści z plecakami.

Ten, kto chciałby zwiedzić Kyrenię wypożyczonym samochodem, musiałby się dobrze zastanowić: ubezpieczenie nie obejmuje szkód powstałych po tureckiej stronie granicy.

Czort z samochodem, jeszcze mi jakiś Turek lakier zarysuje, a potem kłopot, płacić człowiekowi odszkodowanie - pomyślał rozsądnie Fiodorow i przeszedł granicę pieszo. Zaraz za posterunkiem czekały taksówki. Wsiadł do żółtego, rozklekotanego mercedesa. Kierowca nawet nie zapytał dokąd. Turyści zawsze jadą do Kyrenii.

Ruszyli w stronę wielkiego, czerwonego półksiężyca, który ani na chwilę nie zniknął im z oczu podczas ledwie półgodzinnej podróży. Półksiężyc ze skalnych bloków ułożyły na wzgórzu ręce tureckich robotników albo żołnierzy, żeby drażnić Greków z południa wyspy. Przy dobrej pogodzie - a na Cyprze pogoda zawsze jest dobra - widziała go cała Nikozja.

Stolik w portowej, nieskazitelnie eleganckiej restauracji, przy którym czekał teraz Fiodotow, grupkami mijali tureccy młodzieńcy wystrojeni w swoje najlepsze dżinsy. Łakomie spoglądali na również odświętnie ubrane dziewczęta, które, też w grupach, spacerowały pod rękę wzdłuż nabrzeża.

Ten osobliwy widok przypomniał Fiodotowowi młodość w rodzinnej wsi Krasnoje, gdy z kolegami maszerował szosą od domu naczelnika do remizy i zaczepiał dziewczęta, które cierpliwie chodziły asfaltem w tę i z powrotem. Ech, cierpliwość była ich jedyną cnotą...

Daleko w życiu zaszedłem - pomyślał z dumą. Nie pamiętał już o łóżku polowym, z którego sprzedawał garnki i patelnie na moskiewskiej ulicy, zanim gwałtowny kop w górę wystrzelił go na orbitę biznesu.

Nie chciał też pamiętać, że sukces zawdzięcza przyjacielowi z rodzinnej wsi, który tam, w Moskwie, zrobił zawrotną karierę. To przyjaciel kazał mu podpisywać jakieś papiery, które wkrótce uczyniły Fiodotowa właścicielem kopalń niklu. Miał tylko słuchać i robić, co każą. I robił, szczególnie gorliwie, od kiedy kariera przyjaciela - właściciela licznych spółek surowcowych i drużyny hokejowej - nabrała takiego przyspieszenia, że ani się *drug* obejrzał, już siedział w łagrze na Syberii i ścisnął w drżących ze strachu

rękach urzędowy dokument o konfiskacie majątku. On, Fiodotow, nie chciał tak skończyć, więc wycierał korytarze Kremla i Łubianki zgięty w pół. Próbował przetrwać.

Od wspomnień z młodości oderwał go widok Amerykanina, który pojawił się przy wejściu do restauracyjnego ogródka. Mężczyzna był w garniturze - więc Fiodotow w zasadzie nie miał wątpliwości. Ale jakiś taki niereprezentacyjny jak na bankiera z Ameryki... *Jewriew* pewnie, kurdupel, a do tego rudy i dziobaty - pomyślał z satysfakcją. Na oko ocenił, że on sam jest wyższy od rudego o jakieś pięć centymetrów z hakiem.

Udał, że nie zauważa Amerykanina - patrzył hen, hen w morze, jakby chciał zobaczyć Sambuł. Dopiero gdy mężczyzna podszedł pewnie do stolika, Fiodotow oderwał wzrok od widnokręgu. Nie był nowicjuszem w interesach, wiedział, że biznesmeni okazują powściągliwość. Dlatego nie klepnął gościa siarczyście po plecach. Wyciągnął tylko rękę.

- Fiodotow.

Amerykanin się nie przedstawił.

Usiedli. Fiodotow odgarnął do tyłu długie włosy, były lekko nażelowane i zaczesane z przedziałkiem pośrodku - tak noszą się teraz młodzi prezesi. Zmrużył oczy, chcąc nadać swej okrągłej twarzy o kartoflanym nosie stanowczy wygląd, i zaczął powoli, łamaną, ale zrozumiałą dla gościa angielszczyzną z letniego kursu na Malcie:

- Nie musisz wiedzieć, jak się nazywam - powiedział cicho, nie bacząc, że wcześniej już się przedstawił. - Nie musisz też wiedzieć, kto mnie przysyła i po co...

- Po co, to chyba jednak się dowiem - wszedł mu w słowo Amerykanin, ale Fiodotow nie spieszył się i nie dał sobie przerwać.

- Musi ci wystarczyć, że reprezentuję grupę rosyjskich biznesmenów. Mam do zaproponowania interes.

- Słucham w napięciu - powiedział drwiąco Paul Eagleman. Fiodotow[^] nie dostrzegł jednak drwiny i ciągnął dalej z tajemniczą miną, mrużąc oczy jeszcze bardziej, tak że ledwie już widział Amerykanina.

- Wynajmujcie tankowce i po cichu skupujcie ropę...

- Tankowce? Po co?

- Już twoi szefowie będą wiedzieli po co. Ale jeśli chcesz mnie pouczać, że na ropie spekuluje się za pomocą opcji, zwanych *crude oil futures*, a nie tankowców, to radzę ci, żebyś wyjął kalkulator i porównał koszty kupna opcji i wynajęcia tankowca. A zanim policzysz, nie przerywaj.

Eagleman nie zaczął liczyć, patrzył spokojnie na rozmówcę, więc Fiodotow, po chwili ciężkiego milczenia, zapytał:

- Wchodzicie w to?

- Trzeba pomyśleć. Czego chcesz w zamian? Fiodotow z radością przyjąłby parę milionów

dolarów, ale przypomniał sobie w porę o Blazowie i ugryzł się w język.

- Pozostaniecie moimi dłużnikami, tylko tyle - powiedział niechętnie, bo wyrzeczenia sprawiały mu przykrość.

- Dobrze, że nie jesteś chciwy. - Amerykanin patrzył mu prosto w oczy. - Zawsze pamiętaj, co powiedział Pan: *Albowiem niczego na świat nie przy-*

nieśliśmy, dlatego też niczego wynieść nie możemy. A ci, którzy chcą być bogaci, wpadają w pokuszenie i w sidła.

Eagleman zamilkł na chwilę, patrzył na Fiodotowa, którego sprytnie zmrużone oczy otworzyły się gwałtownie, podobnie jak usta.

- Odezwiemy się. Potrafimy okazać wdzięczność we właściwym czasie - rzucił po chwili od niechcienia Eagleman. - Obiecay tylko, że będziesz milczał jak grób. My nie lubimy tłoku w biznesie.

Fiodotowa przeszedł dreszcz, otrząsnął się jednak. A to Żyd jeden fałszywy - pomyślał z obrzydzeniem - ukrzyżował Chrystusa, a teraz mi go cytuje?

- Okay, jak grób - przytaknął jednak i na potwierdzenie przesunął kantem dłoni po szyi.

Limuzyna Fiodotowa wjechała na podjazd obsadzony klombami krwistoczerwonych kwiatów i zatrzymała się przed drzwiami wielkiego, kapiącego od złota pałacu w stylu „późny gargamel”. Wybudowano go przy głównej szosie do Kyrenii, tyłem do wybrzeża, wśród zdiczałych drzew oliwnych i splątanych kęp oregano. Na frontonie czerwonym, burdelowym światłem mrugał neon *CASIN* bez O, które najwyraźniej się przepaliło.

Fiodotow był w szampańskim humorze. Świetnie załatwił sprawę z Amerykaninem. Wiedział, że zrobił na bankierze wrażenie, choć starał się nie okazywać gościowi swojej wyższości w sprawach biznesowych. No ale tego nie da się przecież ukryć.

Postanowił zostać na Cyprze jeszcze kilka dni. Wezwał dwóch jajogłowych, żeby wynajęli jakiś tankowiec, kupili ropę, a on będzie teraz świętować!, świętować!, świętować! A dolarki za ropę będą płynąć i płynąć! Blazow mówi, że ropa zdrożeje jak diabli, a jak Blazow coś mówi, to wie, co mówi.

Fiodotow wyskoczył z limuzyny lekko, jak napompowany helem. Wielkim, złożonym lwom, które czujnie strzegły wejścia, zrobił groźnie: - Uaaa! - i wszedł do środka przez ogromne dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi, których złotą klamkę, na widok Fiodotowa, nacisnął lokaj w czerwonej liberii.

Rosjanin wszedł do głównej sali kasyna i rozejrzał się z zaciekawieniem. Ściany wyłożone materiałem ocieplą dodatkowo łagodny blask kinkietów, natomiast każdy ze stołów do gry otaczała wiązka ostrego światła z punktowych reflektorów, które wyławiać miały areny hazardu z półmroku i czynić graczy aktorami spektaklu.

Wnętrze kasyna w zasadzie nie różniło się niczym od innych świątyń hazardu. Może tylko tym, że w jego kącie, pod ścianą, stało zaledwie kilka automatów do gry. To znak, że byle chłystek tu nie wejdzie, i dobrze - pomyślał Fiodotow, zadowolony, że spędzi czas w towarzystwie ludzi godnych i na poziomie. Jednak gdy rozejrzał się władczo po sali, zaniepokoiło go coś innego: kasyno było prawie puste. Przy stołach do gry, przy ruletce czekali na utracjuszy beczynni krupierzy w białych wykrochmalonych koszulach i kamizelkach o stonowanej barwie. To nic. Noc jeszcze młoda - pocieszył się Fiodotow i ruszył na podbój baru.

Butelka solidnie zmrożonej wódki

bezczelnie pokazała już dno. Fiodotow od godziny samotnie świętował przy barze, ale postawić w ruletkę albo zagrać w black jacka nie miał odwagi. Jeszcze by stracił?!

Zagadał do barmana raz i drugi, ale smutny Turek wpatrywał się w wycierane szkło jak w czarodziejską kulę i nic, nawet o pogodzie! Z każdą kolejną szklanką wódki samotność doskwierała Rosjaninowi coraz mocniej: - A ty, za co pijesz, kolego! - ryknął wreszcie do równie samotnego gościa z drugiej strony długiego baru, aż barman oderwał wzrok od brudnej wciąż koniakówki i wymownie przyłożył palec do ust. Niezrażony Fiodotow, trzymając się barowego blatu, chwiejnie podszedł do mężczyzny i wdrapał się bezceremonialnie na sąsiedni stół.

- Fiodotow jestem - powiedział.

- Ahmed - Turek rzucił niechętnie i z grzeczności uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Co oblewasz, turecki przyjacielu? - Rosjanin z coraz większym trudem mówił po angielsku, szczególny kłopot sprawiło mu słowo *friend*, które zabrzmiało raczej *jak fred*.

Turek nie zrozumiał albo udał, że nie rozumie, chcąc uniknąć natręta. Ale nic z tego. Fiodotow w euforii łatwo nie dawał się spławić.

- Ja, kolego, piję za świetny interes, który dziś zrobiłem z Amerykanami - bełkotał. - Ale ciii, za długi mam język, oj, za długi... - A ty, Ahmed, za co pijesz? Chcesz, postawię ci kolejkę? Barman...!

- Za swoje piję - odpowiedział Ahmed arogancko. - Ale dzięki, to już ostatnia szklanka, kobieta nie lubi...

Fiodotow machnął ręką, aż zachwiał się na barowym stołku.

- Ahmed, turecki przyjacielu... błąd, po prostu wielbłąd...
- bełkotał. - Uciekaj, póki możesz, uuuciekaj!... Znam to, przyjacielu, znam. Moja też ciągle czegoś nie lubiła: i najpierw z życia zniknęła mi wódeczka z fajkami, po fajkach zniknęła golonka, a potem wspólne łóżko znikło. Tak Ahmed, przyjacielu, uciekaj, póki możesz...

Fiodotow zwiesił głowę i zamilkł.

Z alkoholowego zamyślenia wyrwał go dziewczęcy głosik. - *Mnie zowut Ania, a eto Tania*, jesteśmy bliźniaczki, wszystko mamy takie samo, zabawimy się? - głosik wyrecytował jednym tchem prosto w ucho Fiodotowa.

Rosjanin powoli uniósł ciężką głowę znad baru. W rzeczy samej, stały przed nim dwa dziewczątka, sporo już jednak po trzydziestce: takie same blond loki, takie same kwieciste, kuse sukieneczyny, długie, dłuuuugie nogi w takich samych pantofelkach.

Fiodotow nigdy jeszcze nie miał bliźniaczek, więc myśl o takim przekładańcu otrzeźwiła go trochę.

- To co, Ahmed? Zabawimy się z dziewczynkami? Nikt nie będzie pokrzywdzony, przecież one wszystko mają takie samo! - Zakreślił rękami w powietrzu jakieś nieokreślone kształty. Fiodotow zawsze podejrzewał, że seks z bliźniaczkami musi być przereklamowany, no ale skoro nadarza się okazja, grzech nie spróbować!

Ahmed pokręcił przecząco głową i odparł:

- Może długi język na coś ci się przyda. Ja wracam do domu.

- Aaa, to zmienia kształt rzeczy postać - bełkotał Fiodotow.

- Zamów, przystojniaczku, taksówkę - zaświergotała do barmana Ania albo Tania. - A my z siostrzyczką przewietrzymy pana prezesa, żeby nabrał formy.

Wybaczcie piechocie,

Że tak nierozumna, czasami bez tchu.

My zawsze w pochodzie,

*Gdy wiosna nad ziemią szaleje od bzu...**

Śpiew niósł się po plaży. Rosyjska dusza Fiodotowa ryczała piosenkę Okudźawy, a dziewczęta chichotały zachwycone. Próbowali iść brzegiem morza, ale zataczali się całą szerokością plaży. Na horyzoncie światła przepływających statków kładły na wodzie długie, jasne smugi, gdzieś w oddali zawyła syrena portowa. Lekki, ciepły wiatr marszczył delikatnie fale, które leniwie wypływały na piasek plaży, mocząc buty Fiodotowa i wywołując piski dziewcząt, gdy akurat przyhalsowali nad samą wodę. - Kurs na budkę z lodami - zakrzyknął Rosjanin, przerywając na chwilę pieśń, ale zaraz ryknął dalej:

Me wierzcie piechocie,

Gdy w pieśni bojowej odwaga i gniew.

Fiodotow zachwiał się, ale bliźniaczki podtrzymały go za ręce. W tej samej chwili zza rogu lodziarni wyszedł szybkim krokiem wielki mężczyzna w bluzie

* „Piosenka o piechocie”, sł. i muz. Bułat Okudźawa, tłum. Witold Dąbrowski

z kapturem. Podniósł ramię, w dłoni trzymał pistolet z tłumikiem. Fiodotow nie widział jego twarzy, zobaczył tylko jeden błysk, dwóch następnych już nie, bo wszystko znikło.

Mężczyzna podszedł do ciał leżących na piasku, w który wsiąkała krew. Dwa jeszcze drgały. Uspokoił je strzałami w głowę. Potem spokojnie zebrał łuski z piasku, pomagając sobie światłem latarki. Przeszukał kieszenie Fiodotowa. Portfel z dokumentami i notes schował do kieszeni kurtki, zegarek wrzucił do morza.

Rozdział 95.

Los Angeles, Kalifornia

W tym samym czasie, gdy turecka policja przewoziła zwłoki nieznanego mężczyzny i dwóch kobiet do prosektorium w Kyrenii, samolot Paula Eaglemana lądował na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku. Tam podróżny pośpiesznie przesiadł się do małego odrzutowca należącego do banku Stern & Sons. Pilot wziął kurs na zachód, do Los Angeles w Kalifornii - był weekend, więc Eagleman wiedział, że właśnie tam znajdzie prezesa Goldmine'a.

Budynek Country Clubu w Los Angeles zaprojektowano przed laty z właściwą dla ówczesnej mieszczańskiej wspólnoty Kalifornii powściągliwością. Cechowały go proste linie, regularne kształty i powtarzalne detale bez ambicji dekoratorskich. Jediną ekstrawagancją była kolumnada otaczająca wejście do budynku. Podjazdu, na który wtoczyła się limuzyna wioząca z lotniska Paula Eaglemana, strzegły kopie antycznych rzeźb. Bankier kolejny już raz, ale zawsze z takim samym zdziwieniem, zwrócił uwagę, że parking jest niemal pusty. Ten snobistyczny klub golfowy dla bogaczy nazywano teraz ze złośliwą satysfakcją „skarbonką” albo „tacą Madoffa”, jak kto woli.

Berni Madoff, gwiazda i ekscelencja Wall Street, twórca indeksu giełdowego Nasdaq, tu właśnie po-

zyskiwał klientów swojego funduszu inwestycyjnego, których po latach puścił w samych skarpetkach. Oszust, skazany na 150 lat więzienia, twórczo zastosował schemat Pontiego, po ludzku i w sferach niższych zwany łańcuszkiem świętego Antoniego: starym klientom wypłacał pieniądze wpłacane przez nowych kandydatów do oskubania - a tych nie brakowało wśród amerykańskiej elity. Biznes kręcił się latami, może też dlatego, że Madoff nie obiecywał gór złota - dawał, a raczej mówił, że da, ledwie dziesięć procent rocznie.

Ofiarnymi owieczkami Madoffa stali się nie tylko prości gwiazdorzycy z Hollywood, jeszcze prostsze gwiazdeczki show-biznesu, ale i fundacje uniwersyteckie, fundusze inwestycyjne - ba, nawet szacowne i wielkie banki. Ale nie Stern & Sons - ten nie dał hochsztaplerowi złamanego centa. Praktyka czyni mistrza.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że klub golfowy świecił teraz pustkami. Spłukanym klientom Madoffa raczej nie brakowało na kije i piłki, ale wspomnienia mieli czarne. Każde uderzenie piłeczki przypominałoby im pewnie Berniego, który stuknął ich na grube miliony.

Inaczej prezes Goldmine. On, od czasu towarzyskiego i finansowego skandalu, bywał w Country Clubie często i chętnie. Chodząc po pustym polu golfowym, mógł się delektować swoją wyjątkowością w branży. Teraz też stał wsparty na kijach i wpatrywał się w kępę drzew za sztucznym jeziorkiem, podczas gdy Paul Eagleman przemierzał hektary trawiastego pola na swych krótkich nogach. Długo to trwało. Wreszcie chłopak z obsługi zlitował się nad pokracznym piechurkiem i ruszył w jego stronę elektrycznym wózkiem, żeby podwieźć go do szefa.

- Czego chcą Rosjanie? - bez powitania spytał prezes, oderwawszy wzrok od kępy drzew.

- Chcą, żebyśmy skupowali ropę i trzymali ją na tankowcach, wyobrażasz sobie? Wysłali jakiegoś głupka, chyba żeby na| obrazić - irytował się Eagleman, zmęczony długą podróżą.

- Nie bądź taki wrażliwy, Paul, to nieważne... nieważne...
- Goldmine wpatrywał się teraz w piłeczkę, którą ustawił na równej trawie przed swymi stopami. Przymierzał się do uderzenia. - Ale o co naprawdę im chodzi, rozumiesz? Przecież Rosjanom bardziej powinno zależeć na podbiciu ceny gazu, z którego żyje cały kraj.

- Pewnie chcą, że ropa zdrożała i pociągnęła do góry gaz ziemny. Tak zwykle bywało. Na gwałt potrzebują pieniędzy - rozważał Eagleman. - Gdybyśmy zaczęli kupować opcje na ropę, rynek zaraz by to zauważył, a tankowcami przez jakiś czas nikt się nie zainteresuje. Pewnie będą robić to samo, ale na małą skalę, bo nie mają dość pieniędzy.

- Co o tym sądzisz, Paul?

- To nie nasz cyrk i nie nasze mały. Goldmine zamyślił się na chwilę. Zastanawiał się

nad rosyjską ofertą albo koncentrował przed trudnym uderzeniem. W końcu, nie patrząc na Eaglemana, lecz na piłeczkę, powiedział:

- Oj, Rudy, Rudy, węch ci odebrało? Nie czujesz już zapachu pieniędzy? - zawiesił głos. - Czujesz, wiem, że czujesz, ale Ruskich nie lubisz. Popatrz tylko, jeśli w kilka tygodni zgromadzimy jakieś, powiedzmy, 100 milionów baryłek ropy, to zmniejszą

się jej zapasy. Cena musi rosnać, gwarantuję ci. Po-huścimy rynkiem. A wtedy te wszystkie mądrale, analitycy z Wall Street i Londynu, słusznie zresztą, choć nieładnie nazywani analami, zaczną się zastanawiać, ile to ropa będzie kosztować za rok? Będą mówić, że drożeje, bo recesja się kończy, zapasy topnieją...

Goldmine z wielkim zamachem uderzył piłką kijem. Niecelnie. Szerokim łukiem poleciała w stronę jeziora i z głośnym pluskiem wpadła do wody.

- Cholera... - skrzywił się, wyprostował i znów wsparł na kiju. - Wtedy puścimy przeciek, że to my wynajęliśmy tankowce. To jeszcze bardziej rozgrzeje rynek. Cena skoczy do góry. Speculanci pomyślą, że skoro my kupujemy, to i oni zarobią. Do wyścigu podłączą się kolejni gracze, najpierw więksi, potem mniejsi, a w końcu, jak zawsze, emeryci i windziarze.

Prezes wyjął następną piłeczkę z kieszeni białych spodni i ustawił przed sobą na trawie.

- Wierz mi, Paul, w ciągu kilku miesięcy ropa zdrożeje pewnie o jakieś 25 dolarów na baryłce, do 70-80 dolarów, a może i więcej. Zarobimy ze dwa i pół miliarda.

Eagleman nic nie mówił, bo wywód prezesa był bez zarzutu. Nie podobało mu się, i to bardzo, coś innego.

- Dlaczego chcesz w to wchodzić? - spytał, nie kryjąc irytacji. - To ruska zabawa. Tak naprawdę nie wiemy, w co oni grają! Nie potrzebujemy współnika, jesteśmy dość silni, żeby zarabiać, jak chcemy, na czym chcemy i kiedy chcemy. To my tworzymy rynki i mody inwestycyjne. Pamiętasz bańkę internetową w 2000 roku? A wpuszczenie w kredyty walutowe całej Europy Wschodniej w hossie 2007? To dopiero interes! Przez 30 lat miliony ludzi będą nam płacić! Rosjanie do niczego nie są nam potrzebni.

- Wszystko jedno, w co oni grają, Paul. Dwa i pół miliarda to dwa i pół miliarda, a za dwa lata będzie znacznie więcej. Rząd puści maszyny drukarskie w ruch, by ratować Amerykę przed nowym krachem: będzie drukować dolary, żeby skupić toksyczne długi banków, a potem, żeby spłacać swoje długi. Pusty dolar spadnie na pysk, a cena ropy wystrzeli jak rakietą, *the sky is the limit*. Nie martw się, Paul. W ropie rozgrywać będziemy my, jak zawsze. A pamiętaj, przyjacielu, zabawa trwa, dopóki główny rozgrywający nie powie „dość”.

Rozdział 100.

Cypr, góry Troodos

Cienka smużka dymu z cygara Cohiba

wzniosła się bez pośpiechu pod powałę izby, gdzie kłębił się rój much rozzłoszczonych nie na żarty. Blazow wyciągnął się na kanapie. Liście tytoniu, zwinięte zręcznymi palcami kubańskich kobiet na ich smagłych udach, ofiarowywały mu cenne trzy kwadransy na zebranie myśli, zanim cygaro spali się na popiół.

Wrócił wspomnieniami do dramatycznego z początku spotkania w opuszczonej willi na przedmieściu Moskwy. „Czasem wystarczy czekać. Nic nie robić. Czekać, aż natura dojrzeje do zmiany, aż jabłuszko samo wpadnie do koszyčka. Liczy się cierpliwość” - tak mówił pułkownikowi Kajdanowicz w czasie rozmowy w piwnicznym, „bezpiecznym” pokoju. W duchu Blazow przyznawał mu rację, choć ten sposób myślenia i działania był mu całkowicie obcy. Czekanie męczyło go, a dodatkowo przywoływało niechciane uczucia, wspomnienia. Tak jak to właśnie - z moskiewskiej piwnicy Kajdanowicza, kiedy nie wiedział, czy przeżyje. Wtedy się bał, bał się bardziej niż kiedykolwiek, bardziej nawet niż na początku służby w Afganistanie. Nie był z siebie dumny i potem wielokrotnie zastanawiał się, co się z nim stało, czy w ogóle nadaje się jeszcze do tej roboty?

Tłumaczył sobie, że strach, który od jakiegoś czasu pojawiał się znienacka, wywołuje jeden człowiek - Kajdanowicz. Oraz nieznaną siłą, która za nim stoi. Kto to jest? Nie miał pojęcia. Władze Rosji? Jakiś samozwańczy oligarcha, który ma Kajdanowicza na sznurku? A może obie te siły naraz, splecione w uścisku pożądania władzy i pieniędzy?

Tu właśnie, był pewny, tkwiło źródło lęku, którego wcześniej nie znał: dotychczas zawsze pracował dla Rosji - to było jasne i to mu wystarczało, była to jedyna wiedza, jakiej potrzebował. A teraz?

Pułkownik chciał, żeby było jak dawniej, żeby było łatwiej, żeby dało się przeżyć - dlatego postanowił ignorować wszystkie znaki, które rodziły i mnożyły wątpliwości. Pracuję dla Rosji, nie ma innej prawdy - powtarzał w myślach. To pozwalało mu okiełznać lęk.

- *Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...* - pamiętasz to jeszcze, Blazow? - wyrecytował Kajdanowicz tamtego dnia w willi całkiem sprawnie i z niezłym polskim akcentem, a jego słowa odbijały się nienaturalnie, rykoszetami, od ścian „bezpiecznej” piwnicy. - Pamiętasz te pańskie wierszyki, którymi karmiły cię matka i babka? Za które twój polski dziadek poszedł na Sybir tajgę karczować? Na szczęście to był mądry człowiek i w porę zrozumiał, że Polska na tym świecie może przetrwać tylko w braterstwie z Rosją. Tak, pułkowniku, i ja wiem, i ty wiesz, że nie jest inaczej: *kura nieptica, Polska nie zagranica*. Na zawsze.

- A teraz ta kura - ciągnął dalej dygnitarz - wbija Rosji nóż w plecy, na swoją zresztą zgubę i zatracenie. Blokuje nasz eksport gazu na Zachód, chce prze-

jąc gazociąg, który wybudowali rosyjscy robotnicy za rosyjskie pieniądze! - Kajdanowicz z każdym zdaniem mówił głośnie, ostatnie zabrzmiało już jak krzyk. Może dlatego przerwał na chwilę, pozwalając przebrzmieć słowom obijającym się o ściany piwnicy. Zaraz jednak zaczął mówić dalej, już spokojniej:

- Dla Rosji eksport gazu to sprawa życia lub śmierci: z pieniędzy za gaz państwo utrzymuje służbę zdrowia, wypłaca renty i emerytury. Co powiemy spracowanym starcom i weteranom? Że nie ma pieniędzy, bo jakaś kurica podskakuje? - dygnitarz znów podniósł głos. Wstał z krzesła, ale mówił dalej, chodząc wzdłuż ściany, co wyraźnie przeszkadzało pułkownikowi skupić uwagę.

- Niestety, najgorsze jeszcze przed nami, Blazow. Pod Polską leżą gigantyczne złoża gazu łupkowego. To taki gaz, który zalega między płytami skalnymi. Wydobywać umieją go tylko Amerykanie. No i co, Blazow, zrobiła Polska? Polska oddała większość koncesji na poszukiwanie tego gazu amerykańskiemu koncernom! Kilka dostał polski monopolista PPG, właściciel sieci przesyłowych. Nas oczywiście nie chcą dopuścić. Wyobrażasz sobie, pułkowniku, co się stanie z Rosją, kiedy Amerykanie zaczną wydobywać i zaleją gazem całą Europę, przesyłając go zresztą naszym rurociągiem „Przyjaźń”? To brzmi jak ponury żart, Blazow, ale żartem nie jest. To katastrofa, która nadciąga nieubłaganie.

Tu Kajdanowicz przerwał swój marsz wzdłuż ceglanej ściany i spojrzał na pułkownika z wyrzutem i rozczarowaniem.

- A ty co, do kurwy nędzy?

- warknął. - Musisz liczyć? Nie możesz się nawet w takiej chwili pohamować?

Blazow, zmieszany, spuścił wzrok, bo rzeczywiście rachował przemarsze dygnitarza wzdłuż ściany. Wyszło mu dwanaście i pół.

Kajdanowicz, kręcąc z niedowierzaniem głową, usiadł na krześle. - Skup się - rzucił z przyganą - bo nie przeżyjesz i wszystko spaprzesz. Po chwili ciszy, jaką dał pułkownikowi na skoncentrowanie się, mówił dalej:

- Na szczęście byli w Rosji wizjonerzy albo przynajmniej ludzie ostrożni i zapobiegliwi, którzy zostawili po sobie dar. Ten dar to przygotowanie wrogiego przejęcia największej polskiej spółki gazowej PPG, tej, która ma koncesje na poszukiwanie gazu łupkowego i sieci przesyłowe.

Otóż wiele lat temu rząd rosyjski, przy okazji negocjowania nowego kontraktu na dostawy gazu do Polski, wymusił na polskich władzach podpisanie umowy, która dawała Sovgazowi prawo kupna w przyszłości mniejszościowego pakietu 20 procent udziałów w PPG. Jak się domyślasz, Blazow, użyliśmy argumentów nie do odrzucenia, w tym niewinnej groźby zakręcenia zimą kurka z gazem. Umowa była oczywiście tajna - nikomu przecież nie zależało na ujawnieniu porozumienia.

Polski kapitalizm dopiero raczkował, o prywatyzacji państwowego monopolisty na rynku gazu nawet wróble jeszcze nie ćwierkały, więc umowa była na święty nigdy. Tak się wtedy wydawało. Zresztą 20 procent akcji to tyle co nic - i niczym nie grozi, wszak do przejęcia spółki potrzeba 51 procent, przekonywali Polaków nasi negocjatorzy. Pewnie się zastanawiasz, pułkowniku, czy słaby i tak opór polskich polityków zmniejszyły jeszcze piękne przelewy na różne

zamorskie konta? Cóż, tego nikt nigdy się nie dowie ani nie zdoła sprawdzić, a tym bardziej udowodnić.

Kajdanowicz przerwał wywód, zdjął okulary i rozmasował powieki. Blazow nie wiedział, ile czasu spędzili już w piwnicy, a na zegarek nie śmiał spojrzeć. Domyślał się jednak, że musi już być późny wieczór i dygnitarza dopadło zmęczenie. Także i on poczuł się znużony, choć adrenalina wyprodukowana w ciągu tego szalonego dnia przez jego organizm jeszcze działała.

- Minęło kilka lat - Kajdanowicz założył okulary i wrócił do opowieści - kilka razy zmieniły się rządy w Warszawie. W końcu zaczęto przygotowania do prywatyzacji przedsiębiorstwa - w imię sprawności zarządzania i załatania dziury w budżecie państwa. Sprawa nabrała nagłego przyspieszenia, gdy słupki popularności władzy spadły na łeb na szyję i nikt nie miał wątpliwości, że rząd już długo nie porządzi. Do prywatyzacji PPG parli też związkowcy, bo pula akcji dla pracowników, która należała im się jak psu kość, to był łakomy kąsek. No i wyobraź sobie, pułkowniku, co ludzie pracy wymyślili? Otóż zagrozili, że odetną gaz, jeśli rząd nie odda ich zakładu w prywatne ręce! - Kajdanowicz nie mógł powstrzymać się od śmiechu i przez dłuższą chwilę wydobywały się z niego dźwięki podobne do szczeknięć psa. Blazow zadziwiony obserwował ten spektakl w milczeniu.

Gdy Kajdanowicz już trochę się opanował, zdjął okulary, żeby obetrzeć łzy radości, ale jego ciałem jeszcze od czasu do czasu wstrząsał cichy już i zduszony szcęk. - Naturalnie autorami tego pomysłu polskich związkowców byli nasi ludzie - wykrztusił między jednym radosnym szczeknięciem a drugim.

- Ale do rzeczy: dwa dni przed wyborami parlamentarnymi na giełdę trafiło 15,25 procent akcji przedsiębiorstwa. Kupował, kto chciał. Powolutku, po cichutku prawie 11

procent akcji zmieniło właściciela i zostało „zaparkowane” w różnych zagranicznych spółkach związanych z Sovgazem.

Kolejne 11,25 procent akcji dostali pracownicy. Ci jednak mogli spieniężyć udziały na giełdzie dopiero w kolejnym roku. Więc gdy pojawili się amatorzy kupna tych akcji od ręki, chętnych do sprzedaży nie brakowało; wiadomo, ludzie mają potrzeby: na pralkę, na wakacje w tropikach, na futro dla żony, żeby przestała gderać. Następne dziewięć procent akcji zostało sprawnie „zaparkowane”.

- Człowiek, a szczególnie biedny człowiek, jest jak wiadomo istotą niecierpliwą - filozofował Kajdanowicz. - Zwłaszcza jeśli chodzi o pieniądze. Cierpliwemu jabłuszka same wpadają do koszyczka. Ale koszyczek nie jest jeszcze pełny - brakuje jedenastu jabłuszek, czyli jedenastu procent akcji firmy. Na szczęście czy nieszczęście człowiek jest też istotą pazerną. Teraz wystarczy lekko potrząsnąć gałęzią, a w koszyczku znajdzie się 51 pięknych jabłuszek. Tyle, ile trzeba, żeby przejąć władzę nad polskim przemysłem gazowym.

- Twoim głównym, choć nie jedynym zadaniem, pułkowniku, jest właśnie potrząśnięcie gałęzią

- Kajdanowicz skończył, a jego twarz wyrażała dumę z wymyślonej niedawno sadowniczej metafory.

Cohiba dopalała się w popielniczce. Blazow, wyciągnięty na łóżku w chacie przyklejonej do zbocza wzniesienia gdzieś w cypryjskich górach, sięgnął po cenny niedopałek, żeby jeszcze raz wciągnąć aro-

matyczny dym i odpędzić nieprzyjemne wspomnienie piwnicznego spotkania z Kajdanowiczem. Choć musiał przyznać, że metafora z jabłuskami też mu się spodobała: przypomniawszy pułkownikowi sielską, podwileńską wieś, gdzie jako chłopak spędzał wakacje i kradł jabłka z księżego ogrodu. A poza tym mógł sobie jabłuszka, razem z Kajdanowiczem, policzyć.

Gdyby na mapie satelitarnej świata ktoś chciał odnaleźć przydomowy chlewik zbudowany przed laty przez cypryjskich wieśniaków gdzieś w górach Troodos - musiałyby użyć maksymalnego zoomu. A i tak nie jest pewne, czy mogłyby go dostrzec.

Z tego właśnie świńskiego przybytku następnego dnia po południu Bla3»w rozpoczął operację „Alfa”: wysłał trzy przesyłki z rozkazami. Nie były to zwykłe przesyłki - programiści FSB nadali im postać wirusa komputerowego. Tylko najwyższej klasy informatyk mógłby dostrzec, że pod powłoką szkodnika znajduje się zaszyfrowana wiadomość. Informatyczne pakunki, wystrzelone z anteny przez dziurę w dachu chlewika, niemal w czasie rzeczywistym zassał satelita na orbicie. Odczytał punkty docelowe przesyłek i wypluł je w dwa różne miejsca na ziemi.

Ku Moskwie pomknęły dwie „paczki”: jedna do sieci komputerowej Kremla, druga do Sovgazu. Trzecia spadała bardziej na południe, mijając gwiazdę Turkmenbaszy w konstelacji Koziorożca. Celem była ambasada Rosji w Aszchabadzie, stolicy Turkmenistanu.

Rozdział 107.

Moskwa

Ledwie pułkownik Blazow nacisnął klawisz „enter” i podniósł się od komputera stojącego na odrapanym stole pośrodku skromnej izby cypryjskich wieśniaków - moskiewskie biuro Hackservice'u wypełnił drażniący sygnał dzwonka alarmowego. Piszczwały wszystkie komputery. Alarm wirusowy! Czerwony - najwyższej rangi!

Siergiej wybiegł z gabinetu:

- Co jest, do cholery!

- Jakaś franca nas zaatakowała.

- Zabić gada - rzucił Siergiej i spokojnie wrócił do pokoju.

Usiadł za biurkiem, położył nogi na blacie i znów zatopił się w marzeniach o przyszłości Hackservice'u, które przerwał mu dźwięk alarmu.

Zlecenie od Sovgazu powinno dać firmie napęd. Jednak Siergiej już dawno postanowił solennie, że będzie planować kilka kroków naprzód. Kontrakt z Sovgazem to świetny początek i referencje, ale nie będzie wieczny. Trzeba łapać kolejnych klientów, wykorzystać szansę. Wczoraj miał już jedno obiecujące spotkanie w restauracji Trojka.

- Siergiej! Ten wirus nie daje się zniszczyć! Chodź! - krzyczał ktoś z pokoju operacyjnego.

Siergiej wyszedł z gabinetu zły, że znów mu przerywają. Spojrzał w komputer pracownika. Na ekranie zobaczył wizualizację elegancko opakowanej paczki, takiej z kokardką, jaskrawym światłem pulsował napis *Alfa*.

- Ładny prezencik. Może za bardzo się z nim pieścicie? - spytał.

- Słowo honoru, niczego się nie boi.

- Zajrzeliście mu w bebechy?

- Chcieliśmy, ale franca nie daje się otworzyć. Siergiej postępował dokładnie tak, jak mu kazał

smutny facet z Sovgazu. Do tej chwili... Ciekawość i żyłka hakera zwyciężyły.

- Wyizolujcie go, przyjrzę mu się później. Teraz idę na spotkanie z klientem - rzucił. - Do jutra. Jakby co, to dzwońcie.

Wbrew instrukcjom smutnego przekopiował wirus do palmtopa i wyszedł z biura.

Koń zniecka zatrzymał się, ryjąc kopytami spieczoną ziemię, gdzieś tylko porośniętą lichymi kaktusami. Nie chciał iść dalej. Jeździec, który ledwie utrzymał się w siodle, wyrwany z pół-snu gwałtownym zachowaniem zwierzęcia, spojrzął przed siebie: zabudowania miasteczka oblała już pomarańczowa łuna świtu. Spiał krnąbrnego wierzchowca ostrogami i ruszył w kierunku zabudowań. Tam miał się strzelać na śmierć i życie. Nie było rady, sprawa honoru.

Jadąc stępą, czujnie przyglądał się budom niechlujnie zbitym z desek wzdłuż głównej ulicy. Wsłuchiwał się w ciche rzenie zaspanych koni przywiązanych do żerdzi przed saloonem. Tam na niego czekał on - Gad.

Teraz stoją naprzeciw siebie w lekkim rozkroku, on i Gad, macają się wzrokiem, szukając słabych punktów, by jednym strzałem unicestwić przeciwnika -szkoda tracić naboje i czas. Dłonie wiszą nad kaburami rewolwerów. Cisza. Nagle pada strzał, echo odbija się od zabudowań. Z jego rewolweru, mocno ściśniętego w dłoni na wysokości biodra, wąską strużką sączy się dym. Przeciwnik pada, rażony w samo serce, robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż zupełnie znika. Siergiej podnosi rewolwer do ust i zdmuchuje dym u wylotu lufy. Znów wygrał, zabił Gada.

Siergiej obudził się gwałtownie i podniósł głowę z klawiatury, na jego czole odcisnęło się kilka klawiszy. Rozprostował zdrętwiałe ramiona i nadgarstki. Takie wizualizacje, zakończone sennymi majakami, zwykle mu pomagały. Może i tym razem pomogą? Już kilka godzin toczył pojedynki z wirusem i wiedział, że jeśli szczęście mu nie dopisze, sprawa będzie wyglądała nieciekawie. Wirus-paczka, którą przechwycili jego chłopcy, to nie był zwykły gad, szkodnik, produkt szczeniaków, którzy na chwilę oderwali się od gier komputerowych - takie Siergiej z kolegami niszczyli automatycznie za pomocą przygotowanych wcześniej

„gotowców”. Czasem, gdy młodociany haker okazał się zdolniejszy albo bardziej zdeterminowany, trzeba było dopisać jakiś kawałek programu niszczącego. Ale to cały czas była najwyżej druga liga.

Wirus-paczuszka to inna jakość - ocenił Siergiej - musiał wyjść spod ręki profesjonalisty. Specjalnie go to nie dziwiło, wszak Sovgaz możliwych wrogów ma tylu, ile pies pcheł. Tak czy owak musi zrobić swoje!

Najpierw trzeba wirusa obmacać i znaleźć jego słaby punkt - palce Siergieja szybko poruszały się po klawiaturze komputera, wpisując ciągi znaków. Potem napisać nowy wredny program, który go zaatakuje i zniszczy. Jeśli się nie uda, całą procedurę należy powtórzyć od nowa. Do skutku. Będzie dobrze, jeśli załatwię gada do rana - myślał Siergiej, nie przestając bębnić w klawiaturę.

Hacksendce Zajmował niewielki parterowy dom naprzeciw budynku Sovgazu, po drugiej stronie ruchliwej ulicy. Przed drzwiami posterunek ochrony - tak na wszelki wypadek. W środku żaden luksus, choć płacił Sovgaz. Trzy pokoje urządzone z wątpliwą biurową elegancją.

Grube zwoje przewodów łączące budynek z satelitami na dachu biurowca Sovgazu biegły głęboko pod powierzchnią asfaltu. Żeby je ułożyć, a potem pospinać, trzeba było na całą noc zamknąć i odgrodzić duży odcinek ulicy. Następny dzień zajęło wylewanie asfaltu - nikt niczego nie mógł się domyślić, ot, roboty drogowe.

Tego ranka, gdy Siergiej w domu boksował się z wirusem, jego chłopcy uwijali się przy komputerach jak w ukropie. Zaczęły się ferie szkolne, więc małolaty dorwały się do swoich laptopów i bombardowały sieć, czym się dało. Tak samo pracownicy Siergieja cierpieli w wakacje i w każdy weekend. Przeklęty Bill Gates, który komputer osobisty wprowadził pod strzechy!

Informatycy, wpatrzeni w monitory, nawet nie zauważyli, gdy do sali, cicho i powoli, weszło dwóch mężczyzn. Nie byli zamaskowani. Nigdy nie zostawiali świadków. Stańli nieruchomo przy drzwiach i raz po raz naciskali spusty pistoletów z tłumikami.

Trzy ciała osunęły się bez jęku na podłogę.

Mężczyźni jeszcze chwilę stali i mordowali komputery, z których małymi fontannami strzelały iskry-

Chyba poległem - Siergiej nie mógł w to uwierzyć. Przetarł palcami oczy, ale powieki uparcie się zamykały. Ciekłokrystaliczne światło kłuło w źrenice. Była prawie dziewiąta.

Surowo siebie oceniał - i niesprawiedliwie. Zniszczenie wirusa, który zaatakował wczoraj sieć komputerową Sovgazu, okazało się zadaniem trudniejszym, niż mógł sobie wyobrazić.

To nie był wirus, ale wiadomość opakowana wirusem. Po całonocnej pracy był już tego pewien.

Niby wszystko dobrze szło: znalazł słaby punkt wirusa, napisał program, który powinien go unicestwić - ale porażka! Nie zadziało. Powtórzył pracę raz jeszcze - znowu nic. Założył więc, że wirus musi mieć w swej strukturze wiele fałszywych słabych punktów i konieczne będzie sprawdzanie każdego z nich.

Przy kolejnym podejściu miał więcej szczęścia - jego program zadziałał. Rozpoczął się proces destrukcji wirusa. Za kilkadziesiąt minut miał zobaczyć efekt nocnej pracy.

Masując obolały kark, wpatrywał się w skaczące po ekranie znaki, które zaczęły układać się w słowa ukrytej wiadomości.

*TAJNE. OPERACJA W POLSCE ROZPOCZĘTA.
NATYCHMIAST URUCHOMIĆ ZWIĄZKOWO...*

- Jasna cholera! - wyszeptał przerażony. - Ale wdepnąłem.

W środku ósmego słowa wiadomość się urywała. Proces destrukcji wirusowego opakowania został nagle przerwany. Siergiej wiedział już, że jego hipoteza znalazła potwierdzenie. Musiał znaleźć

kolejne punkty krytyczne, żeby odsłonić całą wiadomość.
- No to poległem naprawdę.

W metrze był tłok, ale Siergiej nie zauważał rwącej rzeki przechodniów w podziemnych korytarzach. Odbijał się od nich, idąc pod prąd, czy to wycieńczony nocną pracą, czy też oszołomiony porannym odkryciem. Miał pustkę w głowie. Czym prędzej chciał znaleźć się w sali operacyjnej Hackservice'u i naradzić z chłopakami.

Wyszedł z metra i szybkim marszem ruszył w stronę biura firmy. Z każdym krokiem nogi niosły go coraz szybciej i szybciej. Ostatnie kilkadziesiąt metrów już przebiegi. Skoczył do drzwi. Nie było przed nimi ochroniarza, wpadł do holu i omal nie potknął się o czyjeś nogi, ciało w mundurze leżało oparte o ścianę. Pchnął drzwi: - Jezu przenajświętszy!

Na podłodze zobaczył trupy pracowników. Dwa leżały przy biurkach. Kable komputerowe tonęły w kałużach krwi. Każdy z jego chłopaków dostał postrzał w głowę, jeden także w pierś. To była egzekucja. Trzecie ciało, tak mu bliskie, znalazł w korytarzu prowadzącym do jego gabinetu. Przykucnął. Rękę, drżącą z przerażenia i rozpacz, czule położył na głowie ofiary. - Śpij, kochanie...

Od strony korytarza usłyszał skrzypnięcie butów. Nie spojrzawszy tam, wiedziony instynktem rzucił się do tylnych drzwi. Nie słyszał i nie widział kuli, która go szukała, ale nie znalazła, i utkwiała we framudze. Wybiegł z budynku i w kilku susach znalazł się na gwarnej moskiewskiej ulicy. Wmieszał się w tłum.

Rozdział 114.

Warszawa

- Nieee! Litoości!!!

Ale oni nie znali tego słowa. Nie było dla niego miejsca w ich zakutych łbach.

- A czego się po tych zakapiorach spodziewałeś, kretynie? Że ci darują? Oni nigdy nie darowują. Taki ich bandycki kodeks honorowy: zajeść frajera! Tak im kazali, ale nawet gdyby im nie kazali, i tak by to robili, z potrzeby chamskiego serca i proletariackiej duszy.

- Dlaczego oni tak zawsze? Przychodzą o siódmej i napierdalają do wpół do ósmej. A potem przestają. To zemsta jakaś wyrefinowana? KGB-owska metoda? Niechby raz napierdalali do samego końca. A potem już nic. Cisza. Nirwana. Ale tak?

Od miesiąca, każdego dnia, kawałek po kawałku rozrywali mu mózg. Po kilku kolejnych uderzeniach zapadał się w ból.

- Nieee!

Obudził go własny krzyk. Maks zerwał się z łóżka i zamknął z hukiem okno. Hałas przycichł. Spojrzał na ulicę. Robotnicy ruszali do pobliskiego sklepu po śniadaniowy browar. Ostatni młotem pneumatycznym kończył wykuwać dziurę jak lej po bombie. Była godzina siódma trzydzieści.

Z trudem poruszał się po gierkowskim mieszkanku, którego ściany poprzedni lokator pomalował na wściekły róż. W drodze do łazienki kluczył między porzuconymi częściami komputerowymi, które miały mu się przydać do nowej cud-maszyny, ale się nie przydały; między pustymi butelkami po coli i piwie, które od dawna planował

wyrzucić, ale nie wyrzucił; między stosami i stosikami książek, które miał przeczytać, ale nie przeczytał.

Wycisnął z tubki reszkę pasty, spojrzął w lustro nakrapiane brudem. Zerknął raz, odchylił nieco głowę i ponownie utkwiał wzrok w swoim obliczu. Patrzył i nie mógł się zdecydować: jest przystojny czy nie? Krótkie, ciemne włosy podkreślały wyrazistość rysów twarzy, trzydniowy zarost, duże ciemne oczy, orli nos - powiedziała by kto: amant filmowy.

Ale Maks znał prawdę, bolesną prawdę mężczyzny przed czterdziestką: włosy ścina krótko, bo przerzedzone, niestety, i z loczków cherubinka nic nie zostało. Zarost? - powiedzmy sobie szczerze: nie-golony z lenistwa; no i TO najgorsze, co nie mieściło się w kadrze lustra, czyli brzusek, który pojawił się parę lat temu i już został.

A orli nos? Nie żaden orli ani rzymski, ale zwyczajnie - żydowski. Taki sam miał dziadek po kądzieli. Trudną prawdę Maks odkrył parę miesięcy temu, przeglądając amerykańskie listy pokładowe statków, które przewoziły z Bremy żydowskich imigrantów do Ameryki: byli tam jego pradziadek, dziadek i liczni krewni.

- Jak mogliście oszukiwać mnie przez całe życie! - wyrzucił kiedyś z siebie przez całą długość sto-

łu, gdy przyszedł do rodziców na niedzielny obiad. A chciał przecież tylko poprosić o pieprz...

Ojciec spojrzał zdziwiony, brwi miał zmarszczone, a na twarzy święte oburzenie. - Co ci przychodzi do głowy, synu - powiedział. - Spójrz tam na ścianę. Kto tam wisi, no kto? Matka Boska Częstochowska wisi. A tam przy oknie? - Wskazał ręką, jakby oprowadzał wycieczkę. - Jezusik na krzyżu.

- To wszystko przez te komputery - wtrąciła się matka, wracając z kuchni z misą dymiących kotletów mielonych - mówiłam tyle razy, ale mnie oczywiście nikt nie chce słuchać. Komputery naświetlają głowę, o tak - pokazała, robiąc z dłoni lampę i dotykając do czoła - i już nieszczęście gotowe. Weź jeszcze jednego kotlecika, zrobiłam z pietruszką, tak jak lubisz.

Jednak to nie kształt nosa uwierał Maksa najbardziej, ale to, że dal się oszukać! Tak na amen. Że był tak naiwny, niczego nie zauważył, nie skojarzył. Ślepy był, kupował wszystko, co mu rodzice sprzedawali, jak Cyganie na targu, choć w te łgarstwa nie wkładali wiele wysiłku i towar wciskali mu marny.

- Bądź dumny! Masz typowo polskie nazwisko, szlacheckie, bo się kończy na ski - od dziecka powtarzał Maksowi ojciec. - A imię też masz jak najbardziej katolickie - wtórowała matka. - Po ojcu Kolbem.

I wtedy mały Maks w wyobraźni dosiadał rumaka, husarskie skrzydła łopotały na wietrze i tak przeraźliwie warczały, że wraże, niepolskie i nieszlacheckie hufce czmychały z pola bitwy.

Innym razem Maksio bronił Częstochowy i Najjaśniejszej Paniienki przed heretyckimi Szwedami.

Wróg musiał ustąpić przed szablą i fantazją Maksia, którego wspierał dzielny Kmicic i katolicki Pan Bóg w Trójcy jedynej.

Kiedy indziej znowu Maksymilian pomagał w Wilnie koledze Adamowi pisać patriotyczne wiersze, a i sam czasem skrobął co nieco... albo wyruszał ze spiskowcami zabić księcia Konstantego, dać Narodowi sygnał do Powstania, a buty podchorążych spiskowców stukały na staromiejskim bruku: *stuk, stuk... stuk, stuk...*

- Maksymilian Aronowski - to od aronii, synu - nasładzała się matka. - Piękne krzewy! Rosły w naszym majątku na Kresach. Dają pyszne owoce...

- *You've got an email! You've got an email!* - cyfrowy głos z komputera przerwał Maksowi seans nienawiści do rodziców. Poczłapał do klawiatury, mijając dowody swojej nędzy, upadku i luzerstwa. Otworzył wiadomość wysłaną z nieznanego mu adresu:

Musimy się spotkać, ważne, bądź w południe u Nataszy.

To musiał być Siergiej, nikt inny. Maks spojrzął na zegarek. A więc za cztery godziny.

Koła Samolotu oderwały się od ziemi. Siła ciężenia wcisnęła wątle ciało Siergieja w fotel. Zabrakło mu powietrza; po obu skroniach powoli spływały krople potu, zwilżając następnie i tak mokry kołnierzyk koszuli.

Rozpiął guzik, poluzował krawat, nerwowo szarpiąc go w lewo i w prawo. Jeszcze głębiej wcisnął się w fotel, pomagając grawitacji.

Mimo że samolot wzniósł się już kilka kilometrów nad rosyjską ziemię i o kilkadziesiąt oddalił od Moskwy, strach nie ustąpił.

Ktoś dotknął jego ramienia, Siergiej zamarł.

Staruszek z sąsiedniego rzędu, wyszczerzając protezę, spytał: - Pomożesz panience, kawalerze?

Korytarzem zbliżała się mozolnie młodziutka stewardesa, ciągnąc wózek z napojami. Nie było lekko dziewczynie: wózek sporo ważył, a ona, chudsza jeszcze niż Siergiej, zapierała się mocno nogami, by przesunąć brzęczący szkłem barek na kółkach. Pasażerowie patrzyli z zainteresowaniem, czy sobie poradzi, czy nie, ale nikt jej nie pomógł. Patrzył też Siergiej, szczęśliwy, że może choć na chwilę oderwać myśli. Głupia sytuacja! Wyręczyć ją - to jakby powiedzieć dziewczynie: „Nie nadajesz się, kochanieńka”. Ale co dalej? Zasuwać z wózkiem z napojami przez całą długość samolotu? A potem przecież jest jeszcze obiad... Głupia sytuacja - myślał Siergiej. Może i dobre wychowanie nakazywało pomóc dziewczynie, ale dziś? W jego sytuacji?

Poprosił o sok pomarańczowy. Czuł bolesną suchość w gardle.

- Jest tylko pomidorowy - powiedziała stewardesa, łapiąc oddech.

- Niech będzie.

Dziewczyna niezdarnie podała mu szklankę, rozlewając sok na stolik i spodnie Siergieja. Płyn w kolorze tętnicznej krwi

przywołał obraz kabli komputerowych zanurzonych w czerwonej mazi, masakry w sali operacyjnej Hackservice'u. Operacyjnej! Kto, do cholery, wymyślił tę makabryczną nazwę!

Bał się. Bardzo się bał.

Czujnie przesuwiał wzrok po twarzach pasażerów, ale nie zauważył nic podejrzanego.

Samolot do Warszawy był ledwie w połowie wypełniony. Stosunki polsko-rosyjskie pozostawały napięte od wielu lat. Turystyka zamarła. Tylko przedsiębiorcy średniej rangi podtrzymywali zamierającą wymianę towarowo-pieniężną, bo tylko oni jeszcze zachowali szczątkową niezależność od czynowników, poszerzaną hojnymi łapówkami.

Siergiej starał się opanować zwierzęcy strach, który nie pozwalał mu zapanować nad chaosem myśli.

Jak to się mogło stać? - próbował odtworzyć ciąg zdarzeń, który zmusił go do panicznej ucieczki i doprowadził na pokład samolotu do Polski. Nawet bez szczoteczki do zębów.

Najpierw muszę wyselekcjonować zdarzenia niecodzienne - podpowiadał sobie w myślach, patrząc przez okienko samolotu na błękit okraszony wolno przesuwanymi się chmurami.

Od której jednak strony by zaczął, jakkolwiek by nieszczęsny ciąg zdarzeń rozbierał na czynniki pierwsze, bardziej pierwsze i najbardziej pierwsze - zawsze wychodziło to samo równanie:

spotkanie z Amerykaninem w restauracji Trojka =
wyniesienie wirusa w palmtopie poza firmę = próba

złamania kodu = śmierć kolegów. Któreś z pierwszych trzech zdarzeń, albo wszystkie naraz, stały się przyczyną tragedii. Co będzie dalej? Jego śmierć?

Nie powinienem spotykać się z Amerykaninem. Nie powinienem - czynił sobie wyrzuty, które znów przywołały z pamięci natrętną scenę z filmu: chłopiec tak zapamiętałe kręci się wokół własnej osi, mimo ostrzeżeń dorosłych, że w końcu pada, rozbija zakuty łeb o chodnik i zalewa się wymiocinami.

Kiedy podpisywał kontrakt z Sovgazem, smutni powiedzieli mu: „-Liczymy, że będziesz pracował tylko dla nas. Jeśli nie posłuchasz, będziemy zawiedzeni”. Zapowiedzieli też, że wirusy ze znakiem Alfa ma przepuszczać dalej w celu przetestowania jakiegoś wewnętrznego programu antywirusowego.

No dobra. Zawiodłem ich, ale żeby od razu strzelać?! Zabijać prostych komputerowców?! I sprzęt niszczyć!

Siergiej nie mógł sobie przypomnieć, kto do niego zadzwonił i umówił spotkanie z rudym Amerykaninem. Wymienił jakieś z niemiecka brzmiące nazwisko. Powiedział: „Przedstawiciel dużego międzynarodowego banku chce się z panem spotkać w sprawie poważnej. Dyskrecja konieczna i zapewniona”.

I słusznie, powinna być zapewniona, bo Amerykanin musiał wiedzieć, że wirus to przesyłka specjalna, że chodzi o jakąś grubą aferę, zamach stanu w Polsce czy coś takiego... Dlatego wynajął Siergieja, żeby przyniósł mu ją na tacy. Roztoczył wizję współpracy na wszystkich kontynentach. Wsparł ją dwudziestoma tysiącami dolarów zaliczki, szampanem i jeszcze dobrym obiadem z przystawką.

Siergiej nie mógł takiej okazji przepuścić. Oczyma wyobraźni widział już siebie w wielkim skórzanym fotelu prezesa, a za nim, na ścianie gabinetu, mapę świata z

chorągiewkami znaczącymi siedziby biur jego firmy: Nowy Jork, Londyn, Frankfurt, Singapur, Szanghaj.

Piękna to była wiz[^], piękna! A teraz chłopaków wiozą do moskiewskiej kostnicy, a on leci do ponurej Warszawy i nie wie, czy dożyje lądowania. Kurwa mać!

Nie był dość czujny, myślał: „Wirus to wirus. Chce Amerykanin dostać ruską francę, proszę bardzo, nie moja sprawa”.

Ale to była jego sprawa. Śmiertelnie ważna sprawa.

Czy to Amerykanin się wygadał? Czy w ogóle pracuje dla banku, czy dla kogoś, kto raczej liczy zwłoki niż pieniądze? Śledziło ich FSB? Smutni z Sovgazu? A może za tym nieszczęściem stoi ktoś całkiem inny?

Jezu miłosierny! W co ja wdepnąłem! - jęknął w duchu.

Siergiej wiedział, że na litość smutnych z Sovgazu nie ma co liczyć. Jeśli to oni zwolnili mu pracowników bez wypowiedzenia, dopadną go prędzej czy później.

Cień szansy na przeżycie dawało tylko rozpakowanie całej wiadomości i przekazanie jej Amerykaninowi. I to szybko! Zanim się zdenerwuje albo zniknie na dobre. Ale czy to zapewni Siergiejowi udział w jakimś programie ochrony świadków, czy raczej udział w programie nawożenia Siergiejem trawnika? Tak czy siak nie miał wyjścia. Pomóc mógł mu tylko jeden człowiek.

Maks Wyszedł ze swojego mieszkania w gierkowskim wieżowcu przed piętnastą. Z niechęcią spojrział na robotników, którzy pogryzali pęta kiełbasy, przysiadując na płytach chodnikowych wokół dziury wyłupanej w jezdni, jakby siedzieli przy grillu. Do końca szycoty jeszcze godzina - da się wytrzymać!

Przez podwórko, odrapaną bramą obok księgarni zamienionej na Citibank, wyszedł na ulicę Puławską, minął dawny sklep z butami, aktualnie Noble Bank, i na światłach, przy delikatesach - czyli od paru dni banku ING - przeszedł przez ulicę na przystanek tramwajowy.

Jechał na spotkanie z Siergiejem. Do Nataszy.

Siergiej przysłał ją do Maksa wiele lat temu, wkrótce po ich deportacji z Ameryki. Dziewczyna, eteryczna jak siostra z Czechowa, była zagubiona i pełna melancholii. Nie wiadomo dlaczego postanowiła wyrwać się z Rosji i dlaczego właśnie do Polski. Nie chciała o tym mówić.

Tak czy owak, waletowała u Maksa kilka tygodni, bez seksualnych konsekwencji, niestety. Prawie nie wychodziła z mieszkania - chyba z powodu nadmiaru urody, którą bezwiednie atakowała mężczyzn. Maks patrzył na nią łakomie, kiedy w milczeniu, otulona jego szlafrokiem nielitościwie rozchylonym na piersiach, rozczesywała długie, czarne włosy po kąpieli - ale nie śmiał się zbliżyć. Dziewczyna potrafiła milczeć całymi godzinami, ustawiała krzesło przy oknie i popatrywała na podwórko, gdzie nic się nie działo. Gdyby Maks chciał policzyć słowa, które do niego wypowiedziała, palców u rąk i stóp pewnie by mu wystarczyło. Nie, wcale nie miał wrażenia, że

Natasza go ignoruje. Uśmiechała się smutno i przepraszała, czasem zrobiła jajecznicę, podała mu ją w milczeniu, zdejmując wcześniej ze stołu części komputerowe i

kładąc je gdzie popadnie. Taka po prostu była Natasza. I zniknęła, też po prostu.

Po jakimś czasie znów zamieszkała u niego. Znów bez słowa wyjaśnienia. Już nie była eteryczna i zagubiona, ale nadal całymi dniami nie wychodziła z domu. Tym razem jednak miała ważny powód, który Maks poznał później - ukrywała się przed dziennikarzami. Brukowce opublikowały zdjęcia Nataszy jako kobiety sukcesu: jak się okazało, właścicielki elitarniej agencji towarzyskiej. Prasa wytropiła, że paru posłów wydawało publiczne pieniądze na luksusowe dziewczęta - publiczne również - które pracowały dla Nataszy. Posłom wszystko się zgadzało.

Gdy sprawa ucichła, dziewczyna znów zniknęła. Zostawiła Maksowi wizytówkę z numerem telefonu. Nie skorzystał.

Agencja Nataszy mieściła się w szklanym wieżowcu w centrum miasta, pełnym przedstawicielstw wielkich firm i białych kołnierzyków. Dobra lokalizacja. Restauracje na parterze budynku i w patio obsadzonym soczystą zielenią wypełniały się w porze lunchu młodymi, zdolnymi i bezwzględnyymi.

Jednak niektórzy z nich nad kulinaria przedkładali towarzystwo i umiejętności Nataszy i jej koleżanek. Doceniali dobrą organizację i zadaniowy system pracy dziewczyn, tak podobny do reżimu, któremu sami podlegali przed lunchem i po nim.

Natomiast zaraz po siedemnastej do Nataszy przychodzili ci, którzy nie chcieli zrezygnować z południowego posiłku. Ale i oni nie zabawiali u niej długo. Śpieszyli się na kolację do domów, żon i rodzin, które cenili nade wszystko. Więc godziny pracy też Natasza miała wygodne.

- Nigdy nie zdradzam, żonynynyny. Zdradądadą się brzydzedzędzę - powtarzał jeden z drugim, rytmicznie dysząc dziewczynie w uszko. Dlatego właśnie, z powodów etycznych jak najbardziej, przykładni pracownicy korporacji woleli zachodzić do Nataszy i koleżanek, zamiast brnąć w brudne biurowe romanse. Klientów Natasza miała w bród.

Maks wszedł do szklanej windy, w palecie cyferek wybrał numer 27. Akwarium na linie wzniosło się cicho i szybko ponad dachy kamienic. Popatrzył w niebo - było siwe, słońce przysłoniła patyna chmur. Z niechęcią spojrzął pod nogi, na nieprzyjazne szaro-czarne mrowisko warszawskich ulic. Zakreśliło mu się w głowie. Wysiadł z windy i ruszył sterylnym korytarzem, mijając biura dwóch kancelarii prawnych i banku. Pchnął przyciemnione drzwi z szyldem *Maria. Business Solutions*.

Natasza, ubrana w skromną popielatą garsonkę, czekała na niego. Najwyraźniej Siergiej zawiadomił ją o spotkaniu.

Zmieniła się: teraz miała krótkie i jasne włosy, ale nadal patrzyła tymi wielkimi, czarnymi oczami smutnego spaniela.

- Witaj, Nataszo!

- Mario, teraz Mario...

Siergiej od dobrych kilku minut stał

w drzwiach warszawskiego terminala lotniczego, które otwierały się i zamykały, gdy bezwiednie zbliżył się do nich. Niecierpliwił się. Przeszł z nogi na nogę, co chwila zerkając na pobliski przystanek autobusowy. Nagle ruszył biegiem, kilkoma susami minął postój taksówek, przebiegł przez pasy dla pieszych, nie zważając, czy coś jedzie, i wskoczył do autobusu, który ruszał z przystanku. Tak było bezpiecznie.

Przeszedł do środka pojazdu, gdzie był największy tłok. Tak też było bezpiecznie.

Udawał, że tępo patrzy przez okno, ale kątem oka czujnie zezował na pasażerów. Z tyłu przy kasowniku dostrzegł wysportowanego mężczyznę w skórzanej kurtce, z torbą „pederastką” na przegubie ręki. Siergiej rozpoznał go: mężczyzna też wskoczył do autobusu na lotnisku, niemal równocześnie z nim. Zza głów pasażerów dyskretnie mu się przyglądał. Siergiej zamarł z przerażenia. Przecisnął się kilka metrów dalej. Mężczyzna także. Siergiej z całej siły rozepchnął tłum, który zagradzał mu drogę, i parł w stronę kierowcy autobusu. Mężczyzna był tuż za jego plecami, włożył rękę do kieszeni kurtki, a drugą szarpnął Siergieja za ramię.

- Bilecik proszę. - Pokazał legitymację.

Siergiej odetchnął z ulgą, miał ochotę ucałować kanara, ale tylko wykupił się studolarówką.

Już ledwie kilka przecznic dzieliło go od

biurowca, gdzie pracowała Natasza. Budynek stał po drugiej stronie przecinających miasto torów kolejowych zagłębionych w wykopie, miejscami tylko przykrytym tunelem. Im Bardziej się zbliżał do celu, tym czuł się pewniej, nie mógł jednak całkiem odegnać natrętnej myśli, że ktoś go obserwuje.

Odwrócił głowę: granatowe audi powoli jechało ulicą kilkanaście kroków za nim. Po paru chwilach znów spojrzął - samochodu już tam nie było. Zobaczył go kilkadziesiąt metrów przed sobą, tuż za wiaduktem kolejowym. Minął przecznicę. Gdy się zbliżył, auto ruszyło z piskiem opon i znikło w rzece samochodów.

Strach rozum mi odbiera - pomyślał Siergiej, wspominając kontrolera biletów i swoją panikę - takich wozów są w Warszawie tysiące. Każdy wyrostek chce mieć granatowe audi.

Skręcił w uliczkę prowadzącą do szklanego wieżowca, wszedł na chodnik. Był już spokojny. Za wcześnie. Prawie nie poczuł gwałtownego uderzenia w plecy, które wyrzuciło go w górę z takim impetem, że przeleciał w powietrzu dobre kilkanaście metrów. Frunąc nad asfaltem, z pewnością nie mógł rozpoznać marki samochodu, ale było to granatowe audi.

- Jezu! Pirat zabił człowieka! - krzyknął któryś z przechodniów.

Auto, które wystrzeliło Siergieja w powietrze, zjechało już z chodnika i teraz gwałtownie hamowało, ale potrzebowało jeszcze kilkunastu metrów, by się zatrzymać. Zastygli z przerażenia przechodnie poczuli swąd gumy trącej o asfalt.

- Zatrzymał się! Jednak się zatrzymał! Dzwon na policję! - krzyczała kobiecina w chustce do nastolatka z komórką przy uchu. Chłopak rozłączył poprzednią rozmowę w pół słowa i z niedowierzaniem patrzył na ciało Siergieja, które zanim uderzyło o ziemię, machnęło jeszcze ramionami, jakby do końca miało nadzieję, że jednak pofrunie.

Zabójca zatrzymał się, ale nie wysiadł z auta. Wrzucił wsteczny bieg i tyłem ruszył w stronę Siergieja, leżącego bezwładnie na jezdni. Chrząst łamanych kości wykrzywił twarze gapiów, którzy jak zakłęci oglądali ten zabójczy spektakl. Morderca znów stanął, a potem z rykiem silnika wystartował do przodu. Nie zadał sobie trudu, by ominąć ciało. Po chwili granatowe audi zniknęło za zakrętem ulicy.

Przechodnie podbiegli do mężczyzny, który bez jednego buta leżał na brzuchu, z zakrwawioną głową nienaturalnie przekrzywioną na bok. Poruszał jeszcze ręką. Sztywniejącymi palcami przyciągnął komórkę, która upadła obok. Ostatkiem sił przycisnął kilka guzików. Chciał wcisnąć jeszcze „enter”, ale jego ręka bezwładnie opadła na asfalt.

- Chce pan kogoś zawiadomić? - spytał chłopak, pochylając się nad rannym. Siergiej widział go jak przez mgłę. Na potwierdzenie przymknął oczy. Już ich nie otworzył.

Chłopak wcisnął „enter”.

Głos policyjnych syren przywołał do okien ciekawskich pracowników biurowca. Ich twarze wypełniały kwadraty szyb piętro po piętrze. Maks i Natasza też wyglądali z góry na ulicę, ale z wysokości dwudziestu siedmiu pięter nie mogli dostrzec, co się stało. Zadzwieczył SMS. Maks dostał wiadomość.

Przez te wszystkie lata, które minęły od czasu ich przygody w Dolinie Krzemowej, Maks nie mógł rozstrzygnąć, czy Siergieja lubi, czy go nienawidzi. Gdy po wyjściu od Nataszy rozpoznał z daleka jego delikatne, zmasakrowane ciało na jezdni, te sprzeczne uczucia skłębiły się w nim na kołtun. Dlatego nawet nie podszedł.

Na stypendium SoftTechu w Ameryce spędzali razem mnóstwo czasu. Siergiej otworzył przed Maksowi swój zamknięty, intymny świat, który zamącił Maksowi w głowie, w sercu i w spodniach. Z przerażeniem zauważył, że dotyk Siergieja, jego bliskość, pociąga go, nadaje istnieniu jakiś nowy, nieznanym wymiar, budzi doznania, których wcześniej nie zakosztował z kobietą. Ale to, co zdawało mu się tak pociągające, wywoływało też uczucia nieznośnie bolesne, gdzieś z głębi duszy czy mózgu, z zakodowanego społecznego tabu. Maks czuł się brudny i upodlony, ale nie przez Siergieja - przez siebie samego. Tak... czuł, że śmierdzi pedalskim brudem, pociągającym i odrażającym jednocześnie, przeżerającym skórę i mózg, piętnującym i skazującym na ból i cierpienie - bez odwołania.

Maks wrócił do Polski, ale nie całkiem do siebie, z przetrąconym życiem i karierą. Kobiety, do których się zbliżał, pokazywały mu w końcu drzwi, chociaż się starał. Czy wyczuwały jego „pedalski brud”?

Te drażniące myśli doprowadziły Maksa do domu. Minął księgarnię, którą pożarł bank, i przez odrapaną bramę wyszedł w osiedlową uliczkę. Dziura, którą rano z mazołem wykuli robotnicy, nie była zasypana ani zabezpieczona. Na pewno jutro do czegoś im się

jeszcze przyda - pomyślał z sarkazmem i ostrożnie obszedł ją wkoło.

Staął przed drzwiami swojego mieszkania na pierwszym piętrze i dłuższą chwilę szukał kluczy. W końcu jego palce natrafiły na zimny metal. Są! Dzięki Bogu! Maks odetchnął z ulgą. Bał się, że jakiś złodziej wykradnie mu projekt nowego komputera, a przecież to on, Maks, miał zarobić na nim ciężkie tysiące, w euro oczywiście!

Otworzył trzy zasuwki po kolei, zaczynając, jak zawsze, od środkowej. Taki miał zwyczaj, może to przesąd? Wszedł do mieszkania. Nie zdążył jeszcze zdjąć butów i kurtki, kiedy w kieszeni odezwała się komórka, krótkim, ostrym sygnałem dając znać, że nie odebrał wiadomości. Rzeczywiście, przypomniał sobie, że gdy z Nataszą wyglądali przez okno biurowca, przywołani syrenami policyjnych radiowozów, przyszedł SMS. Ale wtedy nie miał do tego głowy! Tym bardziej później, gdy gnany sprzecznymi uczuciami myślał o Siergieju i o wypadku, który odwołał ich spotkanie.

Wcisnął guzik. Na ekranie telefonu wyświetlił się numer Siergieja, a zaraz potem spakowany plik. Aż przysiadł oszołomiony na wersalce.

Wiadomość została wysłana o godzinie 16.02, mniej więcej wtedy, gdy z Nataszą stali przy oknie! Siergiej musiał ją wysłać tuż przed śmiercią. Dlaczego?

Maks podłączył komórkę do starego laptopa.

- Cholera, że też nie złożyłem jeszcze nowej maszyny
- złościł się przez chwilę. Przekopiował plik. Na ekranie pojawiła się, jak w jakiejś świątecznej reklamie, paczuszka z napisem *Alfa*, przewiązana wstążeczką!

Tylko choinki i renifera brak - pomyślał z rozbawieniem. Ale po chwili nie było mu już do śmiechu: za paczuszką przedefilowały rzędy znaków. Część była rozkodowana:

*TAJNE. OPERACJA W POLSCE ROZPOCZĘTA.
NATYCHMIAST URUCHOMIĆ ZWIĄZKOWO...*

- Ładny prezent mi przysłałeś, Siergieju. Niech cię szlag!

Maks przyglądał się przesyłce. Nie miał pojęcia, jak się do niej zabrać. Stary laptop nie nadawał się do takiego zadania. To nie była zwykła przesyłka, tylko jakiś pokopany wirus - tyle zdołał do późnego wieczora zrozumieć. Jutro skończę składanie nowej maszyny - postanowił solennie.

Rozłożył wersalkę do spania, ale sen nie przychodził. Przewracał się w brudnawej pościeli. Lęk, który zrazu pojawił się niespodziewanie i ledwie na chwilę, wzbierał coraz bardziej. Nie mógł mieć wątpliwości: Siergiej ubrał go w niezłe buty.

Czy śmierć kogoś, kto rozsyła takie prezenty, może być przypadkowa?

Z płytkiego Snu wyrwał go wcześniej rano znajomy huk młotów pneumatycznych - robotnicy rozpoczęli wykuwanie drugiej dziury w ulicy, jeszcze bliżej jego okna.

Maks wskoczył w spodnie, naciągnął wczorajszy, ulubiony T-shirt z napisem *Od jutra nie piję*, i czym prędzej, nawet bez śniadania, zabrał się do składania komputera. Zresztą i tak nie miał w domu nic do jedzenia.

Praca, przy akompaniamencie młotów zza okna, szła opornie. Dopiero gdy oddelegowani przez kolegów robotnicy poszli po poranne piwo, mógł się skupić. Zwykle nawet na etapie finalnym ulepszał dzieło. Tym bardziej teraz - w końcu to miał być wyjątkowy komputer - jego cud-maszyna. Nad tym projektem pracował już od roku, miał go calusieńki w głowie - dzieciątko tatusia. Był pewien, że w niektórych rozwiązaniach prześcignął wszystkich i wszystko, co do tej pory wymyślono.

Nagle ostry brzęk zbitego lustra w przedpokoju poderwał go na równe nogi. Na podłodze leżał zamek od drzwi wejściowych. Nie słyszał strzałów, tylko syknięcia. Po chwili odpadł drugi zamek. Kula wbiła się w futrynę okna, obok jego biurka.

Zanim napastnik odstrzelił ostatni zamek, Maks stał już na parapecie, trzymając laptop, plik kartek z notatkami i komórkę. Skoczył. Upadł, ale zaraz się poderwał i z szybkością, z jaką człowiek ucieka tylko przed śmiercią, pognął ku bramie wychodzącej na ulicę Puławską. Słyszał kolejne syknięcia i dźwięk kul, odbijających się rykoszetem od asfaltu. Kątem oka zobaczył robotnika, który przy dziurze w jezdni pogryzał kielbasę, czekając na kolegów z piwem. Zachwiał się nagle i runął do dziury. Pęto podwawelskiej spadło na bruk.

Maks dopadł bramy, wybiegł na ruchliwą ulicę. Zobaczył tramwaj, który właśnie odjeżdżał. Motorniczy jeszcze otworzył mu drzwi.

Rozdział 133.

Warszawa

Mądre kobiety, przez które przemawia doświadczenie życiowe, mówią, że pieniądze szczęścia nie dają. Tylko zakupy. Mają rację.

Joanna podała kartę kredytową w kasie kolejnego butiku przy Nowym Świecie i odebrała następną piękną torbę opatrzoną nazwiskiem znanego projektanta. Ręka bezdusznej ekspedientki niechłujnie włożyła do niej jasny płaszczyk - TEN jasny płaszczyk, który wypatrzyła już przed miesiącem.

Jeszcze przed minutką zmysłowo opinał jej biust i podkreślał kolor jasnorudych włosów, dodających twarzy Joanny więcej światła; nie ośmielał się też zasłaniać długich zgrabnych nóg, którymi chciała się chwalić każdego dnia; wierny jak pies, obracał się wraz z Joanną przed lustrem; pozwalał stawiać sobie i opuszczać kołnierz, wkładać i wyjmować ręce z kieszeni. A teraz? Tkwił zwinięty w torbie, ech! - Ale cierpliwości, płaszczuku. Jeszcze tylko pantofelki i będziemy w domu.

Zycie ulicy, którą teraz przemierzała w towarzystwie płaszczuka, już nie budziło w niej, jak rano, krwiożerczych instynktów: ani smród starego oleju atakujący z fast foodów, ani drepcząca niemal w miejscu staruszka, która zmuszała Joannę do zwolnienia kroku i wywijania w powietrzu torbami, żeby mogła ją wyprzedzić, ani roztrajkotane studentki w podgrupach okupujące chodnik przed bramą uniwersytetu.

Nie poszła jednak kupić pantofelków. Okłamała płaszczuk. Musiała jeszcze zajrzeć do redakcji. Dzisiaj z samego rana znów odrzucili jej tekst. I znów wezwali na rozmowę.

Joanna weszła do gmachu ze szkła, takiego jak wszystkie w dzielnicy biur i banków, minęła bramki ochrony i sztuczne kwiaty w donicach wewnątrz holu, windą wjechała na trzecie piętro.

Brodaty redaktor w okularach „musztardówkach” siedział za biurkiem. Wstał, wskazał jej krzesło, sam przysiadł na blacie.

- Robisz postępy, kochanie - zawsze pośłodził, zanim opieprzył. - Twój tekst nie jest bardzo zły... no, nie tak zły jak poprzedni. Tam to dopiero wszystko pochrzaniłaś! Ale powiedz mi, dlaczego piszesz tak bez życia? No i te błędy! Na litość boską, sprawdzaj liczby i daty! - redaktor zniżył głos i pochylił się ku Joannie. Bezceremonialnie zaglądał w dekolt dziewczyny, a jego ślipia szeptały:

- Nie myśl, laluniu, że ci wszystko wolno, bo masz duże cycki.

Joanna spojrzała prosto w „musztardówki”, krzycząc oczami: - A wolno mi, fiucie jeden, żebyś wiedział, ty złamasie ponury! Dziesięć razy będziesz mnie wzywał, żeby sobie popatrzeć?! Łajza!

Powiedziała jednak spokojnie: - To wina tematu. Przemysł gazowy mnie nie kręci.

Redaktor zrozumiał mowę ciała, wrócił za biurko.

- O czym chcesz teraz pisać? - zapytał chłodno.

Myśl o bliskim końcu rozmowy i jasnym płaszczyku czekającym na powtórny przymiarę, tym razem już z dodatkami, przywróciła Joannie spokój.

- O... Turkmenistanie - rzuciła redaktorowi cokolwiek na pożarcie. - Ma WIELKIE zasoby gazu ziemnego, więc pewnie ten temat też cię podnieca - kpiła. - Teraz rządzi tam prezydent postkomunista i jego klan. Operetkowa postać. Nie może się zdecydować, czy trzymać z Rosją, czy z Zachodem. Jak mówią Rosjanie: i rubla zarobić, i cnoty nie stracić. Unia Europejska liczy, że wybuduje za jej pieniądze gazociąg do Europy, który pozwoli Zachodowi uniezależnić się od rosyjskiego gazu. Rosja boi się tego jak diabli.

- Dobrze, dobrze, wystarczy - redaktor przerwał Joannie. - Pracujesz w gazecie, nie w radiu - ty mi nie mów, ty mi pisz!

Joanna pchnęła drzwi kawiarni hotelu

Bristol. Chłodno, lubiła to miejsce: stare kobiety przy likierze i kawie, czyli brak konkurencji; ciche spotkania biznesu, tego bez białych skarpetek, czyli szansa. Dyskrecja. I te miniaturowe stoliczki... hamburgera, chanie, nie połóżysz!

Usiadła, wsunęła pod stół nogi (ledwie się tam zmieściły), wyjęła gazety. Gdzie on, do cholery, jest?!

Maksa poznała na jakimś przyjęciu. Takim jak zwykle: kupa kobiet po trzydziestce bez towarzystwa, a mężczyźni bez żoninej ochrony - co kot napłakał. Zrazu wydał się Joannie interesujący: trochę nieobecny, trochę niechlujny, tajemniczy. No ale wtedy nie wiedziała, że jest komputerowcem! Nuuuda! O czym tu z takim rozmawiać? Wymienili telefony, ale potem nawet buzi, buzi nie było, a liczyła na więcej.

I nagle dzisiaj, przed godziną, zadzwonił. Natychmiast chce się spotkać. Napalony tak czy co?

Maks stanął w drzwiach Bristolu. Rozglądał się nerwowo. Nie dostrzegł Joanny ukrytej w oddalonym kącie sali. Przywołała go ręką. Nawet jej się podobał, gdy tak szedł po

długim czerwonym kawiarnianym dywanie, ściskając laptop pod pachą. Musi lubić swoją pracę - pomyślała. - Dobrze się prezentuje, tak męsko... z lekko potarganymi włosami i w koszulce z napisem *Od jutra nie piję*.

Maks podszedł do Joanny, rozejrzał się nerwowo po sali i skulony, wsunął się w krzesło.

- O co chodzi? - spytała sucho. - Nie odzywasz się tygodniami, a teraz nagle błagasz o spotkanie. I to natychmiast.

- Musisz mi pomóc.

- Dlaczego ja?
- Bo tylko ty możesz...

- Nie chrzań! - rzuciła krótko Joanna. Złościła się w duchu: Pomóc, pomóc - im zawsze trzeba pomagać! Co za faceci! Na rycerza już nie liczyła - wyginęli pod Grunwaldem, ale kolejna niedojda na liczniku? Co to, to nie!

Maks bez słowa otworzył laptop. Rozejrzał się czujnie wokół i kliknął na ikonę.

- Co to, kurwa, jest?!... Sorki - wyrwało się Joannie, gdy przeczytała rozkodowany fragment tekstu.

Maks z hukiem zamknął laptop, aż bywalcy przy najbliższym, choć oddalonym o dobre dziesięć metrów stoliku, odwrócili głowy. Opowiedział Joannie o Siergieju i wydarzeniach dzisiejszego ranka. Wątki osobiste pominął.

- To jakiś zamach stanu czy co? - Joanna nie mogła ochłonąć.

- Musisz mi pomóc! Jesteś z mediów, znasz pewnie ludzi z rządu... Możesz mnie gdzieś ukryć, z kimś porozmawiać...

Gówno znam - pomyślała Joanna - ale temat bomba, mam *scoop* jak cholera, dzięki, koleś!

- No dobrze - powiedziała jednak, odgarnęła ręką grube, rude włosy i zrobiła ważną minę. - Zobaczymy, co da się zrobić. Chrzań Turkmenistan! - dodała, wstając od stolika, i pomyślała: Wreszcie mam temat, o jakim marzyłam.

- Dlaczego akurat Turkmenistan? - Maks spojrzał na Joannę szczerze zdziwiony.

- Może kiedyś ci opowiem. Bierzemy mój samochód i jedziemy.

- Gdzie?
- Zobaczysz. Tajne.

Przewodniczący związku zawodowego pracowników PPG Kazimierz Wilk wszedł do ogródka pubu na Polu Mokotowskim. Rozglądał się, szukając

odpowiedniego stolika. O, ten będzie najlepszy! Ruszył w głąb ogródka, tam gdzie stary kasztanowiec, jeden z nielicznych ocalałych z zarazy, solidnym cieniem świeżych liści zakrywał cały stół i ławę. Mężczyzna rozsiadł się wygodnie i odetchnął głęboko, starł pot z szerokiego karku; pobliskie parkowe jezioro wcale nie chłodziło gorącego powietrza. Na poręczy ławy powiesił wymiętą, związkową marynarkę - w takich chodził na zebrania aktywu. Dobrze zarabiał, ale po co kłuć w oczy elegancją? Aktyw tego nie lubi.

Rozluźnił krawat, rozpiął guzik koszuli. To był ciężki dzień. Chociaż nie tak ciężki, jak to bywało przed rokiem, gdy dzielili akcje zakładu: wszyscy, kurwa, niezadowoleni! Nikomu nie dogodzisz, człowieku, choćbyś pękł! Temu za mało, tamtemu za mało - sami zasłużeni dla firmy, obiboki jedne. A dlaczego ten dostanie aż tyle, a tamten jeszcze więcej? Całe szczęście, że on, Wilk Kazimierz, wie wszystko: kto kradł kable, a kto papier sralny, kto przychodził do roboty nawalony jak stodoła, kto musiał kaca zapić kolejną ćwiartką i komu na bramie wyłączyło się alkomat, żeby moczymordę z roboty nie wyrzucili, a jego dzieciaki miały co do garnka włożyć. Przydało się, przydało. Teraz jednemu czy drugiemu ryja się zatkało, żeby nie pyszczył, i jakoś poszło.

Ale i tak gównojady posprzedawali wszystko, jak tylko przydział akcji dostali. Nie czekali ani chwili, za półdarmo opchnęli pośrednikom i śladu nie ma: na

wódę, na dziwki, na żonine fanaberie, wczasy w tropikach albo plazmę. A teraz płacz!

Ale on, stary Wilk, wiedział, że za rok drugie tyle kasy weźmie. Nic nie sprzedał, nawet jednej akcji, a i dokupił troszeczkę - na szwagierkę, dla bezpieczeństwa.

Rozłożył „Przegląd Sportowy”. Jak tam moja Legiunia? Dziady, cholera. Znowu remis - i to z kim? Z tymi wsiokami z Bełchatowa. Hańba, szkoda tych paru złotych na gazetę.

- Pan Wilk, nieprawdaż? - pytanie padło z ust stojącego przed nim dystyngowanego, szpakowatego mężczyzny około pięćdziesiątki, w ceglanej koszulce polo pod szarą, sportową marynarką. Usiadł naprzeciw niego. Spojrzał na gazetę.

- Dziady, panie Kazimierzu, dziady... Kolejny sezon dostają w dupę. Kiedy my wreszcie doczekamy się mistrza w Warszawie?

- Skąd my się znamy? - spytał Wilk niepewnie. - Pan wybaczy, ale tylu ludzi się spotyka...

- Spokojnie, panie Kazimierzu, spokojnie. Jak się nie znamy, to się poznamy, nieprawdaż? Wolicki jestem, Andrzej Wolicki... Proszę pani! - Skinął na kelnerkę. - Dwa żywce proszę!

- Ja na przykład, panie Kazimierzu - szpakowaty wrócił do rozmowy z Wilkiem - ciągle tak mam: widzę kogoś, gęba znajoma, ale za chińskiego boga nie mogę sobie przypomnieć kto to. Ani gdzie go już spotkałem. A na pewno spotkałem. No ale zdarza się, że sobie potem przypomnę. Tak, panie Kazimierzu, świat jest mały.

Kelnerka przyniosła piwo. Wilk szybko pociągnął kilka łyków, bo w gardle miał suchość. Starł pianę z sumiastych wąsów, które dodawały mu należytą powagę. Nic nie rozumiał z przemowy dziwnego gościa, ale nie miał odwagi mu przerwać.

- Albo, panie Kazimierzu, na przykład, ktoś coś słyszał... Albo o kimś coś słyszał. I pewny jest, że słyszał, ale już nie pamięta, co słyszał albo o kim to słyszał. No ale kiedyś może sobie przypomnieć, prawda? Pamięć ludzka potrafi splatać psikusa, panie Kazimierzu.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi? - przewodniczący Wilk zebrał się na odwagę.

- Pan mówi, panie Kazimierzu, że mnie nie pamięta. I ja panu wierzę. Ale ja pana pamiętam i dobrze by było, gdyby pan też mi wierzył. Bo zaufanie, panie Kazimierzu, to podstawa. To fundament międzyludzkiego porozumienia. Dobrego porozumienia. Takiego porozumienia, co to przynosi zadowolenie obu stronom. Czyż nie? - Mężczyzna spojrział pytająco na Wilka, czekając na potwierdzenie.

Wilk skinął głową i uśmiechnął się z przymusem.

- Bo ja, na przykład, panie Kazimierzu, pamiętam... - zawahał się. - A może nie pamiętam, tylko ktoś mi mówił, że pan, panie Kazimierzu, to nie Kazimierz, ale TW Protazy...

Przewodniczący Wilk zamarł z przerażenia. Mężczyzna patrzył na niego, oceniając efekt wypowiedzianych słów.

- Na szczęście, panie Kazimierzu Protazy, pamięć ludzka jest też zawodna i tak, jak można o czymś sobie przypomnieć, tak można to potem zapomnieć. Nie zdarzyło się panu nigdy? Mnie się zdarza. I to nawet często się zdarza.

- Czego pan ode mnie chce? Kim pan jest?

- Co za pytania, panie Kazimierzu? - Mężczyzna pogroził mu palcem; Wilk zauważył, że był krótszy i okaleczony. - Pan, taki inteligentny człowiek, związkowiec, obyty na salonach, w polityce... Przecież pan wie, kim ja jestem.

- Czego pan chce? - powtórzył z naciskiem Wilk. Miał mętlik w głowie i łzy w oczach.

- Chce, chce... To nie ja od pana czegoś chcę, panie Kazimierzu. Raczej pan może wiele skorzystać i ludzie, o których pan się troszczy: związkowcy, załoga. Ci wszyscy ludzie codziennego trudu i znoju, sól ziemi, którzy zostali ograbieni z własności narodu przez wilczy, proszę wybaczyć, kapitalizm. Teraz mogą oderwać łeb hydrze, jak mówił wieszcz, a przynajmniej łebek.

A pan, panie Kazimierzu, może ich do tego boju poprowadzić. Może pan być Kazimierzem Wielkim PPG! Dobrze brzmi, nieprawdaż?

Czyż nie należy się im więcej za codzienny trud? Czy to nie oni budowali potęgę zakładu? A teraz co? Prywatyzacja, giełda... Kapitałiści spijają śmietankę, a im rzucają nędzne ochłapy, te marne dwanaście procent akcji! No, niech pan powie, panie Kazimierzu. Nie należy się więcej?

- Należy - przewodniczący Wilk potakiwał zrezygowany i skołowany, chociaż nadal nic nie rozumiał.

- No właśnie. Należy się.

Mężczyzna wyprostował plecy, ręce rozłożył z tyłu na poręczy ławy. Poły jego marynarki rozchyliły się, odsłaniając kaburę pistoletu.

- A ile się należy? Ile rząd powinien dołożyć do pracowniczej puli, żeby sprawiedliwie było? Jak pan myśli, panie Kazimierzu?

- No... nie wiem. Jeszcze więcej - dostrzegłszy pistolet, przewodniczący jękał się śmiertelnie przerażony.

- Brawo, panie Kazimierzu! Brawo! Oto związkowiec z krwi i kości! - Mężczyzna klasnął w dłonie. - Ćwiartka, czyli dwadzieścia pięć procent łącznie, byłoby dobrze? Koledzy ucieszyliby się i wsparli postulat z ochotą. I żony by się ucieszyły... Związkowcy ćwiartki lubią, nieprawdaż, panie Kazimierzu?

Wilk milczał.

- Nieprawdaż?! - naraz huknął mężczyzna.

- Prawda - jęknął przewodniczący.

- To do roboty, gnido! - Teraz mężczyzna nachylił się nad stołem i syczał mu w ucho: - Rób zadymę, Protazy, to potraficie dobrze. Rząd ma dać dwadzieścia pięć procent akcji załodze. Bo jak nie, to i sianka nie będzie, i wylecisz na zbity pysk. Koledzy z Solidarności Walczącej rozszarpią cię z radością. Rozumiesz wreszcie, Protazy?!

Wstał. Spojrzał na przewodniczącego Wilka, który siedział skulony na brzegu ławki. - No nie, kurwa, ja tu jestem święty Mikołaj, rozdaję prezenty, a ten siedzi skundlony. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Po nogach powinieneś całować, że ci daję taką szansę, gamoniu!

Rozdział 143.

Lipówek, Warmia

Czerwony pantofelek nabijany ćwiekami z wyczuciem wcisnął pedał gazu. Napięcie mięśni wyostrzyło jeszcze zgrabną linię łydki i zsunęło brązową spódniczkę do połowy skropionego piegami uda. Potem błysk czerwonego światła ulicznego sygnalizatora wymusił na obu czerwonych pantofelkach wciśnięcie pedału sprzęgła i hamulca. Kolana gwałtownie wyprostowały się, wyprężając uda, które rozdzielało teraz nie mniej niż dwadzieścia centymetrów ciepłego, wiosennego powietrza.

- Ostro prowadzisz. - Maks siłą woli oderwał wzrok od ud Joanny.

Wiedziała, że na nie patrzył, ale nie powiedziała nic.

Wyjechali z Warszawy szosą na Gdańsk. Minęli Modlin i Głinojeck. A więc mogli jechać na Wybrzeże albo na Mazury.

- Może wreszcie powiesz, gdzie mnie zamelinujesz. - Maksa złościły takie dziecięce tajemnice.

- W Lipówku.

- Co to za zadupie?

- Zadupie, kochanie, to teraz twoja pierwsza potrzeba, twój tlen. Lepsze zadupie niż odstrzelona dupa, no nie? Chcesz się przechadzać po Marszałkowskiej? - Joanna oderwała na chwilę wzrok od szosy i z wyższością spojrzała na Maksa. Miała przewagę.

Maks zamilkł.

- Lipówek to wiocha na Warmii, koniec cywilizacji - po chwili milczenia Joanna odpowiedziała wreszcie na pytanie Maksa. - Parę chałup, wkoło las, pojedynczy miastowi. To właśnie tam psy dupami szczekają. Mój ojciec zbudował we wsi, na wzgórzu, domek z bali. Ochłoniesz trochę, zastanowimy się, co robić.

Niebieski, damski fordka musiał spokojnie wlec się w luźnym szeregu aut co kilkadziesiąt kilometrów zatrzymywanym przez roboty drogowe. Maks wpatrywał się w brzydką przestrzeń pobocza upstrzoną chaotycznymi reklamami.

- Ja już wiem, co mam zrobić... - powiedział i odwrócił głowę w stronę dziewczyny. Nie dokończył. Wielki tir, który gwałtownie wyjechał z szeregu samochodów sunących z naprzeciwka, całą siłą swoich dwudziestu ton parł prosto na nich. Maks nawet nie krzyknął. Zasłonił głowę rękami.

Joanna nie miała czasu, żeby hamować. Instyktownie puściła tylko gaz i szarpnęła kierownicą w bok. Ford z dużą szybkością wpadł na pobocze. Joanna znów szarpnęła kierownicą. Maks czuł, jak auto sunie bezwładnie bokiem w stronę szpaleru starych dębów na poboczu.

W ostatniej chwili dziewczyna wcisnęła gaz w podłogę i skontrolowała kierownicą. Samochód, rżąc, wyszedł z poślizgu i nagłym skokiem wrócił na jezdnię.

- Kiler czy kolejny tirowiec idiota? - mruknęła Joanna, gdy puls opadł im poniżej setki.

Maks milczał. Wpatrywał się z napięciem w szosę przed nimi. Po chwili wyciągnął rękę i przekręcił lusterko wsteczne tak, by też mógł widzieć samochody z tyłu. Znow spjrzał przed siebie, potem w lusterko. Po trzecim razie Joanna straciła cierpliwość.

- Bez przesady. Masz paranoję! - Skrzywiła się. - Zamiast tak zezować, powiedz, co zamierzasz?

- Nie teraz. Dojedźmy wreszcie do tego cholernego Lipówka!

Joanna, urażona, wzruszyła ramionami.

Maks Uspokoił Się dopiero, gdy zjechali z szosy i przez Nidzicę ruszyli dalej w stronę Olsztyna. Teraz mięśnie jego karku rozluźniły się, poczuł zmęczenie. Szosa była kompletnie pusta. W zasięgu wzroku żadnego samochodu: ani z przodu, ani za nimi.

Jechali w milczeniu, radio skończyło nadawać kolejną partię przebojów. Spiker czytał wiadomości:

- *Skok cen ropy naftowej. Na nowojorskiej giełdzie NIMEX baryłka zdrożała już o dziesięć dolarów. Trudno to wytłumaczyć - mówią analitycy rynku paliw. Może rynek już widzi światelko w tunelu? Może nadchodzi koniec kryzysu?*

- *Poranna strzelanina na warszawskim Mokotowie. Jedna osoba nie żyje. Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, przypadkową ofiarą jest pracownik firmy remontowej. Policja przypuszcza, że dzisiejsza strzelanina to kolejny akt wojny warszawskich gangów.*

- Ej, Maks! Czy ty mnie nie wkręcasz? Może ty gangster jesteś, a nie szpieg? - niby zażartowała Joanna, ale poczuła niepokój. - Tak czy owak, lepiej wyjmij, kochanie, baterię z komórki!

Maks patrzył tępo w szybę. Za oknami auta po obu stronach drogi kilometrami ciągnął się las, tak gęsty, że drzewa w oczach Maksa zlały się w dwie wielkie nieruchome ściany. Ich ford jechał tym zielonym wąwozem. Maks przymknął oczy.

Nagle uszy rozsadził mu huk wystrzałów.

- Uciekajmy! Szybko! - wrzasnął, zanim jeszcze rozwarł powieki.

- Wyluzuj, człowieku! To poligon! Jeżdżę tędy od dziecka - westchnęła Joanna, kręcąc głową

z niedowierzaniem i dezaprobatą. Jest w takim stanie, że szybko z niego nic nie wyciągnę. Dobra, zobaczymy jutro - pomyślała.

Maks łapczywie wciągał powietrze. Wyjął baterię z komórki i spojrzał na Joannę z wdzięcznością. Równowaga wracała powoli. Przyjrzał się zielonej ścianie lasu, która ograniczała drogę od strony Joanny: wzdłuż ciągnęły się zasieki z drutu kolczastego znaczące granice poligonu. Uspokojony, patrzył przez chwilę w pustą przestrzeń przed sobą, zerknął jeszcze we wsteczne lusterko, po czym znów przymknął oczy. Nie minęło dziesięć sekund, gdy zmęczony zasnął.

Joanna Szarpała go za ramię. Niezbyt delikatnie.

- Wstawaj, śpiochu.

Maks otworzył oczy. W jednej chwili wróciła mu wyostrzona przytomność.

- Gdzie jesteśmy?

- Prawie na miejscu.

Zapał już zmrok, gdy zjechali na bitą drogę do Lipówka. Niebo musiały zakryć ciężkie, burzowe chmury - było duszno i całkiem ciemno. Do wsi na kresach cywilizacji nie docierał tej nocy blask choćby jednej gwiazdki. Maks widział tylko w świetle reflektorów, że jadą przez las, z górki. W oddali dostrzegł kontury kilku zaledwie gospodarstw. Skręcili w lewo, przy stodole, i dalej znów pięli się powoli do góry - na szczyt wzgórza na skraju wsi. Zjechali z dróżki i zniknęli między wysokimi krzewami.

Wysiedli z samochodu w kompletnych ciemnościach. Joanna prowadziła, oświetlając drogę latarką. Potykając się o gałęzie i kamienie, dotarli do drzwi chałupy.

- Nie ma światła. Nie ma też wody, więc robimy dzień dziecka - uprzedziła Joanna. - Jutro będziesz mógł podłączyć prąd. Nie pytam, czy umiesz, techniczny w końcu jesteś -

powiedziała, przestępując próg. Też była okropnie zmęczona. Wprowadziła Maksa do pokoju.

- Rozgość się. Tu masz koc, poduszkę. Jutro się jakoś urządzisz. No i w końcu powiesz mi, o co tu chodzi, kochanie. Dobranoc.

Maks machnął ręką, ale nie pomogło. Drugi raz machnął jeszcze gwałtowniej, ale też bez skutku. Natrętna mucha bzyczała głośno, maniakalnie oblatując jego głowę jak sputnik planetę. Co gorsza miała współnika: promienie słońca tak mocne, że brud szyb nie stanowił dla nich żadnej przeszkody. Kłuły Maksa boleśnie w oczy mimo zaciśniętych z całej siły powiek.

Zrezygnowany usiadł na łóżku i przez chwilę stawiał swój mózg do pionu.

Gdyby nie to, że obudził się w drewnianej izbie z widokiem na rząd starych lip i klonów, mógłby przysiąc, że wszystko, co zdarzyło się wczoraj, było tylko wytworem koszmarnego snu: rozjechanie Siergieja na warszawskiej ulicy, paczka z szyfrem, którą mu wysłał stary przyjaciel, zamach na jego marne życie, ucieczka z Joanną, tir-kiler na drodze, wreszcie strzały na poligonie. Ale rozejrzawszy się uważnie wokół, nie miał wątpliwości: to nie był sen, a on sam siedzi teraz na łóżku w chałupie na zapadłej wsi o nazwie Lipówek. W torbie na stoliku leży jego laptop, w którym drzemie jakiś szpiegowski wirus od martwego już Siergieja, który - mało brakowało - i jego, Maksa, zaprowadziłby na cmentarz.

Na dodatek wciąż ma na sobie wczorajszą koszulkę z napisem *Od jutra nie piję*, tak złachaną, jakby nie od dziś miał problemy z dotrzymywaniem obietnic.

Ale najgorsze jest to, że nie zna reguł tej gry, w której jest tylko marnym pionkiem do zbitcia; że nie ma zielonego pojęcia, jak wyjść z bagna, w które wciągnął go przyjaciel Siergiej. Gdyby tak był baronem Munchhausenem, wyciągnąłby się z tego szamba sam, za włosy, jednym ruchem, ale nazywał się Maks Aronowski, nie był baronem bynajmniej i gównu mógł zrobić, żeby się z gówna wydostać. Czy Joanna jest w stanie mu jakoś pomóc? Czy będzie chciała? Przecież prawie jej nie zna.

Maks zszedł do piwnicy i włączył bezpiecznik. Sprawdził: jest światło, pompa też ruszy. Joanna jeszcze spała. Cicho otworzył drzwi chałupy, przysiadł na betonowych schodkach. Siedlisko otaczał ze wszystkich stron rząd lip - starych, bardzo starych, może nawet stuletnich? W granicy gospodarstwa, plecami do domu, a przodem do wsi, stała równie stara kapliczka, lekko zdewastowana - widać nie spełniała już życzeń.

Za lipami, po lewej ręce Maksa, na pagórkach zieleniły się pastwiska przedzielone brązowymi paskami zbronowanej kiedyś, ale już nieobsianej ziemi. Dalej, niemal na linii horyzontu, majaczyło zarośnięte sitowiem jezioro; agresywna roślinność od lat musiała pożerać taflę wody, tak że z dużego niegdyś jeziora pozostało zaledwie wodne oczko.

Stuk, stuk... Maks usłyszał szybkie kroki czerwonych pantofelków Joanny wewnątrz chałupy. Trzasnęły drzwi za jego plecami i dziewczyna stanęła przed nim w nastroju bez wątpienia frontowym. Makijaż też miała bojowy.

- Gadaj, Maks, o co tu chodzi! Ale szybko! - rozkazała. - Kim ty w ogóle jesteś?!

- Jezu, dziewczyno, sam nie wiem, o co tu chodzi! Mogę powtórzyć to, co powiedziałem w Bristolu - od pierwszego gongu Maks był w defensywie.

- To za mało. Mów wszystko! Nie po to ratuję ci dupę, a może narażam i swoją, zresztą piękną, żebyś teraz raczył mnie ochłapami. Skąd znasz Siergieja?

- Ze stypendium w SoftTechu, w Krzemowej Dolinie. Jest... był programistą, jak ja. Razem wygraliśmy światowe zawody w programowaniu.

- No, no, to ty nie jesteś komputerowcem w tureckim sweterku, ze śrubokrętem. Ty arystokrata klawiatury jesteś! - zdumiała się i zamilkła na chwilę. - Wybacz, czasem się zapędzam. - Znów ucichła. Maks też.

- Czym się ten twój Siergiej zajmował? Dla kogo pracował? - głos Joanny brzmiał teraz nieco łagodniej.

- Nie wiem, nie widziałem go kilka lat. - Wzruszył ramionami Maks. - Niespodziewanie wyznaczył mi spotkanie w Warszawie. Ktoś go rozjechał. Tuż przed śmiercią wysłał mi tę paczkę z rozkodowanym kawałkiem szyfru. Następnego dnia ktoś chciał mnie zabić - streszczał wydarzenia najprościej, jak się dało. - Już ci mówiłem. To wszystko, nie męcz mnie!

Znowu oboje zamilkli. Joanna usiadła obok Maksa na schodkach domu.

- Pokaż mi ten szyfr jeszcze raz - powiedziała spokojnie. Już nie chciała rozszarpać go na kawałki.

Maks wszedł do domu i po chwili wrócił z laptopem. Na ekranie Joanna zobaczyła jeszcze raz szeregi informatycznych „robaków” i tekst:

*TAJNE. OPERACJA W POLSCE ROZPOCZĘTA.
NATYCHMIAST URUCHOMIĆ ZWIĄZKOWO...*

Pod rozszyfrowanym tekstem znów ciągnęły się długie rzędy „robaków”.

- Nie wiemy od kogo, nie wiemy do kogo, nie wiemy co ani po co. Może chodzi o zamach stanu, a może o protest w sprawie darmowej zupy z mięsną wkładką - powiedziała Joanna.

- Nie kpij! Siergiej nie zginął z powodu kawałka mięcha! Taki szyfr mogło stworzyć tylko kilku ludzi na świecie. Związkowców na nich nie stać! - oburzył się Maks.

- Ja nie wiem nic, ty nie wiesz nic, ale to nie jest w sam raz, żeby z tym iść do kogoś z rządu. Umiesz to odczytać? - spytała Joanna.

- Może.

- Weź mnie, kurwa, nie denerwuj, co znaczy może?! - warknęła, by po chwili złagodnieć: -Wybacz, czasami się nakręcam. - Uśmiechnęła się do Maksa rozbrajająco.

- Na tym laptopie nie dam rady. - Maks pokręcił głową. - Muszę mieć porządną maszynę. Mogę ją zaraz zrobić, mam wszystko w głowie. Prototyp, prawie gotowy, został w mieszkaniu na Mokotowie. Potrzebuję raptem dwóch dni i kasy na części. Na razie wystarczy sześć stów - wyrecytował jednym tchem. - Jest tu jakieś większe miasto w okolicy? - Nagle uświadomił sobie, że jest całkowicie zdany na łaskę Joanny.

- Olsztyn, dwadzieścia kilometrów stąd, ale ty nie możesz się ruszyć z Lipówka. Jesteś teraz moim więźniem i niewolnikiem, kochanie - uśmiechnęła się zalotnie. - Pójdziemy na dół do Sokołów, są bardzo, bardzo gościnni - więc uważaj! Zobaczymy, co da się zrobić.

Ruszyli powoli ścieżką w dół, obok kapliczki.

- Ta wieś jest dziwna... - powiedziała Joanna, ale przerwała. Na chwilę wsparła się na ramieniu Maksa, gdy wspinali się na kładkę przerzuconą nad strumykiem. - ...To wieś frontowa: tu biegła kiedyś granica zaborów pruskiego i rosyjskiego. Gdyby opary nienawiści mogły zabijać, eksplodowałyby jak bomba nad Hiroszimą. - Dziewczyna puściła ramię Maksa i zeskoczyła z drewnianej belki na brzeg.

- Mieszkają tu Niemce, Kurpsie i miastowe. Miastowe są neutralne, Kurpsie i Niemce szczerze się nienawidzą. Niemce to miejscowi, żyją tu od pokoleń, Kurpsie przyjechali w latach siedemdziesiątych z biednego Mazowsza i zajęli gospodarstwa „tutejszych”, którzy wyemigrowali do Niemiec - Joanna snuła opowieść, patrząc pod nogi: omijała błoto i kamienie.

- Chałupa mojego ojca też stoi na miejscu opuszczonego siedliska. Pamiętam jeszcze gruzy starego ceglanego chlewika, fundamenty domu - ludzie potrzebowali cegieł, to zburzyli i rozgrabili gospodarstwo. Gdzieniegdzie w lesie, między trzydziestoletnimi sosnami, możesz dostrzec zdziczałe drzewa owocowe. Po zabudowaniach nie ma już śladu... - Spojrzała na Maksa, jej wzrok był łagodny i ciepły.

Pośpiesznie wróciła jednak do opowieści: - Kurpsie i Niemce nie pozabijali się jeszcze, bo szczęśliwie mają wspólnego wroga: leśniczego. Nie pozwala kraść drewna z lasu.

Maks patrzył na Joannę idącą obok. Co kilka kroków, nierówności drogi zbliżały ich ramiona, skóra na krótką chwilę dotykała skóry.

- CeŚkaaa! Warszawiaki przyjechali!

Józek Sokół zobaczył gości z daleka, gdy zbliżali się do bramy jego gospodarki. Ledwie uniósł głowę i wysmarowane ręce nad skorupą silnika starego malucha, a już był przy nich.

- Joanna! Oj, dziewczyno, ty już jesteś w wieku rębnym! - Józek kręcił głową, cmokając lubieżnie i nerwowo przylizując

dłonią rzadkie, tłuste włosy. Szeroki, szczery uśmiech wypełniał każdy milimetr jego okrągłej twarzy, ba - wręcz zalewał radością całe obejście.

Dziewczyna nie czuła skrępowania - Józek witał ją tak zawsze, odkąd jako piętnastolatka zaczęła przyjeżdżać do Lipówka na wakacje.

- No zachodźcie, zachodźcie. Ceśkaaa! No, chodźżeż wreszcie, kobito! - zniecierpliwiony wołał żonę.

Ceśka Sokół wybiegła przed próg porządnego „po-niemieckiego” domu, wycierając ręce w brudny fartuch. Kury i kaczki rozpierzchły się z krzykiem.

- Witajcie! Witajcie! - Rzuciła się na nich z rozwartymi ramionami. Maks, zanim się zorientował, poczuł na wargach siarczysty i wilgotny pocałunek Ceśki. - Aleś chłopca na schwał nam tu przywiozła - powiedziała do Joanny, pokazując braki w uzębieniu. Liczyła najwyżej czterdzieści lat, temperament miała trzydziestolatki, ale wyglądała na sześćdziesiątkę. - Zachodźcie, pewnie głodne jesteście. - Popychała ich ku drzwiom.

Dom w środku nie był już tak „niemiecki” jak z zewnątrz: odrapane ściany, na podłodze dykta zamiast desek; pewnie poszły na opał którejś mroźnej zimy, gdy leśniczy się zawziął i pilnował.

Na węglowej kuchni stał wielki gar z pokrywką uszczelnioną brudną szmatą i dociśniętą wielkim kamieniem - żeby nic nie uronić. - Świeżuchna księżycówka - wyjaśnił Józek z dumą, wskazując swoje dzieło. - Zaraz będzie, to się napijemy, bo widzę, że nie ma co cekać. - Spojrzał na koszulkę Maksa z napisem *Od jutra nie piję* i zaniósł się szczerym śmiechem.

- Czekaj, opoju jeden. Najpierw jajecznicą - łajała go Ceśka. - Zatracenie z nim, pijanicą. Nawet dzisiaj krów nie wydoił, ryczały do ósmej! Zawsze pił, ale odkąd pieniądze z Unii przychodzą, to całkiem nie przestaje - przekrzykiwała rechot Józka. - A w łóżku to już w ogóle do niczego. Jakbym chłopa nie miała. - Zrezygnowana odwróciła się i spojrzała lubieżnie na Maksa.

Zegar na kościelnej wieży w sąsiedniej wsi bił południe, księżycówka dochodziła. Józek Sokół podniósł pokrywkę. Wewnątrz gara, na drucianym rusztowaniu zanurzonym w zaccynie stała blaszana miednica. Parujący alkohol unosił się do góry. Po zetknięciu z chłodniejszą pokrywką skroplony bimber kapał do miski.

- Ekologiczny - podkreślił z dumą Józek. Wyjął miskę, zawartość rozlał do szklanek i postawił przed gośćmi. - Niech żyje Unia Europejska!

Wypili do dna. Zagryźli jajecznicą. Gospodarz polał jeszcze.

- Józek, jest sprawa - zaczęła Joanna. - Pożycz cztery tysiące na dwa dni.

- A na co ci, dziewczyno, tyła piniendzy?

- Na sprzęt.

- Sprzęt, sprzęt... Sprzęt to chłop powinien mieć! A jaki to on będzie miał sprzęt, jak od jutra nie pije, ha, ha, ha! - zaśmiewał się Józek, celując paluchem w Maksa. - Ceśka, daj tu zara dwa tysiące z mlika i dwa tysiące z Unii. Ino,

dziewcyno - pogroził Joannie palcem - oddaj zara, bo nam się tu nie przelewa!

- A kupiłbyś nam jeszcze części w Olsztynie?

- Joanna spytała niby nieśmiało, ale wiedziała, że Józek jej nie odmówi.

- Do samochodu?

- Nie, do komputera.

- Jak do komputera, to najstarszego, Fredka, wyślemy - Ceśka włączyła się do rozmowy. - Miał w szkole informatykę, poradzi sobie.

- Co on tam ci kupi, kobito?! - skrzywił się Józek.

- On szkoły skończył, ale głupi jakiś. A odkąd spadł z kombajna, to już całkiem zgłupł...

- Józek, może ty pojedź, dopłacimy za fatygę...

- wtrącił się Maks, ale zamilkł nagle - czerwony pantofelek Joanny boleśnie ugodził go w pizczel. Przy stole zapadła cisza. Ceśka odwróciła się od kuchni i spojrzała na Maksa. Józek też na niego patrzył. Dziwnie patrzył. Nie, nie był urażony nietaktowną ofertą. Jedynie mocno zdziwiony:

- A na co mi pieniądze, jak ja zmęczony będę?

- spytał szczerze.

Ale zaraz znów się rozpromienił. - Pojadę, pojadę, ale dasz mi tą kosulkę - za ropę, co mi traktor wypali. Auto popsute. Ty już i tak od jutra nie pijes, to ona ci na nic, cłowieku. A ja do kościoła ją wdzieje, to sie probosc uciesy! Ha, ha, ha... - rechotał Józek i już za chwilę siedział na traktorze z listą części

komputerowych spisana przez Maksa na opakowaniu po nawozie.

- Nie jedź dzisiaj, piłeś - zatroszczyła się jeszcze Joanna. Ceśka tylko machnęła ręką: - Jutro lepiej nie będzie.

- Nie boisz się, że ci prawo jazdy zabiorą? - Maks przekrzykiwał warkot traktora, który kangurzymi skokami ruszał ku bramie obejścia.

- Nii! Ja żem wcale go nie wziął! - odkrzyknął Józek. Machnął ręką na odjezdne i popędził drogą w stronę asfaltu.

Pożegnali się z Ceśką. Tym razem, oprócz śliskiego buziaka, Maks dostał jeszcze klapsa w pupę.

Wracali W milczeniu, ukradkiem spoglądając na siebie. Kraciasta, przyciasna koszula uwierała Maksa pod pachami - Józek wziął zapłatę z góry. Gdy wspinali się na kładkę nad strumykiem, Joanna znów chwyciła go za rękę, ale i tym razem po chwili ją puściła.

Napięte, krępujące milczenie doprowadziło ich do domu. Maks wszedł do pokoju, stanął nieporadnie przy stole i patrzył na Joannę, która zdejmowała w milczeniu czerwone pantofelki. Gdy zgięła nogę w kolanie, żeby chwycić za obcas, przechyliła głowę, wtedy grube, rude włosy zsunęły się jej z pleców na ramię.

Wyprostowana i bosa powoli podchodziła do Maksa, trzymając w ręce jeden bucik. Maks wpatrywał się w nią z napięciem. Zbliżyła się do niego tak bardzo, że poczuł zapach bimbrowy i jej stwardniałe piersi na sobie. Patrzyła mu w oczy. Zginała kolana, przesuwając biust po jego ciele coraz niżej i niżej. Uklękła przed nim. Odrzucony pantofelek uderzył obcasem o podłogę. Powoli rozpięła guzik i rozsunęła zamek jego spodni. Gdy opadły na podłogę, Maks poczuł się spętany jak zwierzę. Sięgnęła ręką głębiej. Wtedy odgarnął rude włosy, dwiema rękami złapał Joannę za uszy i mocno przyciągnął do siebie.

- Chodź - powiedziała po kilku minutach i pociągnęła go do sypialni.

Pocałunki dziewczyny miażdżyły mu usta. Maks czuł, jak z każdą chwilą energia miłosna Joanny przenika go i spływa w dół, wzdłuż kręgosłupa, aż do lędźwi, wypełniając je rozkoszą. Gdy rozkosz sięgnęła granicy bólu, nie mógł już czekać dłużej. Wszedł między rozwarte uda Joanny. Energia popłynęła po zamkniętym obwodzie ich ciał.

Pościel pachniała Seksem. Seksem z kobietą. Maks usiadł na łóżku. Joanny już w nim nie było, brała poranny prysznic.

Sięgnął po książkę leżącą na nocnym stoliku - „Dwór” Isaaka Bashevisa Singera - ze środka wypadły złożone kartki wydruków z internetowych wydań gazet: i stare, i ledwie wczorajsze. Spojrzał na pierwszy:

Ochrona prezydenta Turkmenistanu Saparmurata Kirjazowa ma pełne ręce roboty. Prezydent uwielbia prowadzić swego luksusowego mercedesa S600, czasem nawet sam wozi nim zagranicznych gości. Jeździ szybciej niż samochody ochrony. Ochroniarze wymyślili więc sposób kontrolowania trasy przejazdu: gdy Kirjazow ma ochotę na przejażdżkę, samochody ochrony są rozstawiane co kilkaset metrów i ruszają za czarnym mercedesem, gdy ten je mija.

Proszę, proszę, Turkmenistan - pomyślał Maks. - Pewnie nowy temat Joanny. Chyba jej nie kręci, to dlatego powiedziała „chrzanić Turkmenistan”. Odsunął książkę Singera na bok i rozłożył na łóżku wydruki z gazet.

Krążą legendy, że Kirjazow trzyma w ukrytym garażu starego moskwicza, którym nocą jeździ po Aszhabadzie. Niczym bagdadzki kalif z baśni Szeherezady przygląda się życiu prostych ludzi. Maks sięgnął po następną kartkę. Kirjazow rządzi Turkmenistanem odpląt - najpierw jako pierwszy sekretarz turkmeńskiej partii komunistycznej z namaszczenia Moskwy, potem jako demokratycznie wybrany prezydent. Turk-meński parlament zadecydował, że może być prezydentem dożywotnio. Jego imię noszą lotnisko, ulice i miejscowości, a podobizna widnieje na banknotach.

Z łazienki dochodził szum wody z prysznic. Maks czytał dalej.

Turkmenbasza nie żyje: kto będzie rządzić Turkmenistanem? Przyczyną śmierci był nagły zawał serca, podały źródła oficjalne.

Turkmenistan połączony jest rurą gazową wyłącznie z Rosją. Na handlu turkmeńskim gazem Rosjanie zarabiali krocie. Kirjazow chciał się uniezależnić od Rosji i rur Sougazu. Podpisał kontrakt na dostawę surowca nowym gazociągiem do Chin. Popsuło to szyki Sougazowi, który także chce handlować z Chinami.

Kurbankuły Alimedow nowym prezydentem! Wybory zostały określone przez OBWE jako „ani wolne, ani uczciwe”. Przedstawiciele opozycji twierdzą, że prezydent Turkmenistanu, nazywanego miękkim podbrzuszem Rosji, będzie figurantem. To szef ochrony Akmurad Werdżepow, były oficer KGB, może pociągać za sznurki władzy.

- Grzebiesz w moich rzeczach? Nieładnie, kochanie. - Joanna wyszła spod prysznic, jeszcze ociekała wodą. Pochyliła się nad Maksem i pocałowała go, ochlapując mokrymi włosami. - To było na dzień dobry - uśmiechnęła się. - A teraz zabieraj swój ładny tyłeczek z mojego łóżka. Muszę się ubrać.

Maks spojrział na nią zmieszany. „Ładny tyłeczek” - tak też mówił Siergiej... Ale Joanna nie widziała jego wzroku. Mocowała się z majtkami, które nie chciały wsunąć się po mokrej skórze.

- Jadę do Warszawy. Przekopiuj mi na pena tę waszą komputerową francę. Spróbuję dotrzeć do kogoś z rządu i przywiozę forszę dla Józka.

Ktoś zapukał do drzwi. Maks zdrętwiał.

- Tato przysła sprzęt - usłyszeli zza drzwi. Joanna nacisnęła klamkę. W progu stał chłopak

w kraciastej koszuli z dwoma kartonami w rękach i uśmiechał się od ucha do ucha.

- Będę mógł popatrzeć na montaż? - nieśmiało, ale z nadzieją w głosie spytał Fredek Sokół.

- Będziesz mógł, będziesz - rzucił z głębi domu Maks.

Rozdział 162.

Ateny, Grecja

W tym Samym Czasie, gdy Maks siedział na łóżku Joanny i wertował wycinki z gazety, pułkownik Andriej Blazow czekał w lobby ateńskiego lotniska na powrotny samolot do Larnaki. Wracał z Aszhabadu, przez Frankfurt. Dwie przesiadki, podróż długa i męcząca. Kelner podał mu właśnie kawę. Pułkownik uniósł grubą filiżankę ze spodeczka, przechylił ją, znów postawił na stole. Przyglądał się jasnobrązowej piance, czy jest wystarczająco gruba i zwarta? Była.

Blazow nie narzekał na trudy podróży: załatwił, co miał załatwić. Plan został zrealizowany z wirtuozerią.

Oczywiście można było prezydenta Turkmenistanu po prostu odstrzelić i na tronie posadzić naszego człowieka. Zwyczajnie. Nie byłoby trudno. Głupek bez przerwy urywał się ochrone, żeby sobie porajdować mercedesem, którego dostał w prezencie od Niemców za jakieś koncesje wydobywcze. Ale to byłoby banalne. I głupie. Zaraz podniósłby się krzyk, że prezydent chciał niezależności, że to nie przypadek.

I po co to komu?

A tak wszystko poszło aksamitnie. Prezydent dostał ataku serca. Zdarza się. Już wcześniej, w Niemczech, miał operację by-passów. Nowym władcą został

dentysta, jego osobisty lekarz i przyjaciel. Wcześniej namaszczonego przez starego prezydenta, a w Turkmenistanie namaszczenie to rzecz święta. Dentysta wiedział, co podać satrapie, chociaż środek i tak dostał od naszego człowieka, tak na wszelki wypadek, żebyśmy mieli pewność, że zadziała i skutecznie przeniesie satrapę w zaświaty.

O tym, że przyjaźń prezydenta jest uczuciem bez wzajemności, wiedział cały dwór, tylko nie sam zainteresowany. Tak zwykle bywa. Nikt jednak staremu satrapie uprzejmie nie doniósł na fałszywego przyjaciela, bo i po co? Może wcale by w donos nie uwierzył i uprzejmego odsunął za szczucie? A jeśliby nawet uwierzył, to jeszcze gorzej: gotów był z rozpędu sczyścić cały dwór - do fundamentów. Na wszelki wypadek i dla przykładu. Już wcześniej pokazał, że potrafi.

Dlatego dwór milczał, gdy dentysta, przy dyskretnej pomocy przyjaciół, brał sprawy w swoje ręce. Dwór wołał dentystę. Dwór dentysty się nie bał.

A dalej będzie jeszcze łatwiej - o to pułkownik Blazow był spokojny. Szefem służb Turkmenistanu jest człowiek Kremla, towarzysz z dawnego KGB. A kto trzyma służby na pasku, ten trzyma gaz i prezydenta. Teraz wystarczy powoli zmienić kurs, żeby odciąć innych amatorów turkmeńskiego gazu, który będzie płynął, jak zawsze, wyłącznie do Rosji.

Blazow spojrział na zegarek: jeszcze godzina do odlotu. Nie chciało mu się ruszać z lobby, przedzierać w lotniskowym tłumie. Jeszcze spotka jakiegoś upiora z przeszłości? Najgorzej jest we Frankfurcie, to dopiero przystanek dla szpiegów! Ale i tu, w Atenach, lepiej zachować ostrożność. Kiedyś zawsze wchodził do sklepu wolnoćlowego. Kupował żonie perfumy, córeczce zabawkę. Ale dziś? Po co?

Zamówił jeszcze jedno espresso. Podelektuje się dobrą kawą, zanim wróci do porannej czarnej lury na farmie w górach Troodos.

Jeszcze tydzień, dwa i będzie po wszystkim. Uruchomił lawinę zdarzeń, popatrzy trochę na lecące kamienie, a potem już natura zrobi swoje. Nic i nikt tego nie zatrzyma. Jego misja będzie wypełniona.

W Polsce też wszystko szło jak po maśle. Człowiek Sovgazu już uruchomił związkowców. Oj, będzie się działo nad Wisłą!

Tylko jedno niepokoiło pułkownika, ale też nie za bardzo: ktoś sprzątnął tę mendę, Fiodotowa. Na szczęście wcześniej zrobił swoje: Amerykanie ze Stern & Sons wynajęli stado tankowców, skupują ropę, cena idzie w górę - nawet za szybko. Pewnie wkrótce pociągnie do góry ceny gazu. Sovgaz odetchnie, budżet Rosji też. Ale kto tego Fiodotowa ustrzelił? Amerykanie raczej nie, bo i po co? Wynajął jeden tankowiec, napchał go ropą i tyle. Niegroźna menda. Czort z nim!

Lawina ruszyła. Czas zawiadomić Kajdanowicza. Pułkownik Blazow dopił ostatni łyk kawy i ruszył w stronę wejścia do rękawa samolotu.

Rozdział 165.

Warszawa

Podsekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki Sebastian Woźnica nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale garnitur od Hugo Bossa i nażelowany czub na głowie, to i owszem. Przyjął Joannę w ponurym gabinecie z gierkowską meblościanką. Ta meblościanką bolała go bardzo, więc gdy dziewczyna przekroczyła próg i spojrzała zaciekawiona na oldschoolowy mebel, wzruszył tylko bezradnie ramionami i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „No, wicie, rozumiecie, w jakich warunkach musimy pracować...”.

Trafił do ministerstwa z politycznego rozdzielnika partii ludowej i był z tego dumny. Lubił przechadzać się po korytarzach Sejmu, przesiadywać w sejmowej restauracji, szczególnie z dziennikarzami: imponowało mu to i dowartościowywało. Zabiegał o względy prasy, wiadomo, może się przydać, ale nie tak nachalnie jak poseł Świerk, gwiazda ludowców sprzed lat, który w dawnych czasach potrafił ryczeć na całą restaurację, a głos miał donośny: „Co, redaktor, ze mną się nie napijesz!?”. Nie, takie zachowanie brzydziło go niepomniernie.

Joanna już kiedyś spotkała się z Woźnicą przy okazji pisania jakiegoś tekstu o przemyśle gazowym - stracony czas i pieniądze. Zaprosił ją na lunch w dobrej restauracji, chciał płacić za homary. Nie mógł uwierzyć, że Joanna odrzuca jego szczodrość, że jej redakcja nie toleruje darmowych obiadów na rachunek skarbu państwa. O przemyśle gazowym nie miał pojęcia. Nie tylko zresztą o przemyśle gazowym. O niczym nie miał pojęcia. Więc i tym razem Joanna nie liczyła na wiele. Może chociaż skontaktuje mnie z kimś ze służb? - pocieszała się bez przekonania.

Jeszcze z samochodu wykonała kilkanaście telefonów do znajomych dziennikarzy, którzy mogliby jej pomóc, ale za każdym razem słyszała to samo: „Kochana, czy ty myślisz, że dam ci komórkę szefa ABW?”. Albo: „Mogę cię jakoś wkręcić do pułkownika, ale najwcześniej jutro”. Albo: „Generał wyjechał do Brukseli, będzie za dwa dni”.

Dziś i bez pośredników mogła dotrzeć tylko do Ministerstwa Gospodarki.

Woźnica posadził Joannę na krzesło w stylu klubokawiarnia, sam zasiadł za pustym biurkiem. Położył ręce na blacie, złączając obie dłonie opuszkami palców - tak uczyli na szkoleniu z mowy ciała.

- Panie ministrze - Joanna wiedziała, jak zacząć. Woźnica pokraśniał z zadowolenia, dyskretnie musnął czub na głowie, sprawdzając jego twardość.

- Pani redaktor, pani wizyta mnie pochlebia - zrewanżował się. - Cóż mogę dla pani zrobić?

Po takim wstępie Joanna już miała ochotę strzelić w ten lśniący czub, ale pohamowała się i wypaliła jednym tchem:

- Mam pen, na którym zapisany jest szpiegowski szyfr, prawdopodobnie rosyjski, może mieć wagę państwową, dotyczy przedsiębiorstwa o znaczeniu

strategicznym, proszę natychmiast skontaktować mnie z kimś z ABW albo UOP.

Woźnica zamarł na chwilę. Słowa Joanny zrobiły na nim wrażenie. Ale tylko na chwilę. Wziął głęboki wdech i już wiedział, co trzeba zrobić.

- Oj, pani redaktor! Oj, oj! - Pogroził jej filuternie palcem.
- Wy, dziennikarze, lubicie sensacje. Jak to mówio: gonicie za sensacją. Chcecie mieć nius, snop...

- ...*scoop* - poprawiła machinalnie.

- Tak, skup. I ja to rozumie. Ale żeby od razu UOP, ABW...?

Wstał zza biurka, obszedł je dookoła, usiadł na blacie i poprawiał nogawki spodni, odsłaniając wyglansowane buty, też z czubem.

Joanna nie wytrzymała:

- Panie ministrze, jeśli nic pan z tą sprawą nie zrobi, a coś, nie daj Bóg, się stanie, cała Polska dowie się, że u pana byłam!

Woźnica zbladł: Jeszcze mi tego brakowało! - przeklinał w duchu Joannę. - To może ja poproszę kolegę dyrektora departamentu. Z laptopem. Skonsultuję - powiedział szybko i wybiegł do sekretariatu.

Po paru chwilach wrócił z mężczyzną w średnim wieku. Dyrektor podłączył pen do laptopa. Rzucił okiem na ekran i powiedział: - Trzeba dmuchać na zimne. Niech pan to natychmiast wyśle do ABW. A pani niech zostawi zamiary na siebie - dodał.

- O, właśnie! To chciałem w tej aktualnie kontrowersyjnej sytuacji zaproponować - podchwycił Woźnica, wyraźnie zadowolony, że sprawę dało się załatwić tak, że i wilk był syty, i owca w ciąży.

No to piękna katastrofa - pomyślała Joanna. - Nawet jeśli ten dupek wyśle zawartość pena ABW, tam pewnie przeleży się kilka dni, zanim ktoś go otworzy, a moje zamiary będą

fruwać po biurkach. Ładnie! - gorączkowo myślała, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Panowie, odprężcie się. To była tylko prowokacja dziennikarska - rzuciła z reflekssem. - Sprawdzamy w różnych resortach, jak szybko urzędnicy reagują na zagrożenia. Świetnie się spisaliście! Gratuluję!

Woźnica pokraśniał: - No, pani redaktor, nieładnie, nieładnie... - Pokręcił głową raz i drugi, ale zaraz się zreflektował i poprawił czub na głowie.

- Wybaczcie, ale to działanie w interesie publicznym. Rozumiecie chyba...?

- Oczywiście, pani redaktor, oczywiście... - Woźnica z wyraźną ulgą odprowadzał ją do drzwi.

Joannę Ogarnęło zwątpienie. Zrezygnowana usiadła ciężko na środku schodów przed ministerstwem. Mijającym ją interesantom w garniturach widok załamanej dziewczyny nie dodawał otuchy.

Trzeba będzie wrócić jutro do Warszawy - pomyślała, ale w tej samej chwili jej wzrok prześlizgujący się bezmyślnie po słupie ogłoszeniowym natrafił na plakat musicalu „Upiór w operze”. Duch, Jan Duch, że też o nim wcześniej nie pomyślałam!

Dziewczyna zerwała się na równe nogi i pobiegła do samochodu. Odpaliła silnik, wystukując jednocześnie numer Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ruszyła w stronę alei Szucha. Długo nie mogła dostać połączenia, urzędnicy przełączali ją kilka razy. Wreszcie w słuchawce usłyszała spokojny głos Ducha.

- Tu Joanna... - powiedziała. Zapadła długa cisza.
- Aniołek? - spytał niepewnie Duch.
- Tak, wujku.
- Przyjeżdżaj!

Jan Duch, niegdyś wiceminister spraw zagranicznych, od jakiegoś czasu na bocznym torze, zesłany na stanowisko doradcy do spraw protokołu dyplomatycznego, był przyjacielem ojca Joanny. Razem po stanie wojennym internowani w Białołęce, razem na emigracji w Paryżu. Wspólne zainteresowania politologiczne: blok sowiecki. Razem wrócili do kraju po 1989 roku, gdy upadała komuna. Państwowcy, obaj zatrudnieni w MSZ. Wkrótce jednak poróżnili się, choć nikt nie mógł w to uwierzyć, nawet oni sami. Mieli być przecież przyjaciółmi aż po grób. Cóż. Polityka.

Ojciec Joanny był „niezlomnym” „Solidarności”, chciał dokończyć rewolucję, dorzucić „czerwone pająki”. Zbyt radykalny na pracę w centrali ministerstwa. Dlatego przeczołgawali go przez konsulaty w krajach postsowieckich: Armenia, Tadżykistan i, najdłużej, Turkmenistan. Tam ojciec zmarł. I chociaż wcześniej kochała włóczyć się całymi dniami konno po stepie, pustyni i górach Turkmenistanu, wtedy, w jednej chwili, Joanna nienawidziła ten kraj - pieprzony Turkmenistan!

Inaczej Duch: dla Polski gotów był pracować w każdym demokratycznym rządzie. I pracował lojalnie. Ale i jego czas minął, gdy państwowcy, tacy jak on, stali się niepotrzebni, gdy ministerstwa padły łupem oddziałów wyżelowanych Woźniców w garniturach Hugo Bossa.

Kiedyś, tak bardzo dawno temu, Duch był dla małej Joasi najukochańszym wujkiem. Mówił do niej „Aniołku”, ona nazywała go wujkiem „Upiorkiem”; czarne, gęste włosy i oczy jak węgle, spiczaste uszy - wypisz, wymaluj młody Franz Kafka. Nie widziała go od prawie dwudziestu lat.

Teraz, gdy spojrzała na Ducha siedzącego za biurkiem, prawie go nie poznała. To nie był już ten sam wujek „Upiorek” - wyglądał jak stary, sterany życiem upiór po kilkuset latach ciężkiej harówki na ziemi: siwe, prawie białe włosy, oklapnięte uszy i policzki, wyraz zniechęcenia w przygasłych, poszarzałych oczach.

Gdy weszła do gabinetu w bocznym skrzydle budynku, wstał powoli zza biurka i objął ją czule. Nie powiedział: „Aleś wyrosła!”. To w nim ceniła: nie znosił banału.

Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała od Maksa, i pokazała zawartość peny. Duch zamyślił się na chwilę. - Wygląda, że ktoś z zewnątrz steruje naszymi związkami zawodowymi - powiedział, patrząc łagodnie na Joannę. - Tylko kto i po co? Rosjanie? Niekoniecznie. Może ktoś chce, żeby sprawa wyglądała na robotę rosyjskich służb? Więcej nie dało się odszyfrować temu twojemu Maksowi? - zapytał.

- To nie jest mój Maks - zachnęła się. - Pracuje nad szyfrem.

Duch znów zamilkł. Podeszedł do okna. Nie patrzył na Joannę.

- Wiesz, Aniołku, co roku przychodzę na grób twojego ojca... - powiedział nagle.

Joanna nie podchwyciła. Zapadło milczenie.

- Zrobisz coś z tym?- spytała.

- Zaraz pojedę do znajomego majora. - Odwrócił się od okna. - Ominę procedury. On tego nie zlekceważy. Zostaw mi pen, namiary na siebie, dam ci znać co i jak.

Joanna się zawahała. - To ja zadzwonię. Gdy była już przy wyjściu, powiedział cicho:

- Zglądaj do mnie, Aniołku. Proszę, bardzo proszę...

- Będę - odpowiedziała Joanna, zamykając drzwi do gabinetu.

Telefon zadzwonił, kiedy dojeżdżała dwupasmówką do Płońska. W słuchawce zabrzmiał niski męski głos: - Major Wolicki z Urzędu Ochrony Państwa. Chciałbym zaproponować pani spotkanie przy kawie.

Joanna na chwilę zaniemówiła. Duch już zdążył przekazać sprawę. Szybko działają. Super!

- Mamy kilka spraw do omówienia, które nas łączą - ciągnął głos w słuchawce. - Bardzo proszę...

- Niech pan chwilę zaczeka, prowadzę samochód, zjadę z drogi... - powiedziała Joanna. Odłożyła telefon na siedzenie

forda i rozejrzała się po poboczu. Kilkaset metrów dalej był leśny parking. Zatrzymała samochód i sięgnęła po aparat. Rozmówca czekał.

- Oczywiście, o której mam być w Urzędzie Ochrony Państwa? - spytała konkretnie.

- Spotkajmy się w parku Morskie Oko, nie w urzędzie - powiedział przymilnie głos w słuchawce.

- Dlaczego nie w urzędzie? - Joanna poczuła niepokój, ale wiedziała z filmów, że tak działają tajne służby. Na wszelki wypadek dorzuciła jednak: - Nie mam czasu na spotkania w parkach.

- Niech mi pani wierzy, że mam ważne powody. A jeśli chodzi o czas, to znajdzie go pani, Joanno, na pewno pani znajdzie. Są sprawy i ludzie, bliscy ludzie, dla których nie warto szczenić naszego czasu. Na przykład pani ojciec...

Dziewczyna zamilkła, zupełnie zaskoczona słowami rozmówcy.

- Mój ojciec nie żyje, nie rozumiem - wydukała.

- Jak się spotkamy, to pani zrozumie, Samanto. Na pewno.

- Pan zwariował! Mój ojciec nie żyje, a ja mam na imię Joanna, nie Samanta! - Myśli tłukły się bezładnie w głowie Joanny.

- Pani Joanno, niekiedy zmarli wracają, czy chcemy tego, czy nie. A imiona, no cóż, czasem ma się jedno, czasem dwa, wielu ma trzy, bo jeszcze od bierzmowania, a nieliczni mają ich wiele. Sprawa względna...

Słuchała w milczeniu.

- Spotkamy się w parku Morskie Oko, pierwsza alejka od schodów, pierwsza ławka w prawo. Jeszcze dzisiaj o osiemnastej. Teraz proszę zawrócić, ale się nie śpieszyć, na pewno pani zdąży. Ważne, by dojechać bezpiecznie. Do zobaczenia.

W słuchawce rozległ się trzask. Połączenie zostało przerwane.

Joanna była zupełnie rozbita i zdezorientowana. O co tu chodzi? Przyjechała w sprawie ruskiego szyfru i Maksa, a oficer tajnych służb nagle wspomina coś o ojcu. A na dodatek myli jej imię! Coś tu śmierdzi, cholera!

Do Warszawy wróciła jeszcze przed popołudniowymi korkami. Dobrze - pomyślała - przed spotkaniem będzie jeszcze czas zajrzeć do Marty i pożyczyć pieniądze dla Józka Sokoła.

Czuła niepokój, a jednym z powodów były tajemnicze wzmianki Wolickiego na temat jej ojca. Przecież to nie ma żadnego sensu! Zdecydowała jednak pojechać do domu i zabrać karton z rzeczami ojca, których po jego śmierci nie chciała nawet przeglądać.

Zaparkowała trochę dalej od bloku, w którym mieszkała, zeszła do piwnicy. Sięgnęła po klucze od kłódki, ale zauważyła, że jest otwarta. Zapaliła światło i weszła do środka. Pusty karton stał w kącie piwnicy, a rzeczy ojca poniewierały się po betonowej podłodze. Nie było tego wiele: jakieś

bibeloty, książki i papiery luzem. Zebrała je, wrzuciła znów do kartonu i rozejrzała się po piwnicy. Cholera! Rower zniknął. Nowiusieńki author. Niech to szlag!

Joanna trzy razy zastukała pięścią w brązowe drzwi na pierwszym piętrze. Nie czekała długo.

- Zwariowałaś? Dziecko mi obudzisz - usłyszała, zanim jeszcze zgrzytnęła zasuwka. - No, wchodź już

- powiedziała niecierpliwie Marta, stając na progu.

- Ale cieszę się, że w końcu jesteś.

Joanna spojrzała na przyjaciółkę, której jasna grzywka, zwykle równo, jak pod linijkę przycięta, teraz była lekko postrzępiona. Stała przed nią w czerwonym T-shircie nakrapianym chaotycznie białymi, zaschniętymi plamami. - Co się tak gapisz, to nie to, co myślisz. Bebiko 2, kretynko.

Marta poprowadziła ją w stronę salonu, z którego po całym apartamencie rozchodził się słodkokwaśny zapach moczu. Joanna wstrzymała na chwilę oddech.

- Siadaj tu - rzuciła Marta, energicznie przesuwając na brzeg kanapy stos śpioszków przygotowanych do prasowania.

Joanna przebiegła wzrokiem po salonie. Wystrój się nie zmienił: nowoczesne meble, surowy beton na ścianach, trochę cegły dla kontrastu, szkło i chrom. Tylko na blacie designerskiego stołu, obok laptopa, na którego ekranie migotały kolorowe cyfry, leżała paczka pieluch, kilka smoczków i dwie butelki do karmienia. W rogu salonu stał przewijak w uśmiechnięte misie rzucające kolorowymi piłeczkami.

- Nie mieszczę się z tym w sypialni - powiedziała Marta tonem usprawiedliwienia (albo oskarżenia rzuconego losowi w twarz), widząc w oczach przyjaciółki niedowierzanie, jak nisko upadła.

- Marka nie ma? - spytała Joanna, pragnąc czym prędzej zmienić temat.

- Nie. - Pokręciła głową Marta.

- Kiedy wróci?

-Nie wróci. Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Spojrzała hardo na Joannę, a w tym spojrzeniu nie było żalu, lęku. Nic z tych rzeczy. - Wyrzuciłam kutasa za drzwi.

- Dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego? Nie mogłam już go ścierpieć.

- Zdradził cię?

- Zdradził? Gdyby to było raz, nie ma sprawy, zresztą mogłabym wytrzymać i więcej. Ale odkąd urodziła się Kaśka, to wkładał fiuta gdzie popadło, chyba w każdą studentkę, pewnie w pakiecie z zaliczeniem semestru, a jeszcze dawał numer telefonu. Już łeb mi pękał od tych SMS-ów. Raz zapomniał zabrać komórkę, dzwonią i dzwonią, dziecko się budzi. Wkurzyłam się i jakoś jeden mi się otworzył... No dobra, to nie był przypadek, przeczytałam wszystkie, z ciekawości, rozumiesz?

Joanna kiwnęła głową.

- A tam od jakiejś dziry pean na cześć jego kutasa, że niby taki wspaniały i wyjątkowy. Małolata porządnego kutasa nie widziała, kutas jak kutas, średniej wielkości i lekko zakrzywiony, wielkie mi co.

- Marta wzruszyła ramionami. - Inna znowu pisze jakoś tak: „Panie magistrze, czy pan mnie ukarze, jak poprzednio? Moja niegrzeczna pupa dopomina się klapsa”...

- I wtedy wyrzuciłaś go za drzwi. Wybacz, ale pewnie od dłuższego czasu nie miał z ciebie pożytku

- powiedziała brutalnie szczerze Joanna.

- Bo ciebie też zaraz za drzwi wywalę! - Marta spojrzała groźnie. - Pogięło cię! Mówisz jak facet, jak jakiś mizogin pierdolony. Zamilkła. - W zasadzie masz rację, tylko czy tych złotych myśli nie możesz zachować dla siebie? Ale i tak cię kocham, chociaż nie wiem dlaczego. - Objęła ramieniem Joannę i pocałowała ją w czoło.

- Nie, wtedy jeszcze go nie wyrzuciłam - ciągnęła dalej. - Mówiłam ci, zdrady jeszcze bym zniosła. Ale tego wiecznego narzekania nie mogłam, no nie. Pracuję w domu, mówił, twórczo pracuję, potrzebuję ciszy, nie mogę się rozwijać, wykorzystać swojego potencjału i takie tam. Wszystko mu przeszkadzało, dziecko mu przeszkadzało, ja mu przeszkadzałam. On dłużał te swoje eseje, ale cały dom to ja utrzymywałam. Wiesz, jedną ręką zmieniałam pieluchę, a drugą składałam zlecenia na kontrakty terminowe, to ropa, to gaz albo pszenica czy soja. Całe szczęście, że teraz możesz mieć na ekranie wszystkie giełdy świata, to jakiś czas dawałam radę tak ciągnąć, ale w końcu powiedziałam: dość.

- I wtedy wystawiłaś mu walizki za drzwi?

- No co ty? Walizki nie, walizki mi się przydadzą. W kartony wrzuciłam mu ciuchy i wyniosłam pod zsyp. Zamki zmieniałam i po sprawie. A jak płakał... Jęczał, że nie dałam mu szansy i że jeszcze gorzko tego pożałuję, bo on zaraz odniesie sukces międzynarodowy, podobno partia Zielonych kupiła jego esej.

- To prawda? Żartujesz - nie dowierzała Joanna.

- Kto go tam wie, może i prawda. Od miesięcy dłużał przy tym eseju: „Mickiewicz jako wieszcz walki o ochronę środowiska”. *Stepy Akermanskie*, no, pamiętasz: *Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu*!

Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi... Jak zabierał te kartony spod zsypu to nawet przez chwilę zrobiło mi się go żal. Podszedł do mnie, spojrzał mi w oczy, myślałam, że powie

coś z sensem, a wiesz, co z siebie wydusił? Powiedział: „To jest prawidłowość historyczna, rewolucje wybuchają nie wtedy gdy jest najgorzej, ale wtedy gdy zaczyna się poprawiać”, erudyta jeden pieprzony.

- Marta, a jak ci idzie w interesach, bo chciałam pożyczyć cztery tysiące?

- Gorzej niż kiedyś, ale nie ma sprawy. To już drugi rok, odkąd odeszłam z biura maklerskiego. Coś dziwnego dzieje się teraz z cenami ropy: rosną na rynku pieniężnym, a kontrakty terminowe stoją w miejscu. To tak, jakby cena rosła, mimo że nikt nie zamierza kupować. Dziwne. Kupę forsy umoczyłam. Nie tylko ja zresztą.

Marta wstała z kanapy.

- Dobra, pójdę do bankomatu, ale pod warunkiem że w tym czasie zajmiesz się dzieciakiem. Tylko go nie zabij, bo ci łeb urwę. Nie dawaj mu jeść, bo jeszcze zatrujesz albo zadławisz. Nie bierz na ręce, bo upuścisz. A najlepiej w ogóle go nie dotykaj, OK? Wrócę za pół godziny.

Ulica Belgijska biegnie w dół, do parku Morskie Oko, między kilkoma przedwojennymi kamienicami. Te od wschodniej strony, najbardziej reprezentacyjne, rozległymi tarasami dotykają niemal parkowej zieleni. Joanna schodziła do parku po szerokich, kamiennych schodach, które po zmroku oświetla blask stylizowanych, giętych latarni.

„Morskie Oko, pierwsza alejka od schodów, pierwsza ławka w prawo” - przypomniała sobie miejsce spotkania.

Jeszcze zanim skręciła w alejkę, zobaczyła mężczyznę, który na nią czekał: koszulka polo, sportowa marynarka, krótkie włosy, lekko przyprószone siwizną. Podeszła do ławki. Major gestem zaprosił ją, by usiadła.

- Cieszę się, że pani przyszła - powiedział miękko, ciepłym głosem. - Jak się pani czuje w tak piękne popołudnie?

- Przecież nie wezwał mnie pan tutaj, żeby rozmawiać o moim samopoczuciu ani o pogodzie - odparowała.

- Ej, pani Joanno! - mężczyzna skarcił ją łagodnie. - W pani głosie słyszę zniecierpliwienie, może niechęć jakąś, nieprawdaż? Nie mamy się dokąd śpieszyć. Jest pani pewna, że chce się śpieszyć?

Joanna czuła wzrastające napięcie, ale domyślała się, że taki był cel rozmówcy. Jego twarz o regularnych rysach przykryta była służbowym, łagodnym uśmiechem. Mówił powoli, modulując głos dla większego efektu.

- Pani nie chce powiedzieć, jak się czuje, to może chociaż dowiem się, jak się czuje Maks? - spytał nagle major, a Joanna odetchnęła głęboko. A jednak wiedzą o sprawie.

- Dostaliście pen z szyfrem? - zapytała niepewnie.

- Oj, Joanno, Joanno! Czy pani myśli, że my bez tego nie wiemy, co się dzieje w mieście? Że jak ktoś rozjeżdża ruskiego agenta w centrum stolicy, to my tego nie zauważamy? Joanno, rozczarowuje mnie pani...

- Ruskiego agenta? - Dziewczyna spojrzała na majora. Zdziwienie odmalowało się na jej twarzy tak wyraźnie, że mężczyzna bez trudu zauważył, jak wielkie wrażenie zrobiły jego słowa. Jednak przerwał monolog, widząc parę starszków, która zbliżała się alejką. Starszy pan, przy balkoniku, powłóczył słabymi nogami, żona podtrzymywała go pod rękę. Major czekał, aż przechodnie ich miną. Bębnił palcami w ławkę. Długo to trwało. Staruszek, wolno pokonując przestrzeń, przepaszająco uśmiechnął się do Joanny, ale dziewczyna nie odwzajemniła uśmiechu, tylko nerwowo odgarnęła opadające włosy. Myślami była gdzie indziej.

- Tak, Joanno, Siergiej, przyjaciel Maksa, pracował dla rosyjskiego wywiadu - major wreszcie dokończył kwestię i znów zamilkł. Końcem buta kopnął kapsel, który leżał przy ławce. Było ich tam więcej. - Wszędzie syf, nawet w takim miejscu. Co robią te łajzy ze straży miejskiej? - skrzywił się z niesmakiem.

- Ale wróćmy do naszego Maksa... Niejednoznaczna sprawa z tym chłopakiem... - Pokręcił głową. - Zdolny. Wybitnie zdolny. Tacy by nam się przydali, nieprawdaż?

Joanna nie drgnęła nawet.

- Odczytał coś więcej z szyfru? - pytał major.

- Nie. Dopiero montuje sprzęt - odpowiedziała niepewnie.

- To dobrze, bardzo dobrze. Po co chłopak ma wiedzieć za dużo? Wiedza szczęścia nie daje. Błogosławieni ubodzy w duchu! I tak ledwie uszedł z życiem. No chyba że Rosjanie wcale nie mieli zamiaru go uciszyć... - tu przerwał w pół zdania. Joanna spojrzała pytająco.

Major odczekał chwilę, stopniując napięcie, po czym rzekł: - Ten Siergiej pracował dla rosyjskiego wywiadu wojskowego od dawna. Już w Ameryce, na stażu w SoftTechu. A Maks stykał się z nim wtedy. Oj, mocno się stykał. Czy jest pani pewna, że tylko z młodzieńczej głupoty pomagał Siergiejowi włamać się do Pentagonu?

Joanna milczała wstrząśnięta, ale po chwili zapytała:

- Jeśli Rosjanie wcale nie chcieli zabić Maksa, to po co to całe przedstawienie i strzelanina na Mokotowie? Czy pan chce powiedzieć, że Maks też jest rosyjskim agentem?

- Nic nie chcę powiedzieć, pani Joanno, pełno tu znaków zapytania - major zamilkł na chwilę. - Nie wiemy, o co chodzi Rosjanom. Może historia z szyfrem to mistyfikacja? Może chcą tylko narobić nam zamieszania? Po odczytaniu całego szyfru będziemy mądrzejsi. Nasi ludzie nad nim pracują. Niestety, to trudny egzemplarz - nie udało się odczytać jeszcze nawet jednego znaku - major mówił beznamiętnie i do bólu konkretnie. - Więc na razie mamy tylko to, co dostaliśmy od Maksa: *TAJNE. OPERACJA*

W POLSCE ROZPOCZĘTA. NATYCHMIAST URUCHOMIĆ ZWIĄZKOWCÓW PPG...

- To mało, Joanno, ale jednak coś: zbliża się jesień, a jesienią, jak co roku, Rosjanie zakręcą gaz Ukrainie. Pewnie tym razem chcą jakoś trafić i nas. Wywołają strajki o cokolwiek: o godziny nadliczbowe, darmową wodę w kantynie

albo o mydło -wszystko jedno. Będziemy zajęci sobą, to zapomnimy o Ukrainie i zgodzimy się na jeszcze gorszy kontrakt gazowy. Tak czy inaczej, sytuacja jest poważna. Wyobrażasz sobie odcięcie ogrzewania i kuchenek na zimę?

Joanna nie wyobrażała sobie, ale jej myśli skupiały się na Maksie.

- Zatem musimy Maksa przejąć, pomoże nam z szyfrem, a dodatkowo zachowa życie, jeśli rzeczywiście coś mu grozi - powiedział stanowczo major. - I to jest też pani zadanie. Jutro pojedzie pani do Lipówka. Ja zorganizuję ludzi i dyskretnie zjawimy się tam jakąś godzinę po pani - nie możemy przecież wysłać do wsi niebieskiej kawalerii z Olsztyna! Ci to by dopiero narobili rabanu! Proszę zatrzymać Maksa w chałupie za wszelką cenę, uspokoić go, niech mu nie przyjdzie do głowy uciekać. Pokaże się w miasteczku, to ktoś go może odstrzelić.

- To jak, pani Joanno, będziemy współpracować?

Dziewczyna milczała, nerwowo grzebiąc czubkiem czerwonego pantofelka w piachu pod ławką. W jej głowie jedna myśl goniła drugą, powodując chaos, w którym pogrążała się coraz bardziej.

Maks, kim on w ogóle jest? Zagubionym informatykiem wciągniętym w wir zdarzeń uruchomio-

ny przez ciemne siły tego świata, z których istnienia maluczcy nie zdają sobie nawet sprawy? Czy fachowym rosyjskim agentem, który świetnie gra napisaną dla niego rolę?

Czy majorowi można zaufać? Nie mówi całej prawdy, to pewne. Ale przecież jest polskim oficerem tajnych służb, wielu rzeczy nie może mówić, a już z pewnością nie jej. No bo kim ona jest: marną dziennikarką, przypadkowo zaplątaną w akcję tajnych służb.

- Dobrze, majorze, zrobię, co pan proponuje. Jeden warunek: muszę zadzwonić do ministra Ducha

- powiedziała stanowczo.

- Nie, pani Joanno, nie powinna pani tego robić.

- Dlaczego?

- Proszę mi zaufać. Niech pani tego nie robi, nie należy mieszać osób postronnych, ktoś może ucierpieć.

- Duch nie jest postronny, to jemu dałam pen z szyfrem. Dlaczego miałabym milczeć?

- Bo ojciec o to panią prosi...

- Ojciec? Pan zwariował! Dlaczego znów pan przywołuje mojego zmarłego ojca? - wyrzuciła z siebie zdenerwowana.

- No dobrze - powiedział mężczyzna - skoro pani tak nalega...

Schylił się i sięgnął po neseser, który stał pod ławką. Szybkim ruchem otworzył zamek szyfrowy. Joanna zerknęła do środka: dostrzegła kilka kolorowych teczek i kaburę pistoletu. Zaraz cofnęła wzrok.

- Oj, nieładnie, pani Joanno, nieładnie tak podglądać - major znów skarcił ją ojcowskim tonem.

- Ale mnie to nie przeszkadza, ciekawość to dobra cecha, może się przydać - powiedział, wyjmując zieloną teczkę. - Proszę sobie pooglądać - podał Joannie wyjęte z niej zdjęcie.

Dziewczyna zastygła: fotografia została zrobiona w saloniku ich skromnego mieszkania przy placu Clichy w

Paryżu około roku 1986. Przy stole siedział ojciec, obok niego Duch, a naprzeciw ojca wujek Pierre z małą Joasią na kolanach. Ojciec miał uniesioną rękę, pewnie żywo gestykulował, jak zawsze. Twarz Ducha wyrażała stanowczy sprzeciw wobec tego, co mówił ojciec. Natomiast wujek Pierre, chudy, w starym wyciągniętym swetrze z włóczki, z długimi, postrzępionymi włosami i w grubych okularach, wcale nie patrzył na ojca, tylko drapał Joasię za uchem, jak kotka. Joasia przekrzywiła główkę i promieniała zadowoleniem.

- Skąd pan to ma? - spytała naiwnie. Mężczyzna nie odpowiedział.

- Po co mi pan to pokazuje?

- Chce pani spytać, kto jest na tym zdjęciu?

- Jak to kto? Mój ojciec, Duch i wujek Pierre, Francuz, przyjaciel ojca.

-Wujek Pierre... jakie to słodkie... - Major uśmiechnął się kpiąco. - Dla pani wujek Pierre, a dla nas Oskar, ruski i PRL-owski agent, kiepski zresztą.

- Pan żartuje - Joanna zaśmiała się szczerze. - Ależ wy macie pomysły. Wujek Pierre agentem, też coś...

- Ja nie żartuję, pani Joanno, i nie insynuuję. Ja wiem. Z dokumentów wynika, że pozyskać go było łatwo: to był człowiek „jeden grzech” - tak o nim pisali: długi hazardowe, pedofilia... Z innymi było trudniej. - Na słowo „pedofilia” dziewczyna skrzywi-

la się kwaśno. - Ale proszę spojrzeć - Wolicki podał jej następne zdjęcie. Joanna zauważyła na wyciągniętej ręce majora, pod rękawem lnianej marynarki, tatuaż - kotwicę Polski Walczącej. Dziwny jak na bezpieczniaka.

Zdjęcie, które trzymała w ręce, pochodziło ze zjazdu czy jakiegoś mitingu Komunistycznej Partii Francji. Przemawiał pierwszy sekretarz partii George Marchais, z tyłu, w grupie kilku mężczyzn, stał wujek Pierre.

- I to ma być dowód? Żałośni jesteście. Wszyscy wiedzieli, że wujek Pierre po paryskiej rewolcie 1968 roku związał się z komunistami. Potem zobaczył, że nie tędy droga, i wrócił do środowiska związanego z dziennikiem „Liberation”, które mocno wspierało „Solidarność” i wszystkie ruchy niepodległościowe w bloku wschodnim.

- Tak, zerwał z komunistami na prośbę służb. Dużo więcej mógł działać w środowisku liberalnej lewicy. Wrócił do dawnych kumpli. O, widzi pani -podał Joannie kolejne zdjęcie - tu Oskar, który wtedy nie był jeszcze Oskarem, na barykadach Paryża.

Joanna spojrzała na fotografię z maja '68 roku: grupa studentów nalewa benzynę do butelek, szykując się do odparcia ataku CRS - francuskich sił policyjnych.

- Niech pani spojrzy: Dzielnica Łacińska, przy wejściu do stacji metra Mabillion. Teraz jest tu restauracja Chez Leon - świetne ostrygi, pewnie pani zna. O, a tu wujek Pierre - Wolicki pokazał palcem chudego młodzieńca w okularach - a ten obok to Daniel Cohn-Bendit, jeden z przywódców rewolty. Daleko zaszedł, jest teraz deputowanym do Parlamentu Europejskiego - z partii Zielonych.

- Zdjęcia, które mi pan pokazał, niczego nie dowodzą. Zresztą nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną, Maksem i z rosyjskim szyfrem albo z moim ojcem?

-Jeszcze chwilę cierpliwości, proszę. Zaraz wszystko się wyjaśni - powiedział major, podając Joannie kolejną fotografię. Zdjęcie przedstawiało wujka Pierre'a z jakimś mężczyzną. Siedzieli na ławce w parku, jak ona teraz z majorem Wolickim. Wujek Pierre nie patrzył na mężczyznę, lecz w drugą stronę, jakby się rozglądał, i odbierał lub podawał jakąś kopertę.

- Ten mężczyzna obok Oskara, albo wujka Pierre'a, jak pani woli, to Anatolij Liebionka, rezydent radzieckiego wywiadu w Paryżu.

- Dlaczego miałabym panu uwierzyć? A nawet jeśli prawdą jest, że... wujek Pierre był agentem, to co to ma wspólnego z moim ojcem?

- Spokojnie, pani Joanno, spokojnie. Wszystko w swoim czasie. Niech pani spojrzy jeszcze na dwie fotografie. Najpierw na tę - powiedział Wolicki i podał Joannie zdjęcie, które zostało zrobione na jakiejś akademii. Leonid Breżniew wręczał medale kilku oficerom w galowych mundurach. Drugi od lewej był... Anatolij Liebionka.

- A teraz ostatnia fotka do rodzinnego albumu. Jest na nim nasz Anatolij Liebionka i kto jeszcze, pani Joanno?

Zdjęcie dokumentowało spotkanie dwóch mężczyzn w jakimś ciemnym zaułku Paryża. Joanna spojrzała na fotografię. Twarzą drugiego mężczyzny nie musiała się długo przyglądać. Zamarła z przerażenia: to był ojciec.

Rozdział 187.

Podkowa Leśna

Droga do Podkowy Leśnej dłużyła się Joannie nielitościwie. Korki i roboty drogowe na przemian. Rozbita i wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami próbowała rozplątać kłębowisko myśli tak uporczywie, że kilkakrotnie niewiele brakowało, by spowodowała wypadek. Na szczęście z biegiem czasu spędzonego w korkach emocje opadły i już lepiej panowała nad sobą i autem.

Do Podkowy, do matki, postanowiła pojechać w stanie wzburzenia, zaraz po spotkaniu z Wolickim, ale nie żałowała tej decyzji. Musiała porozmawiać z matką. Nie chciała dzwonić, żeby ją uprzedzić o wizycie. Mur niechęci i obcości z pewnością nie dałby się skruszyć przez telefon.

Nie widziała jej od lat. Matka zresztą wiele czasu spędzała poza Polską, głównie w krajach Maghrebu, trochę w Paryżu. Jako wybitny etnograf, specjalistka od historii ludów tamtej części świata, była niezastąpiona na wszystkich kongresach naukowych. A w Paryżu czekał na nią mąż, drugi mąż - Jacques Layet, też profesor, też wybitny.

Joanna nie mogła darować matce, że zostawiła ojca. Poprzysięgła sobie, że do końca życia nie zamieni z nią ani słowa. Teraz złamie tę obietnicę. Musi.

Skoro Wolicki zrobił z niej agentkę, to potrzebuje chociaż pewności, że nie było wyjścia, że tak trzeba. Dla pamięci ojca. Ale czy ojciec zasługiwał na to, żeby chronić jego pamięć?

Po pokazie zdjęć Wolicki już się nie hamował.

- Pani Joanno, a raczej od dzisiaj Samanto, bo tak będę cię nazywał. Chyba nie chcesz, żeby w jutrzejszych gazetach, w twojej także, ukazały się sensacyjne teksty, że niezłomny „Solidarności” był zwykłym agentem. Oj, wielu znalazłoby się chętnych, żeby dokopać nieżyjącemu. A co ze szkołą w rodzinnym miasteczku, której nadano jego imię?

Joanna chciała Wolickiemu dać w twarz, ale nie miała siły unieść ręki. Siedziała otępiała na ławce, jej mózg zastygł w szoku, jak ona cała.

Wolicki, jakby czytał w myślach dziewczyny, zmienił ton. Jego głos nabrał łagodności, a twarz ozdobił wyraz współczucia.

- Przecież rozumiesz, że swoją lekkomyślnością zmusiłaś mnie do użycia sprawy twojego ojca. Nie chciałem tego. Nie jestem starym ubekiem. Ja ubeków wyrzucałem z roboty na zbity pysk i tworzyłem nowe służby dla dobra Polski. Ale są sprawy, o których nie mogę mówić, sprawy najwyższej wagi, które wymagają użycia takich paskudnych metod. Czy myślisz, że jestem z tego dumny? Nie, nie jestem. Brzydzą się tym, ale czasami nie ma wyjścia. Trzeba.

Wolicki zamilkł na dłuższą chwilę, a gdy znów zaczął mówić, jego głos był łagodny i pojednawczy.

- Zresztą, Samanto, bo tak teraz masz na imię, od dawna chcieliśmy zaproponować ci współpracę, mieliśmy cię na widelcu. Jesteś inteligentna, znasz języki, długo mieszkałaś we Francji i w Azji, jesteś

piękna i wysportowana. O ile dobrze pamiętam, zdobyłaś mistrzostwo Francji juniorów w biathlonie. Przydasz nam się.

Joanna nic nie odpowiedziała. Bez słowa wstała z ławki i wolnym krokiem, z opuszczoną głową, powlokła się do parkowych schodów wychodzących na ulicę Belgijską. Myślała, że nie da rady się na nie wdrapać, wydało jej się, że są jak Mount Everest. Mount Everest łajdactwa i zdrady. Na głowie i plecach czuła nieznośny, przygniatający ciężar.

Ryk klaksonów przywołał Joannę do rzeczywistości. Zielone światło paliło się już od dłuższej chwili i kierowcy stracili cierpliwość. Zobaczyła w lusterku, że jakiś osiłek wysiadł z czarnego BMW i ruszył w stronę jej forda. Szybko wrzuciła bieg i wystartowała z piskiem opon.

Jeszcze kilka kilometrów przed Podkową Leśną, w Kaniach, zjechała z drogi na parking przy markecie Warus. Zanim spotkam się z matką, muszę przejrzeć rzeczy ojca - postanowiła. Wyjęła z bagażnika karton, usiadła na trawie i po kolei zaczęła wyjmować jego zawartość. Niewiele tego było i nic ciekawego: kilka bibelotów, ulubiony kubek z napisem *Solidarność*, notatki do jego szkiców z historii myśli politycznej, książki, słowniki. Oglądała je, czytała dedykacje. Nagle ze słownika wypadła kartka. Joanna podniosła ją i szeroko otworzyła oczy: na papierze zobaczyła spisane kolumny rosyjskich słówek i ich polskie znaczenia:

Inwigilacja

Szantaż

Pożałujesz

Pedał

Zdrada

Dalej nie chciała czytać. Cisnęła wszystko do kar tonu, który z hukiem wrzuciła do bagażnika, i odjechała w stronę Podkowy Leśnej.

W kuchni domu pod numerem 47 przy ulicy Konwalii paliło się wątle światło. Joanna zaparkowała forda po przeciwnej stronie uliczki i podeszła do ogrodzenia obsadzonego równo przystrzyżonymi cisami. Furtka była otwarta. Patrząc w kuchenne okno Joanna szła wąskim, granitowym chodniczkiem prowadzącym do domu, którego bryła tonęła już w wieczornym zmroku. W blasku mdłego światła zobaczyła przez szybę kilka warkoczy czosnku zawieszonych nad kuchnią i doniczki z przyprawami na parapecie. Przy stole siedziała kobieta, czytała książkę. Zanim Joanna zastukała do drzwi, chwilę stała przy oknie Patrzyła na matkę. Postarzała się - to pewne, ale nadal była szczupłą; krótkie włosy modnie obcięte zapewne przez paryskiego fryzjera, nierówną grzywką zjeżdżały aż do ucha. Siedziała prosto, a gdy po chwili wstała, Joanna zauważyła, że jest zgrabna i sprężysta.

Stukanie do drzwi sprawiło, że kobieta zatrzymała się na chwilę, nasłuchując. W końcu wyszła do przedpokoju i przekręciła klucz w zamku. Nacisnęła klamkę.

- To ty?! - zdumiała się zaskoczona, dodając po chwili milczenia: - Nie spodziewałam się...

Matka zostawiła drzwi otwarte i cofnęła się do kuchni. Drewnianą łyżką zaczęła mieszać coś w garnku. Joanna stanęła w progu, jakby bała się go przekroczyć, oparła się o futrynę. Zastanawiała się czy matka rzeczywiście coś gotuje, czy tylko energicznymi ruchami łyżką chce zamaskować swoje zmieszanie. Przypomniła sobie, że kiedyś świetnie gotowała i lubiła to. Przez moment zmysł smaku Joanny przywołał pamięć pysznych zup-kremów, którym matka zawsze dodawała jakąś twórczą nutę.

- Nie wejdiesz? - dobiegł ją cichy głos z kuchni. Joanna przestąpiła próg, zamknęła drzwi i stanęła za plecami matki.

- Po co przyjechałaś? - spytała ciepło kobieta, nie odwracając się do córki i nadal żwawo mieszając w garnku.

- Ojciec był agentem, tak? Dlaczego? - wypaliła Joanna.

Matka nie odpowiedziała od razu. Dziewczyna nie widziała jej twarzy.

- Przestań, do cholery, mieszać w tym garze, spójrz na mnie i odpowiedz na pytanie! - wykrzyczała Joanna.

- A jakie to teraz ma znaczenie, był czy nie był, i dlaczego? - kobieta odpowiedziała pytaniem na pytanie, ale nadal pozostała odwrócona. - To stare czasy, złe czasy. Po co do tego wracać?

- Bo to się może zaraz wydać? - dziewczyna znów podniosła głos. - Nie przeszkadza ci, że będą szargać nazwisko, które nadal nosisz?

Matka odwróciła się do córki i spojrzała jej przelotnie w oczy, ale zaraz zawiesiła wzrok za Joanną, na obrazie przedstawiającym dwa pajace na rowerach.

- Noszę podwójne. A co ma być, to będzie.

- Schowaj sobie w dupę ten twój stoicyzm!

- Joanno, nie bądź wulgarna, proszę...- Matka minęła wzburzoną dziewczynę, nie patrząc na nią, i przeszła do salonu. Usiadła na kanapie.

Joanna jednym susem skoczyła jej śladem, opadła na fotel naprzeciw kobiety i pochylając się do przodu

z dłońmi ściśniętymi przed sobą jak do modlitwy wykrzyknęła błagalnie: - Będiesz ze mną rozmawiać czy nie?

Zapadła bolesna, drażniąca cisza.

- Będę. Jesteś dorosła - powiedziała w końcu matka. - Sama musisz się z tym zmierzyć. Ja nie potrafiłam. Dlatego odeszłam.

Zamilkła na dłuższą chwilę, widać porządkowała myśli.

- Pamiętasz, jak byłaś chora? - zapytała.

- Tak, miałam jakieś problemy z sercem. Byłam w szpitalu. Wyleczyli mnie. Nawet wygrałam mistrzostwa Francji - wyrzuciła z siebie Joanna jednym tchem.

- To nie do końca tak. Miałaś bardzo ciężką i rzadką chorobę serca. Tu, w Polsce, nikt nie potrafił ci pomóc. Nam pomóc. Wtedy go dopadli.

- Nie rozumiem...

- To było po sławnym zjeździe „Solidarności” w gdańskiej hali Olivia, tuż przed stanem wojennym. Ojciec radykalny był. Nie on jeden: także Gwiazda, Jurczyk i inni. Atakował Wałęsę. Uważał, że Lech zdradził, że jest agentem SB. Ojca podchodzili już wcześniej, ale się nie dał. Wtedy trafili w czuły punkt. Zgodził się na współpracę.

- Zarzucał Wałęsie zdradę, a sam został agentem? - Joanna nie mogła w to uwierzyć.

- Podjął taką decyzję.

- Donosił za pieniądze? - spytała niepewnie.

- Oczywiście! Ale też za paszporty dla nas trojga. Twoja operacja kosztowała bardzo dużo.

- Rozgrzeszasz go? Ilu ludzi zdradził, ilu poszło do więzień, ilu cierpiało?

- Nie wiem ilu. Ale zadam ci pytanie: ilu lat więzień i ilu cierpień warte jest twoje życie? Potrafisz na nie odpowiedzieć?

Joanna wstała z fotela i jak w lunatycznym śnie ruszyła do wyjścia. Nie zamknęła nawet za sobą drzwi. Gdy dochodziła

do furtki, usłyszała wołanie matki: „Joanno!”. Wyszła na ulicę. Jeszcze raz matka wykrzyczała jej imię, ale dziewczyna się nie zatrzymała. Wsiadła do samochodu, włączyła silnik. Ford ruszył z piskiem opon, rozdzierając sielską ciszę Podkowy Leśnej.

Rozdział 194.

Lipówek, Warmia

- No prOSZę, prOSZę. Świetnie sobie radzisz!

- Maks z niekłamanym podziwem popatrzył na Fredka Sokoła. Chłopak siedział zgarbiony przy stole, zawzięcie i sprawnie łącząc komputerowe podzespoły. Co parę chwil wpatrywał się w schematy naszkicowane przez Maksa na kolejnych kartkach zeszytu, który przyniósł mu z chałupy.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytał Maks, który nie mógł uwierzyć w to, co widział.

- A tak jakoś... Trochę z chłopakami, trochę z internetu. Ale niech pan nic ojcu nie mówi, bo by mnie obśmiał, a może i złał?

- Złał? Za co?

- Bo wie pan: z tych ziemniaków, co to na polu, o tu zaraz, rosły, tato dał mi parę stówek na piwo i dziewczyny. Ale ja części kupiłem i zrobiłem składaka. Nawet internet mam. Bezprzewodowy, bo na łące u Niemców antenę postawili. Taką do komórek

- Fredek uśmiechnął się szeroko i szczerze jak stary Sokół do księżycówki.

- Tylko niech pan nic ojcu nie mówi - powtórzył błagalnie i spojrzał na Maksa. - Zleje mnie. Ciągle powtarza: „A na co chłopu internet?”.

- Pornosy mu pokaż, to będzie wiedział na co!

- zaśmiał się Maks.

Żarówka nad stołem znów zaczęła mrugać.

- Cholera! Co jest z tym napięciem? - zezłościł się Maks. - Trzeba coś zrobić, bo sprzęt nam rozwali! - Patrzył wściekły na lampę, która co chwilę zapalała się i gasła, jakby wysyłała jakieś S.O.S.

Maks wszedł do sieni, przesunął w podłodze zamek piwnicznej kłapy, huknęła o ścianę: znów zapomniał, że dziwnie się otwierała - do dołu. Zsunął się po stromej drabince, zapalił latarkę. Bez trudu znalazł skrzynkę elektryczną - już był tu wcześniej włączyć korki. Wtedy nie przyjrzał się instalacji, teraz tak: - Ale kaszana! - jęknął. To była artystyczna instalacja, dzieło sztuki nowoczesnej, a nie wytwór rąk elektryka - plątanina kabli i kabelków wszelkiego rodzaju.

Dalej było jeszcze gorzej: przewody zamocowano do ścian, w kilku miejscach połączono i zaizolowano za pomocą aptecznego plastra. Ktoś ładnie przyoszczędził - pomyślał Maks, przesuwając się wzdłuż kabli. Biegły dalej po gołym betonie za drabinką i zwisającą klapą wejściową, dopiero stąd kierowały się ku górze. Żeby mieć lepszy dostęp, Maks zamknął klapę i wcisnął się za drabinkę. Tu domorosły majster nawet nie użył plastra - połączył przewody palcami i skręcił, żeby się trzymały.

Nie zdążył jeszcze zabrać się do roboty, gdy usłyszał na górze zgrzyt otwieranego zamka i skrzypnięcie drzwi wejściowych. Jest Joanna! Boże, żeby coś załatwiła - pomyślał. Usłyszał ciche kroki stóp w sportowych chyba butach. To nie pantofelki! To nie Joanna! Zamarł w kącie piwnicy. Fredek, zajęty pracą, nucił jakąś melodyjkę.

Trzy syknięcia kul wystrzelonych przez tłumik pistoletu i brzęk pękającej szyby przerwały melodię w pół nuty. Jeden pocisk nie trafił w cel. Dwa inne tak. Coś ciężkiego huknęło o podłogę. Musiało to być ciało Fredka. Zaległa cisza.

Maks stał bez ruchu, napierając całą siłą na zimny beton piwnicy, jakby chciał się w niego wcisnąć.

Po chwili nad głową znów usłyszał odgłos miękkich kroków. Morderca chodził po domu. Maksa dobiegł jęk odsuwanych spaczonych szuflad, stuk przestawianych na stoliku części komputerowych. Potem szelest papieru - intruz kartkował zeszyt Fredka.

Znowu cisza.

Po czole Maksa spływały krople potu, wkapywały pod powieki, raniąc źrenice szczypiącą solą.

Człowiek w pokoju przesunął krzesło i usiadł. Czekał.

Joanna jechała do Lipówka, jakby to miała być wyprawa na koniec świata. I do końca świata. Chciałaby, żeby tak właśnie było. Nie zatrzymywać się, jechać, jechać, jechać!

Co mnie teraz czeka? - zastanawiała się, podczas gdy jej noga co jakiś czas bezwiednie zwalniała pedał gazu, włączając jednocześnie zniecierpliwione reflektory samochodów z tyłu. Zrobili z niej agenta. Ale czy mogła odmówić? Pozwolić na zszarganie pamięci ojca? Przecież on nie może się bronić. A ona - Joanna - czy może obronić jego i siebie i zapomnieć? Ona - przyczyna zdrady, ona - której ojciec kupił życie za ludzkie cierpienie? Nie, do końca swoich dni będzie nosiła to piętno.

A Wolicki? Czy można ufać człowiekowi, który sięga po takie metody? Jaki cel może uświęcić takie środki? I wreszcie Maks: czy jest rosyjskim agentem? Czy zgadzając się na współpracę z Wolickim, chroni Maksa, czy go pogrąża?

Za dużo pytań, za dużo zagadek! Joanna zapragnęła być małą dziewczynką, schronić się gdzieś w pieczarze i zasnąć. Zasnąć, tak byłoby najlepiej. Bo jakie będzie teraz życie Joanny-Samanty? Przecież już nie dadzą jej spokoju. Przydzielą kolejne zadanie... A potem coraz głębiej i głębiej będzie się pogrążała. I nie będzie mogła się wycofać, bo oni ją wycofają... wiadomo dokąd.

Ale może nie będzie tak źle? - szukała pocieszenia. Może pozwolą wrócić do domu, niczego nie będą chcieli, dadzą spokój na kilka lat, a może na zawsze? Tak czy owak, nic nie będzie już takie samo. Cokolwiek się wydarzy. Już nie pozbędzie się strachu łapiącego za gardło i wstrzymującego oddech przy

każdym dzwonku telefonu. Przy każdym pukaniu do drzwi. Przy każdym nowym spotkaniu.

Już zawsze będzie żyć w napięciu i w gotowości. W gotowości narzędzia. Narzędzia służb.

Była przerażona. Ale to przerażenie, które ścisnęło Joannę za gardło, jednocześnie wyostrzyło jej myśli i pamięć. Uwagę przykuł szczegół dotychczas niezauważony. Teraz mózg wyciągnął go gdzieś z zakamarków pamięci i podał Joannie na tacy: major, przytaczając odczytany fragment szyfru, zacytował go tak: *TAJNE. OPERACJA W POLSCE ROZPOCZĘTA. NATYCHMIAST URUCHOMIĆ ZWIĄZKOWCÓW PPG...*

PPG? - Joanna nagle zamarła. Przecież w rozszyfrowanym przez Siergieja fragmencie tekstu, który pokazywał jej Maks, nie było PPG!!! Tak, major powiedział PPG - nie mogła się mylić! Musiał dostać cały tekst. Od kogo? Od nadawcy? Przecież wspomniał, że szyfranci służb nie odczytali jeszcze nawet jednego znaku!

Joanna gwałtownie wcisnęła gaz, aż zapiszczały opony na asfalcie jezdni. Prawą ręką wyciągnęła telefon z torebki rzuconej niedbale na podłogę auta. Wybrała numer MSZ. Na szczęście ten resort pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę - pomyślała.

Po chwili miała połączenie. - Chciałabym rozmawiać z Janem Duchem - powiedziała.

- To niemożliwe - odpowiedział głos w słuchawce. - Kim pani jest? - spytał jeszcze.

- Joanna Weynert, byłam dziś u niego, jest moim przyjacielem.

- Przykro mi, Jan Duch nie żyje, popełnił samobójstwo.

Jasna cholera! Maks! Dziewczyna rzuciła telefon na siedzenie pasażera i jeszcze mocniej docisnęła pedał gazu. Fordka z dużą szybkością minął Pasym i skierował się dalej na

północ. Joanna nie zważała na ograniczenie prędkości. Jeszcze kilkanaście kilometrów! Zdawało jej się, że gdzieś z oddali dochodzi do jej uszu hałas śmigłowca.

Maks Stał Wciśnięty w ścianę piwnicy. Bolały go wszystkie mięśnie, ale wiedział, że nie może się ruszyć, żadnym szmerem zdradzić swojej obecności. Nie miał pojęcia, jak długo już tkwi w piwnicy, wydawało mu się, że całą wieczność, więcej: dwie, może trzy wieczności.

Usłyszał warkot samochodu zbliżającego się po wybojach wiejskiej drogi. Joanna? - pomyślał. Nad jego głową rozległy się delikatne kroki w sportowych butach. Z napięciem wpatrywał się w sufit. Już wiedział, co się stanie: zabije i ją! Zabije! Już niemal widział, jak krople krwi Joanny przesączają się przez szpary w deskach podłogi i padają na beton piwnicy u jego stóp. Nie zrobił jednak żadnego ruchu.

Joanna wysiadła z auta i wbiegła szybko po schodkach. Drzwi domu były otwarte. Ostrożnie je uchyliła. Zajrzała przez szparę. Nikogo nie zobaczyła. Pchnęła drzwi.

- Maks! - zawołała w progu. - Maks! Cisza.

Weszła do domu. W kadrze otwartych drzwi do pokoju zobaczyła na podłodze ciało mężczyzny w kraciastej koszuli przesiąkniętej krwią wypływającą jeszcze z dwóch ran postrzałowych. Leżał na brzuchu, twarzą do okna. - Maks! Neeee! - Podbiegła do niego. Z wysiłkiem, brudząc ręce krwią, przewróciła zwłoki na plecy. Zobaczyła zastygłą w zdziwionym uśmiechu twarz Fredka. Podniosła głowę i krzyknęła raz jeszcze: - Maks!

- Twój Maks już nie usłyszysz - oświadczył głos za plecami Joanny. W sieni stał major, dokręcał tłumik do pistoletu. - O, poluzował się - zauważył. - Ale tandetę teraz sprzedają.

Joanna chciała się cofnąć, zrobiła krok do tyłu, ale obcas jej pantofelka zagłębił się w coś miękkiego. Ręka Fredka? Wyszarpnęła but.

- Pewnie jesteś ciekawa, Joanno, o co tu chodzi? Nie, nie zaspokoję twojej ciekawości. Tylko w filmach *bad guy* opowiada przygłupim bohaterom i publiczności, dlaczego

musiał zabić. Szmira! Ty zresztą nie jesteś przygłupia, więc może nawet trochę sama mogłabyś wykombinować. Gdybyś miała czas. Ale nie masz. - Gwint tłumika znalazł opór. Major wycelował w pierś Joanny. - Więc umrzesz w błogiej niewiedzy.

- Opowiem ci za to, co będzie później - ciągnął major z perwersyjną przyjemnością. - Później, gdy cię już zastrzelę, przyciągnę tutaj ciało Maksa i włożę pistolet w jego sztywną dłoń. Na stoliku położę jakiś lipny ruski szyfr, a ten, na którym mi zależy, zabiorę, żeby oddać właścicielowi. Potem poczekam na ekipę. Bałagan zrobi się taki, że nikt do niczego nie dojdzie i sprawa będzie czysta, nieprawdaż?

Maks, wciśnięty w kąt piwnicy, powoli przełknął ślinę. Zdawało mu się, że jego grdyka i przesuwające się jabłko Adama wydały gulgot tak głośny, że zadudniło w całej chałupie. Nie widział nic, poza smugami światła w szparach między deskami wjazdu do piwnicy. Ostrożnie przesuwał się wzdłuż ściany, żeby lepiej słyszeć głosy z góry.

- I jeszcze jedno powiem ci, Joanno: w sznurowatych filmach dobry bohater nagle sięga po broń - major wrócił do wątku filmowego. - Naciska spust, *bad guy* pada. Ale ty nie masz broni, ha, ha, ha. Więc nie ruszaj się, bo jeszcze źle trafię. A jak źle trafię, to poprawię i będzie bardziej bolało.

Maks stanął pod włazem zdrtwiałymi ze strachu.

- No to by było na tyle... Pa, pa, Joanno... Aha, masz, a w zasadzie miałaś, ładne nogi. Szkoda.

Major cofnął się o krok, chyba po to, żeby krew nie zachlapała mu ubrania, i Maks nagle zobaczył jego stopy nad włazem. Gdy morderca naciskał spust, jednym ruchem pociągnął blokadę klapy. Opadła z wielkim hukiem, który zagłuszył syk wystrzelonej kuli. Mężczyzna runął w dół, uderzając głową o szczebel stalowej drabiny. Zwiotczałe ciało zsunęło się na Maksa, który nie zdążył odskoczyć. Stracił równowagę i upadł na beton przywalony ciężarem majora.

Na krótką chwilę stracił przytomność. Gdy się ocknął, poczuł, że coś lepkiego spływa mu po policzku. Wiedział, że to krew - krew z roztrzaskanej czaszki mężczyzny. Uniósł głowę i spojrzał majorowi przez ramię: w otworze włazu zobaczył twarz Joanny.

- Pomóż mi, jest ciężki jak cholera! - wycharczał.

Joanna zeskoczyła do piwnicy, złapała majora za nogę i rękę i pociągnęła, ale ani drgnął. Dopiero gdy Maks popchnął ciało od dołu, zsunęło się z niego i przewróciło na plecy. - Co tu się, kurwa, dzieje? Kim ty w ogóle jesteś? Kto to jest? - Maks chyba pierwszy raz wybuchnął.

Joanna pochyliła się nad trupem, przycisnęła palce do jego szyi. - Niestety, to nie są jeszcze zwłoki. Zwiążmy go, szybko! Potem ci wyjaśnię - powiedziała, unosząc głowę. Maks rękawem ścierał z twarzy krew majora.

Joanna nie czekała, aż Maks dojdzie do siebie. Rozejrzała się po piwnicy. - Tam jest kabel.

Związali ręce i nogi mężczyzny. Dla pewności przyciągnęli go do drabinki, oparli o nią i przywiązali jeszcze do szczebla. - Zmywamy się! Zaraz będą tu następni - rzuciła nerwowo Joanna i schyliła się po broń majora.

Żeby wyjść z piwnicy, musiała teraz stanąć na wyższy szczebel. Zrobiła szpagat nad ciałem mężczyzny, krótka spódniczka zatańczyła. Gdyby major był przytomny, nie pożałowałby.

Joanna wyskoczyła z piwnicy, Maks był jeszcze w połowie drogi, gdy z sieni dobiegł głos: - Dżen dobry, pani Joanna, dżen dobry, panu Maksu! - Joanna odskoczyła w tył, w ułamku sekundy wycelowała broń.

W drzwiach chałupy stało dwóch mężczyzn, a w zasadzie półtora mężczyzny. Łamaną polszczyzną mówił ten z przodu: mały i rudy, w wakacyjnej koszuli w palmy. Jego wielkim tłem był zwalisty, śniady brunet w czerni.

- Nie jesteśmy kilerami, okay? Proszę szę nie obawiać! Reprezentujemy bank... Panu Maks, niech pan wyjdzie, my niegroźne... - powiedział łagodnie jak do dziecka.

Bank? Co tu się dzieje? Sprzedają wakacyjne polisy na życie albo podliczyli moją kartę kredytową i chcą mnie zabić - pomyślała Joanna, nie rozumiejąc, skąd u niej nagle to wisielcze poczucie humoru. Bo przecież wcale nie było jej do śmiechu: stała w rozkroku, trzymając w rękach umazanych krwią Fredka i majora ciężki jak diabli pistolet, i czuła, że jedzie na jakimś szatańskim rollercoasterze. A przecież jeszcze tak niedawno przymierzała płaszczyk i buciki na Nowym Świecie...

- Nazywam się Paul Eagleman, można by powiedzieć Paweł Orłowski, co nie? - uśmiechnął się półgębkiem, ale przyjaźnie. - A to jest mój asystent David Spielberg - ja nie wiem, jak to przetłumaczyć... cosz z górą chyba... - Rozłożył bezradnie ręce i odwrócił się do Davida, jakby szukał u niego translatorskiej pomocy, ale ten przecząco pokręcił głową. Też nie wiedział.

- Pani Joanna, niech pani odłoży broń, jeszcze się co komu stanie...

Joanna ani drgnęła, celując w kokos na koszuli rudego bankiera.

- Panie Maksu, niech pan jej co powie!

- Panie Maksze - poprawił rudego zwalisty David.

Tymczasem Maks stał w kwadracie wjazdu, na piwnicznej drabince, nie mogąc się zdecydować, czy wyjść, czy uciekać pod podłogę. W końcu zdał sobie sprawę, że wygląda żałośnie, jak nędzna imitacja Janka Kosa z „Czterech pancernych”, gdy ten ruszał „Rudym” na Berlin. Powoli, z wysiłkiem, wylazł z piwnicy, czuł ból wszystkich mięśni napiętych strachem i pleców po upadku na beton. Czuł też jeszcze na sobie ciało majora. Niemile doznanie.

- Okay, panie Maksze - poprawił się Eagleman. Już się nie uśmiechał, nawet półgębkiem. - No to doszcz tego, dzieciaki! Rozumiecie po angielsku? Świetnie, będzie *faster* - przeszedł na angielski.

- Nie mam zamiaru nadstawiać za was mojego żydowskiego tyłka. Wystarczy naszych trupów na polskiej ziemi - Eagleman, gdy mówił po angielsku, nie był już pokracznym dziwadłem w koszuli w palmy. - Macie coś, na czym zależy mojemu bankowi.

Jak widzicie, zależy też innym, bo ledwie uszliście zżyciem. - Spojrzał na nieruchome ciało Fredka.

- Tamten w piwnicy żyje?

Joanna skinęła głową. Powoli opuszczała broń. Niewiele rozumiała z tego, co przed chwilą się stało, ani z tego, co właśnie się dzieje.

- Okay, nie jesteśmy kilerami - Eagleman wyciągniętą ręką powstrzymał Davida, który chciał wyjść z za jego pleców i ruszyć do piwnicy. - Zabieram was do Ameryki, Maks pomoże nam z szyfrem. Dla ciebie też coś znajdziemy - zwrócił się do Joanny. - Samolot czeka. Nie pytam was o zdanie, bo sami wiecie, że nie macie wyjścia. Tu was zabiją. No to w drogę.

- Eagleman wskazał ręką drzwi.

Maks i Joanna milczeli zaskoczeni nagłym zwrotem zdarzeń. Spojrzeli tylko na siebie i ruszyli do wyjścia.

Jeep sunął wyżłobionymi przez deszcze koleinami w dół wioski pogrążonej w mroku. Przy stawach rybnych, gdzie droga skręca w prawo, by przez las dojść do asfaltu, przyhamował. Joanna spojrzała w lewo, na zabudowania Sokołów. W domu paliło się światło. Ceśka czekała na Fredka?

Samochód jechał na południe, w stronę Szczytna

- tak pokazywały znaki. Prowadził David. Kierownica niemal znikła w jego łapach, wielkich jak bochny chleba, głowa wielkoluda uderzała na wybojach w podsufitkę. Jego ogromne plecy zajmowały jeszcze część fotela pasażera - obok siedział wciśnięty w drzwi auta Eagleman.

- Naprawdę jedziemy do Ameryki? Po co? - spytała cicho i bez przekonania Joanna, która od wyjazdu z Lipówka popadła w otępienie wywołane skrajnym napięciem i zmęczeniem. Podobnie jak Maks.

Nie dostała odpowiedzi.

Oboje siedzieli w milczeniu z odchylonymi do tyłu głowami, które na wybojach i zakrętach kołysały się w tym samym rytmie co łeb jannika przyklepionego do deski rozdzielczej jeepa.

W tym stanie otępienia było Joannie w zasadzie wszystko jedno, dokąd ich wiozą ci mężczyźni i kim są. Czy naprawdę reprezentowali jakiś bank? Dziwny to byłby bank. Bankier kojarzył się dziewczynie raczej z facetem w znoszonym garniturku, który nalicza jej karne odsetki, ewentualnie straszy komornikiem. Ale żeby bankier wskakiwał w koszulę w palmy i jechał na koniec świata - dodajmy: ten dziki koniec

- szukać szpiegowskiego szyfru? Co to, to nie. To wydało się Joannie co najmniej dziwaczne. No ale co innego mogła zrobić, niż zapakować się z Makssem na tylne siedzenie jeepa? Nic.

Była śmiertelnie zmęczona i zupełnie zdezorientowana. Nie panowała nad swoim losem, czuła się jak puch z rozprutej

poduszki, który, gdzie dmuchną, tam leci. Próbowwała zebrać strzępy informacji i poskładać je w coś, co nabrałoby jakiegokolwiek sensu. Ale zamiast znajdować odpowiedzi, tylko mnożyła pytania.

Jedno było pewne: major pracował dla Rosjan. Znał treść szyfru. Chciał zabić ją i Maksa, żeby szyfr nie trafił w ręce polskich służb. Ale to jeszcze nie znaczy, że Maks jest czysty. Może też pracował dla Ruskich razem z Siergiejem, tylko obaj wiedzieli za dużo i stali się niewygodni? Zdradzili, ukradli szyfr? Chcieli go komuś sprzedać? I dlatego mieli zginąć. A może od początku Maks pracował dla kogoś innego? Dla Rudego? A może dla prawdziwych polskich służb?

Czy naprawdę lecą do Ameryki? Dla kogo pracują dziwaczni bankierzy? Dla CIA? Mosadu?

- Dokąd jedziemy? - powtórnie zapytała Joanna.

- Lotnisko w Szymanach, jeszcze tylko dwadzieścia kilka kilometrów, zaraz będziemy - odpowiedział Eagleman.

Szymany - to tam przywozili i torturowali talibów. Pięknie! - Joanna wzięła głęboki oddech. Maks milczał.

Drogę, którą jeep jechał przez las, zamykała niepozorna brama z siatki, trochę tylko porządniejsza niż wjazd na budowę albo szrot. Od bramy, w obie strony, ciągnął się płot - też siatkowy, na którym u góry zapleciono zwoje drutu kolczastego.

Terenówka zatrzymała się przed budynkiem ochrony. Strażnik podszedł do szyby kierowcy. Eagleman wychylił się i przez Davida, bez słowa, podał jakiś papier. Strażnik schował kartkę do kieszeni. Otworzył bramę. Auto ruszyło.

Snop światła jeepa odłonił zarys jedynego pasa startowego lotniska zbudowanego w wielkiej leśnej przecince i trzy zabudowania. Zatrzymali się przed najmniejszym baraczką z zakratowanymi oknami. Weszli do pustej sali, wrogu której stały dwa biurka z jasnej sklejki. W drugim kącie, obok kanapy i dwóch foteli w kwiatowe wzory, zieleniła się sztuczna palma. Dalej, przy sąsiedniej ścianie, ustawiono rząd krzeseł połączonych listwą.

- Odpocznijcie. Zaraz wrócimy - powiedział Eagleman, też najwyraźniej zmęczony. Razem z Davidem zniknęli w drzwiach bez tabliczki prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia.

Nikt ich nie pilnował.

Joanna odetchnęła z ulgą, opadła na kanapę. Maks stanął nad nią.

- Kim ty jesteś, Joanno? Dla kogo pracujesz!? - wyrzucił z siebie jednym tchem, ścisząc głos. Długo czekał na tę chwilę.

Dziewczyna poderwała się na nogi, odpychając go lekko rękami:

- Ja? Dla nikogo! - krzyczała mu szeptem w twarz.

- Kłamiesz!

- A ty, Maks, dla kogo pracujesz?

- Zwariowałaś!

- Dla Ruskich?!

- Zwariowałaś! Masz mnie za idiotę, Joanno--Samanto? Tam, w Lipówku, wszystko słyszałem

- Maks podniósł głos. - Kim jest ten major, który zabił Fredka? Pytam raz jeszcze: dla kogo pracujesz?

Joanna opuściła głowę i zamilkła na chwilę. Potem powoli podniosła wzrok. - Dla polskich służb, tak myślałam, i tylko przez kilka godzin, przysięgam.

- Patrzyła mu w oczy. - Maks, nic nie rozumiesz, major szantażował mnie - niemal wyszeptała Joanna, szukając zrozumienia w jego spojrzeniu. Nie znalazła. Opadła na kanapę. Zapadła cisza.

Maks nawet nie starał się zrozumieć słów Joanny. Kipiał w nim gniew.

- I dlatego poszłaś ze mną do łóżka? Takie dostałaś zadanie? - Czuł upokorzenie i odrazę. Joanna wyczytała to w jego twarzy.

- Nie dlatego - odpowiedziała smutno. Maks usiadł w drugim rogu kanapy. Milczeli.

- Samolot gotowy. Ruszamy! - Eagleman kiwnął na nich ręką i otworzył drzwi baraku.

Rozdział 210.

Warszawa

- Złodzieje! Złodzieje! złodzieje! - równo skandował potężny chór setek zachrypniętych gardeł przed budynkiem Urzędu Rady Ministrów w Warszawie. Oskarżenie odbijało się od fasad stylowych budynków Nowego Świata i nie tracąc mocy, atakowało współwinnego - Sejm przy ulicy Wiejskiej.

Protest docierał jeszcze dalej, do modnych kawiarni przy placu Trzech Krzyży, psując dobry nastrój i smak kolorowych drinków młodej elicie stolicy.

Od strony parku Ujazdowskiego podjeżdżały kolejne autokary, z których wysypywali się związkowcy z PPG. Powiewali biało-czerwonymi flagami, rozwijali transparenty z hasłami: *Kapitaliści nas zniszczą, Precz ze złodziejską prywatyzacją*. Hasło *Nasze ulice, wasze kamienice* odrzucił ekspert związkowy

- podobno antyżydowskie.

Tłum przed URM gęstniał.

- Pepegie nie da sie! Pepegie nie da sie! - skandowali miarowo robotnicy, a rytm wybijał na werblu wąsaty związkowiec, mimo przygrzewającego słońca ubrany w kufajkę. - Sprzedawczyki! Sprzedawczyki!

- krzyk robotników przenikał szyby i mury gmachu rządu, docierał do sekretariatów i gabinetów urzędników.

Rada Ministrów musiała przerwać posiedzenie. Ministrowie patrzyli przez okna na tłum robotników napierający na barierki rozstawione przezornie przez policję. Metalowe zapory ustąpiłyby pewnie przed robotniczą siłą, gdyby nie podtrzymywali ich funkcjonariusze w kordonie.

- O co im chodzi? - pytał bezradnie kolegów minister ochrony środowiska. - Tam, tam, patrzcie

- przerwał mu minister sportu, wskazując ręką na poruszenie w tłumie: kilku robotników chwyciło na ręce wążacza w kufajce i podniosło do góry, ktoś podał mu megafon.

- Tu jest Polskaaaa! - ryknął związkowiec. - Tu-jest-Polska! Tu-jest-Polska! - podchwycił tłum. Wążacz uciszył go, podnosząc rękę. - Panie premierze! Panowie ministrowie! Nie lękajcie się! Przychodzimy w pokoju - jak mówił nasz Ojciec, Jan Paweł II.

- Nie lękajcie się narodu! Nie lękajcie się robotników! Naród to myyy!

- Złodzieje! Złodzieje! - skandował tłum. Związkowiec znów go uciszył.

- Panie premierze! Niech pan nie oddaje PPG kapitalistom! To jest nasz zakład! Zbudowany na naszej robotniczej krwi i znoju! Polski zakład!

- Tu-jest-Polska! Tu-jest-Polska! Tu-jest-Polska!

- Chłopy! Teraz Rota! - ktoś krzyknął z tyłu.

- *Me rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy po-grzeźć mowy, polski my naród, polski ród...* - śpiew wyrwał się z setek gardeł. Tłum zafalował w takt melodii.

Czuć było swąd palonej gumy. Kilka płonących opon przeleciało nad barierkami. Policjanci w kordonie pochowali głowy w ramiona. Opony toczyły się po asfalcie, jedna aż do drzwi urzędu.

- Spalić dziada! Spalić dziada! Spalić dziada! - skandowali robotnicy, coraz bardziej rozgrzani protestem i wódką wypitą po drodze do Warszawy. Ponad głowami tłumu wyrosła kukła premiera, ktoś przystawił zapalniczkę.

- *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...*

- Nie możemy dopuścić, żeby nam Polskę rozgrabiono! - związkowiec w kufajce przekrzykiwał hymn, pochylając się do kilkunastu mikrofonów wycelowanych przez reporterów w jego wąsatą twarz. Widziała go cała Polska w „Teleexpressie”, a później w telewizyjnych „Wiadomościach”, także mieszkańcy Warszawy, gdy wyrwali się już z korków, które sparaliżowały miasto.

- Panie przewodniczący Wilk, jakie są wasze postulaty? - z pasją spytała reporterka z telewizji, odgarniając długie włosy, żeby odsłonić nienaganny makijaż. Kamerzysta zrobił zbliżenie.

- Walczymy o sprawiedliwość! Walczymy o Polskę! Przecież widzi pani tych ludzi - wskazał głową tłum za swoimi plecami dośpiewujący Mazurek Dąbrowskiego - czy oni walczą o siebie? Nie, oni walczą o nas wszystkich. Mało to przedsiębiorstw sprywatyzowano ze szkodą dla załogi? Oto, do czego doprowadził nas obłądny liberalizm tego rządu! Nie może być tak, że obcy kapitaliści biorą wszystko, a ludziom, którzy ten majątek budowali, Polakom, rzucają marne ochłapy. Potem zakład się zamyka i ludzie idą na bruk! Tak nie może być!

- Aferady! Aferady! Aferady! - krzyk związkowców zagłuszał słowa lidera. Jakiś grubas w kasku i kufajce podbiegł do grupki dziennikarzy, rozepchnął ich i wcisnął nabrzmiałą słusznym gniewem twarz przed obiektyw kamery, wygrażając pięścią. - Jeśli my damy się oszukać, oszukają następnych. Nie pozwolimy na to! - przewodniczący Wilk krzyczał dalej. - Niech rząd wie, że my tu wrócimy! Nie sami. Popierają nas

górnicy i stoczniowcy. Panie premierze, apeluję do pana. Opamiętajcie się!

Opony na jezdni dogasały. Tłum rzedniał. Robotnicy ruszyli grupkami w stronę autokarów zaparkowanych w bocznej ulicy. Zręcznie omijali leżące na trawniku prostokąty dykty z wiecowymi hasłami, opakowania od chipsów i puszki po napojach. Ktoś potrącił pustą butelkę wyborowej, która hałaśliwie potoczyła się po chodniku.

W związkowym turystycznym mercedesie z klimatyzacją, zaparkowanym przy krawężniku zamkniętej dla ruchu ulicy, przewodniczący Wilk, już bez kufajki, na tylnym siedzeniu wymieniał uwagi z towarzyszami.

- Ale dym!

- Daliśmy sukinsynom popalić!

- Ugną się?

- A jak inaczej?! Rozniesiemy tę budę!

Wilk zwrócił się do wnętrza autokaru: - Dawać chłopcy kufajki! Ale już! Bo kaucji nie zwrócę! - Pogroził związkowcom pięścią. - Jutro muszę oddać w centrali. Na Wybrzeżu potrzebne!

Rozdział 214.

Moskwa

Czerwony telefon zabrzączał na biurku Kajdanowicza. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Nie miał ochoty odbierać. Wiedział, że to góra. Siedział sztywno za biurkiem z dłońmi splecionymi na brzuchu i wpatrywał się w brzęczący, natrętny przedmiot. Czwarty sygnał, piąty... Podniósł wreszcie słuchawkę. Przez chwilę w milczeniu słuchał, co mówi rozmówca. - Tak, będę za dwie godziny - odpowiedział. Rozmówca przerwał połączenie.

Kajdanowicz delikatnie odłożył słuchawkę na widełki. Spojrzał na stertę papierów posegregowanych w pliki rozłożone na blacie według jemu tylko znanego klucza. Zdjął okulary - tak widział lepiej - i sięgnął po raport leżący na wierzchu kupki z boku biurka. Powoli go kartkował, przekładając strony poślinionym palcem.

Im dłużej Kajdanowicz zagłębiał się w lekturę, tym bardziej jego twarz tężała. Miał wrażenie, że sprawy szły gorzej, niż wydawało mu się przy pierwszym czytaniu dokumentów, a już o niebo gorzej, niż przedstawiał je Blazow. Dygnitarz był niezadowolony, byłby wściekły nawet, gdyby na tak gwałtowne uczucie mógł sobie pozwolić. Nigdy jednak nie wpadał w panikę, ba - nawet na chwilę nie tracił równowagi. Nie on. Teraz też miał przygotowany plan awaryjny na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Musi go jeszcze dopracować, zanim pójdzie na rozmowę z górą.

Pułkownik Andriej Blazow wchodził po stromych, krętych schodkach prowadzących do biura Kajdanowicza, zastanawiając się, dlaczego dygnitarz wezwał go tak nagle. O spotkaniu w Moskwie nigdy nie było mowy, kontaktować się mieli wyłącznie za pomocą kremlofskich tajnych wirusów-paczek. Czy rozkaz przyjazdu do stolicy spowodowała jakaś nagła zmiana planu? Czy może Kajdanowicz chciał go za coś zganić - bo przecież jeszcze nie zabić? Na pewno nie tu, nie w centrali. Nikt nie lubi problemów, Kajdanowicz z pewnością najmniej. No ale sprawy szły raczej dobrze.

Co do jednego pułkownik nie miał wątpliwości: nie spodziewał się pochwał. Oni nie chwalą.

Wolno stąpał po schodkach, idąc za Saszeńką, zwalistym kamerdynerem-komandosem, tym samym co wówczas, gdy pierwszy raz przywieźli go do Kajdanowicza na Kreml. Szedł prawie w ciemnościach. Małe okna, wymiarami przypominające raczej otwory strzelnicze, wypełniła ciemna szarość wieczoru, a mdłe światło bocznych lamp zasłaniały plecy kamerdynera.

Gdy Blazow wszedł do gabinetu, Kajdanowicz siedział za biurkiem i w skupieniu czytał dokumenty. Nie spojrzał na pułkownika. Nie zauważył go?

Gość zbliżył się, stanął na baczność i czekał w milczeniu przez długą, krępującą chwilę. Wreszcie dygnitarz oderwał wzrok od papierów. Szybkim ruchem założył okulary leżące obok sterty szarych teczek z nadrukiem *Tajne*, palcem wskazującym wsunął je głębiej na nos i dopiero wtedy podniósł wzrok na pułkownika.

- Jesteś wreszcie - powiedział zniecierpliwionym tonem, jakby to on czekał na chwilę uwagi Błażowa.

Potem energicznie wyszedł z za biurka i wskazał gościowi jeden z foteli stojących wokół kawowego stolika w rogu gabinetu. Sam też usiadł naprzeciw, ale tylko na chwilę. - Referuj - rzucił oschle i zaraz się podniósł. Stał przed Błażowem, ręce złączył za plecami. Teraz patrzył na niego z góry.

- Wszystko idzie zgodnie planem. Akcję w Turkmenistanie zakończyliśmy sukcesem. - Pułkownik też chciał wstać, ale Kajdanowicz powstrzymał go gestem. - Zadanie wykonał nasz człowiek, szef miejscowej bezpieki - mówił dalej Błażow, już nie tak pewnie, patrząc w górę na dygnitarza. - Prezydent zmarł na atak serca. Chorował wcześniej - żadnych podejrzeń. Teraz ten nasz człowiek pilnuje interesu, kontaktowałem się z nim na miejscu. Mówi, że nie będzie problemów. Następca prezydenta jest słaby, nie ma poparcia żadnego z wpływowych klanów - to osobisty lekarz starego prezydenta. Ma tylko nas. Turkmenistan wkrótce zmieni kurs i odrzuci zachodnie projekty gazowe, szczególnie budowy gazociągu Nabucco, który miał ominąć Rosję. Cały gaz będzie płynąć przez nasze terytorium, my będziemy go sprzedawać - komu zechcemy i za ile zechcemy. Przyda się też na miejscu, w kraju, turkmeński jest znacznie tańszy od naszego.

- Dalej - przerwał mu Kajdanowicz. - Kolejny punkt programu...

- Amerykanie skupują ropę zgodnie z planem. Cena mocno poszła w górę. Ktoś puścił przeciek, że Stern & Sons zaparkował gdzieś pełne tankowce. Pewnie sprawcą jest sam bank, ale dla nas to jeszcze lepiej. Dołączają kolejni spekulanci. Prawie nie ma już na świecie tankowców do wynajęcia. Analitycy przewidują, że cena skoczy nawet do stu dolarów za baryłkę.

- Pięknie, ale nie całkiem - cena gazu nie chce za bardzo rosnać. Co ty na to? - groźnie spytał Kajdanowicz.

- Będziemy czekać. - Blazow na krótką chwilę poczuł przewagę: Kajdanowicz nic nie wiedział o rynku paliw, nie znał rządzących nim mechanizmów.

- Rosja nie może czekać! Budżet nie może czekać! Emeryci nie mogą czekać na emerytury, a ludzie na ogrzewanie! - huknął dygnitarz.

Blazow nie zaprzeczył, nie ośmielił się zwrócić Kajdanowiczowi uwagi, że ci ostatni akurat mogą poczekać - jest lato.

- To kwestia tygodni - powiedział tylko. - Nie zdarzyło się jeszcze w historii, żeby cena któregoś z paliw prędzej czy później nie dogoniła innych. Węgiel też drożeje, podobno Chińczycy robią zapasy.

Kajdanowicz był wściekły, że pułkownik zauważył jego ignorancję, ale nie dał tego po sobie poznać. Zdradzały go tylko nieposłuszne mięśnie twarzy, które napinały się, poruszając okularami na nosie.

- Dalej... Kolejny punkt - zmienił szybko temat.

- Polska część planu przebiega bez większych zakłóceń. Związkowcy PPG zaczęli protesty.

- Widziałem w telewizji. Rzeczywiście, smacznie to wyglądało... - wtrącił Kajdanowicz z jadowitym uśmiechem.

- Polski rząd jest w trudnej sytuacji. Ma na głowie kryzys, konieczność przeprowadzenia reform, które ludzi zabolą, a do tego destrukcyjną opozycję,

gotową wykorzystać niezadowolenie, żeby wrócić do władzy. Czy są wybory, czy nie, wojna z opozycją trwa w najlepsze. Zresztą w Polsce ciągle mają jakieś wybory - mówił Blazow, cały czas zadzierając głowę, żeby patrzeć stojącemu nad nim Kajdanowiczowi w oczy, a nie w spodnie. - Rząd za wszelką cenę nie dopuści do długotrwałych protestów ulicznych. Rozwiązania siłowe też są wykluczone, więc szybko przyjmie postulaty związkowców. Da im tyle akcji PPG, ile zażądatają. Pośrednicy, którzy będą je skupować, są w pogotowiu.

I najważniejsze: polski premier nie wie nic o tajnej umowie, dającej Sovgazowi prawo objęcia dwudziestu procent udziałów w PPG, którą kiedyś podpisał polski rząd. Ale nawet jeśli się dowie, nic nie będzie mógł zrobić. Umowa jest prawnie doskonała. Wygramy sprawę przed każdym międzynarodowym trybunałem - Blazow przerwał, bolała go szyja.

- To wszystko? Żadnych problemów? - Kajdanowicz spytał z fałszywą troską.

Pułkownik zawahał się.

- W zasadzie żadnych.

Dygnitarz odwrócił się, podszedł do biurka. Tę krótką chwilę pułkownik wykorzystał, żeby dyskretnie rozmasować kark. Bolał jak cholera. Zanim jednak ręka Andriej a Błażowa wróciła na poręcz fotela, na stoliku przed nim wylądował z hukiem plik raportów. Pułkownik zmartwiał.

Kajdanowicz znów stał mu nad głową: - Mówisz, że nie ma żadnych problemów? - wysyczał. - Sprawiasz mi zawód, i to podwójny: bo problemy są, a ty albo ukrywasz je przede mną, albo nie wiesz, co się dzieje, i nie panujesz nad sytuacją. Mów od razu, co z tym zrobić. A jeśli nie wiesz? Tym gorzej dla ciebie.

Blazow wyciągnął rękę po papiery, ale zaraz ją cofnął. Plik raportów rozłożył się na blacie jak talia kart i bez trudu mógł przeczytać tytuły i zakreślone przez dygnitarza akapity. Szybko przebiegł wzrokiem po dokumentach.

Szef Służby Bezpieczeństwa Turkmenistanu, były oficer KGB, został zdymisjonowany przez nowego prezydenta.

W najbliższym czasie Aszchabad ma ogłosić przetarg na budowę rury, która pozwoli eksportować turkmeński gaz do Europy, omijając Rosję. Jednocześnie Turkmenistan nie podpisze z Rosją umowy o budowie nowej rury. Oznacza to poparcie dla omijającego Rosję projektu Nabucco popieranego przez USA i Unię Europejską.

Wywiad donosi, że tajna korespondencja do Sovgazu, dotycząca akcji Alfa, została przejęta przez obce służby. Prawdopodobnie jest w posiadaniu Polaków.

Zapadło ciężkie milczenie. Wreszcie pułkownik przemówił, starając się zachować spokój i pewność siebie. - W sprawie Turkmenistanu to plotki, fakty prasowe, pewnie z inspiracji obcych służb - powiedział, ale lekkie drżenie głosu, ledwie mała wibracja, sprawiło, że nie był przekonujący.

- A jeśli nie? - wycodził groźnie Kajdanowicz.

- Mam plan awaryjny. Sprawdzony w Możejkach. W turkmeńskich sieciach przesyłowych gazu i w instalacjach wydobywczych wybuchnie po kolei kilka pożarów. Zmiękną.

Dygnitarz spojrział czujnie na Błażowa, a potem warknął:
- Możesz odejść! - i wrócił za biurko.

Błażow odwrócił się i z trudem powstrzymując nogi, które chciały biec, ruszył w stronę drzwi. W progu zatrzymał go głos Kajdanowicza.

- Jeszcze jedno. Masz odzyskać lub zniszczyć tajną korespondencję, którą pozwoliliście sobie zabrać. I dopaść tych, którzy ją sprzedali Polakom. Ma nie być żadnych śladów.

Pułkownik się odwrócił. - Tak jest - odpowiedział.

- Co do szyfru, to przeciek nastąpił tu, w Moskwie

- podkreślił, licząc, że to poprawi jego położenie.

- Nasz człowiek w Warszawie zajmuje się sprawą. Na razie Polacy nie mają pojęcia, jak się do niego zabrać. Namierzył też złodziei. Dopadnie ich. Jednego, Rosjanina, już dopadł.

W drzwiach gabinetu pojawił się Saszeńka. Droga pułkownika Błażowa do samochodu trwała całe wieki. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Rozdział 221.

Warszawa

Drzwi do Sali posiedzeń rządu, wysokie na kilka metrów, otwierały się powoli. Klamkę ciągnęła ręka szefa rządu wyprężona do góry niemal pionowo. W progu stanął premier Marian Kamiński. Nieliczni zebrani, ledwie kilka osób z najwyższego kręgu władzy, patrzyli na niego z nie do końca ukrywanym rozbawieniem.

Premier nienawidził tej chwili. Nienawidził tych drzwi, ogromnych drzwi z klamką zamocowaną tak wysoko, że gdyby jakiś złośliwiec umieścił ją jeszcze kilka centymetrów wyżej, premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej musiałby podskakiwać, by jej dosięgnąć...

Kamiński był wzrostu raczej niskiego, ale przecież nie karłem. Dlatego trudno mu było zapanować nad złością. Przez wieki - zrządził w myślach - budowniczywie pałaców, ale i wiejskich chałup umieszczali górną framugę drzwi tak nisko, że biorąc nawet poprawkę na mizerny wzrost naszych przodków, widać wyraźnie, jaki był cel tego zabiegu: każdy wchodzący musiał pochylić głowę przed gospodarzem. A tu? I gość, i gospodarz podskakują! - irytował się. Dlatego nie lubił zebrań w sali posiedzeń.

Nie zamykając już drzwi na klamkę, premier spojrział groźnie na zebranych: - Przejdźmy do saloniku,

sprawa trudna, tam będzie wygodniej - powiedział i wskazał gościom drogę.

Zagłębili się w skórzanych, pikowanych fotelach według rangi: premier, obok niego wicepremier; naprzeciw nich półkolem: szef rządowego klubu parlamentarnego i ministrowie: spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych, a na końcu - gospodarki.

- Panowie, widzieliście, co się tu działo. - Premier wskazał głową okno wychodzące na ulicę. - Janek, zreferuj sprawę - zwrócił się do wicepremiera i najbliższego doradcy.

Spotkanie było nieformalne, a zgromadzeni w większości dobrze się znali. Nie było protokołowane.

- Pamiętajcie na pewno, że w ramach ustawy załódze prywatyzowanego przedsiębiorstwa należy się pakiet akcji zwanych pracowniczymi - zaczął merytorycznie. - I tak też jest z PPG - pracownicy już je dostali. Większość nie czekała na dopuszczenie tych akcji do obrotu na giełdzie i na dnie bessy posprzedawała je pośrednikom za marne grosze. Te akcje drożeją, za jakiś czas będą zapewne warte dwa razy więcej. Pracownicy już to wiedzą i teraz domagają się kolejnej puli - efekt widzieliście za oknem.

- Jaka jest struktura akcjonariatu tej spółki? Możemy im coś dorzucić? - premier pochylił się nad stolikiem ustawionym między fotelami i wziął garstkę orzeszków.

Minister gospodarki nie zdążył odpowiedzieć na pytanie. Wyprzedził go szef MSW: - A po co dorzucać? - zachnął się. - Nagłośnić chłopską pazerność w telewizji i rozpędzić towarzystwo. Myślicie, że sami to wymyślili? Pewnie steruje nimi opozycja,' żeby nas przyszpilić. Obrońcy ludu pracowniczego, cholera! Dorzucisz - znów wydadzą na plazmę, żeby telenowełe oglądać, i przyjdą po jeszcze. To się szantaż nazywa.

- W telewizji publicznej nie da się nagłośnić

- rzucił wicepremier. Podszedł do antycznej komody o marmurowym, jasnym blacie, stojącej w rogu pokoju, i wyjął butelkę wina. - Tam rządzi opozycja

- powiedział, mocując się z korkociągiem. - A telewizje prywatne nie będą zainteresowane. Dla mediów to nie jest *news*. Zbyt skomplikowane... - Pochylił się, ścisnął butelkę stopami obutymi w szyte na miarę oksfordy, pociągnął korkociąg. Korek wyskoczył z głośnym młaśnięciem. - Media oleją wszystko, czego nie da się opisać w dwustu znakach, tak żeby krowa zrozumiała. - Wlał wino do kieliszka i odstawił butelkę.

- Janek, nalej i mnie! - poprosił premier.

- Nie powinniśmy nic dorzucać - wreszcie przebił się głos ministra gospodarki. - Budżet ma z PPG porządną dywidendę. Ten chciwy sknerus - miał na myśli nieobecnego na spotkaniu ministra finansów

- zabrał samotnym matkom pieniądze z Funduszu Alimentacyjnego, bo dziura w budżecie, a teraz my tę kasę rozdamy działaczom związkowym? Jak to będzie wyglądało?

Wicepremier rozparł się z kieliszkiem w fotelu, podniósł szkło do nosa, sprawdził aromat, potem przechylił kieliszek w jedną, w drugą stronę - patrzył, jak wino spływa po szklanych ściankach. - Ale samotne matki nie przyjdą tu z kilofami i łomami, a robotnicy przyjdą - powiedział powoli z przekorą w głosie. - Płonące opony świetnie się komponują

w kadrze telewizyjnym, a my mamy kryzys na świecie i do zrobienia reformy, które ludzie odczują w portfelach. Przypominam uprzejmie, że za jakiś czas znowu będą wybory...

Zamilkł na chwilę, z politowaniem popatrzył na ministrów, a potem mówił dalej: - Panowie, wy nie rozumiecie mediów za grosz, a to analfabetyzm u polityka! Obcięta dopłata do alimentów nikt, poza matkami, nie zauważył, bo to nie daje się pokazać. To nie jest *news*! Ale już bijatyka pod URM-em, barwnie pokazana: zaciśnięte robotnicze pięści, kukła premiera... O! To jest coś! Taka natura mediów... - Odstawił kieliszek na stolik. - Dlatego, drodzy koledzy, pięćdziesiąt trupów na drogach w ciągu weekendu nikogo specjalnie nie zainteresuje, ale pięćdziesiąt ofiar wypadku autokaru z pielgrzymami - to dopiero wydarzenie! Nawet na żałobę narodową! Wszystkie zwłoki w jednym miejscu, ładny pejzaż. Rozumiecie? - Potoczył wzrokiem po zebranych. Najwyraźniej chciał im zaimponować.

- A jak myślicie - ciągnął dalej - ilu polskich górników musi zginąć w kopalni, żeby media to podały na czołówkach? Wystarczy trzech. A ilu Chińczyków? Kilkuset! Mniej nie biorą na pierwszą stronę! Hallooo! Obudźcie się wreszcie!

- Spokojnie, panowie - premier schłodził atmosferę. - Czy dowiem się wreszcie, jaka jest struktura akcjonariatu PPG? To firma strategiczna. Musimy być zabezpieczeni przed wrogim przejęciem. Rosjanie z Sovgazu wszelkimi sposobami, krok po kroku, przejmują przemysł paliwowy na Węgrzech i w Czechach. Nie wolno nam do czegoś takiego dopuścić. - Premier chodził nerwowo po gabinecie. - Czy w tej sytuacji możemy coś dorzucić pracownikom, którzy pewnie znów te akcje sprzedadzą? Komu je sprzedadzą?... No, słucham! - już wprost zwrócił się do szefów gospodarki i MSW.

- Skarb państwa ma zdecydowaną większość udziałów w PPG - zaczął na okrągło minister gospodarki, bo szef MSW nie wrywał się do odpowiedzi. - Jeśli pulę pracowniczą powiększy się nieznacznie, nie będzie żadnego zagrożenia dla interesów państwa. Trzeba to jeszcze dokładnie wyliczyć.

- W czym posiadaniu są teraz akcje, które już sprzedali pracownicy? - drążył premier.

Zapadła cisza. Milczał też szef MSW, co ministrowi gospodarki przyniosło ulgę. Premier wykrzywił wargi i pokręcił głową wyraźnie niezadowolony. Podszedł do stolika z interkmem: - Proszę wprowadzić majora - powiedział do mikrofonu, a potem zwrócił się do zebranych: - Zaprosiłem przedstawiciela UOP, żeby was wspomógł, na wypadek, gdybyście nie mieli czasu przygotować się do tego spotkania - rzucił sarkastycznie.

Otwarcie wysokich drzwi nie sprawiło majorowi większych problemów. Podszedł do zebranych, stanął w pozycji na baczność.

- O, widzę, że bronicie racji stanu z dużym zapałem i ofiarnością - premier wysilił się na powitalny żart, gdy dostrzegł opatrunek na szpakowatej głowie oficera.

- To upadek z konia, ale też ku chwale ojczyzny, panie premierze. - Major wcale nie był stremowany obecnością najwyższych osób w państwie.

- Poprosiłem pana, by zasięgnąć opinii specjalisty w kwestii naszego bezpieczeństwa energetycznego.

Rozważamy tu powiększenie puli akcji pracowniczych PPG - wprowadził majora w temat spotkania. - Jaką część udziałów spółki, pana zdaniem, skarb państwa może jeszcze bezpiecznie oddać pracownikom, żebyśmy nie obudzili się z ręką w nocniku Sovgazu?

- Jeśli dostaną łącznie dwadzieścia pięć procent akcji, to bezpieczeństwo państwa nie będzie zagrożone, nawet jeśli je sprzedadzą - wyrecytował major. - Większość udziałów nadal zachowa skarb państwa. Zostanie jeszcze kilkuprocentowy margines na wszelki wypadek - major był konkretny. Ministrowie patrzyli na niego bez życzliwości.

- Czy naszym służbom wiadomo, kto odkupił od pracowników akcje z pierwszej puli. Nie Sovgaz czasem? Przez jakiegoś pośrednika?

- Całą sprawę monitorowaliśmy na bieżąco - zapewnił major. - Akcje trafiły do kilkuset firm z różnych państw. Oczywiście, niektóre z nich zarejestrowano w rajach podatkowych na podstawione osoby. To w wielu krajach jest zgodne z prawem. Jednak te akcje są tak rozproszone, że nie widzimy żadnego zagrożenia. Kupującymi byli z całą pewnością różnego rodzaju spekulanci, sprawdzaliśmy. Część firm jest powiązana z bankami ze względów podatkowych albo strukturalnych.

Premier wstał, podał rękę oficerowi: - Dziękuję, majorze. I niech pan uważa na konie! Takie tęgie głowy jak pańska są Polsce bardzo potrzebne.

Rozdział 227.

Krzemowa Dolina, USA

Czarny mercedes CLS zatrzymał się na pustym parkingu, tuż przed drzwiami niepozornego budynku. - Jesteśmy na miejscu - powiedział do Maksa Eagleman, odchylając się do tyłu z przedniego siedzenia auta.

Maks wysiadł powoli i rozejrzał się niepewnie: żywego ducha wokół. Sąsiednią parcelę, z lewej strony budynku, porastały chaszczki, gdzieś zarzucone zwałami gruzu i śmieci. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł blaszaki przemysłowych hangarów. Z drugiej strony parkingu, w niewielkiej odległości, straszyły ruiny opuszczonych magazynów, których ściany poczerniałe od dymu i ognia mówiły, że przyczyną ruiny był pożar. Panującą tu ciszę zakłócił nagle stukot kół pociągu przetaczanego na bocznicę kolejowej po drugiej stronie ulicy.

Maks spojrzał niepewnie na Eaglemana, który tymczasem wysiadł z auta, podszedł do drzwi i wystukiwał długi kod na klawiaturze alarmu. Metaliczną fasadę budynku, do którego za chwilę mieli wejść, zdobiła jedynie gruba tafla szkła czy pleksi ustawiona w pionie, nieco wyższa tylko niż sama blaszana konstrukcja. Miała dodawać budynkowi lekkości. Typowa architektura przemysłowa XXI wieku. Maks odetchnął głęboko. Na szczęście to nie jakaś opuszczona

fabryka, gdzie bez skrępowania odstrzeliwuje się niepotrzebnych świadków - pomyślał z ulgą, ale nie pozbył się niepokoju.

Nowoczesny blaszak stał przy jakiejś ulicy na jakimś pustawym przedmieściu jakiegoś miasta, na jakimś kontynencie. Maks mógł być pewien tylko jednego: nadal był na planecie Ziemia.

Podróż samolotem trwała kilkanaście godzin, Maks czuł, że samolot kilka razy zmieniał kurs. Mógł więc teraz znajdować się wszędzie, niemal w każdym zakątku globu, gdzie zbudowano by taki industrialny blaszak: nadal gdzieś w Europie, Azji, USA albo, nie daj Boże, w głębokiej Rosji. A może całkiem gdzie indziej?

Nie można powiedzieć, żeby Eagleman, David i inni - strażnicy czy przewodnicy raczej - specjalnie ukrywali przed Maksem i Joanną, dokąd ich zabierają: nie zawiązali im oczu, nie przewozili zamkniętym samochodem. Ale też nie byli zbyt gadatliwi. Maks słyszał tylko: „nie pytaj”, „nie teraz, później się dowiesz”, „powiemy ci we właściwym czasie”.

Zaraz po tym, jak David zabrał Joannę do samochodu z przyciemnionymi szybami, on, Maks, z Eaglemanem wsiedli do drugiego. Nie protestowali, że ich rozdzielają, bo i po co? Więcej Joanny nie zobaczył. Gdzie teraz jest? Co z nią się dzieje? Żyje? Eagleman obiecywał, że włos im z głowy nie spadnie, ale czy można mu wierzyć?

A tak wiele mieli sobie z Joanną jeszcze do wyjaśnienia. Maks nie był w stanie ogarnąć całej tej burzy, która się wokół nich przetaczała i miotła nimi bez uprzedzenia. Nie potrafił nazwać uczuć, które nim zawładnęły. Wydarzenia rozgrywały się zbyt szybko, by mógł w ogóle czuć coś innego niż strach.

A Joanna? Czym była ta wątła i poplątana nitka, która ich związała? W samolocie usiedli w oddzielnych rzędach i omijali się wzrokiem. Tylko od czasu do czasu, na przemian, pytali

Eaglemana, czy lecą do Ameryki, jak obiecywał, ale on już nawet tego nie chciał potwierdzić.

Po kłótni na lotnisku w Szymanach, kiedy okazało się, że Joanna podejrzewa Maksa, że jest rosyjskim szpiegiem, podczas gdy sama zarzekała się, że tylko na chwilę uległa szantażowi oficera polskich służb, zamilkli. I nie odezwali się do siebie ani słowem. Mieli o czym myśleć.

Wnętrze hali przypominało szrot części komputerowych albo zaplecze lombardu RTV przy ulicy Puławskiej w Warszawie, gdzie od czasu do czasu zdarzało się Maksowi zastawiać jakieś dobro, kiedy potrzebował innego dobra - wyższego rzędu, czyli chleba i piwa.

Ale żeby to zauważyć, Maks musiał na chwilę zatrzymać się w progu i przyzwyczać oczy do panującego wewnątrz półmroku. Słabe światło przesączało się tylko przez małe okienka umieszczone co kilka metrów tuż pod stropem hangaru. Natomiast drugi koniec długiej hali oświetlony był ostrym światłem halogenów niczym scena koncertowa albo plan filmowy.

Poruszali się w jego kierunku powoli i ostrożnie, zmuszeni kluczyć bezustannie między porozrzucanymi wszędzie częściami komputerowymi, obudowami urządzeń, zwojami kabli. Eagleman, drobiąc krótkimi nóżkami, torował Maksowi drogę z zadziwiającą zręcznością, jakby całą młodość spędził na narciarskich stokach.

Gdy zbliżyli się wreszcie do jasno oświetlonego końca hali, zobaczyli dwóch mężczyzn o śniadych twarzach, pochylonych nad ekranem komputera. Podeszli bliżej. Mężczyźni jednak przerwali pracę dopiero wtedy, gdy Eagleman położył na blacie stołu laptop Maksa, który trafił w to dziwne miejsce aż z warszawskiego Mokotowa. Z zaciekawieniem spojrzeli na sprzęt, potem na przybyszów. Maksowi zdało się, że już ich gdzieś widział.

- Rajiv Khan i Basim Akram - zaczął prezentację Eagleman. - To wybitni programiści samego SoftTe-chu. W ramach, powiedzmy, biznesowej współpracy z bankiem Stern & Sons firma oddelegowała ich, żeby nam pomogli w tej trudnej sprawie. Ale panowie chyba się znają?

- Hi, Maks - rzucił Rajiv, a jego śniadą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Poprawił turban, który łobuzersko zsunął mu się na bok głowy.

- Hi - odpowiedział Maks i już wiedział, skąd ich zna: długi jak tyka Rajiv i niski, krępy Basim to numer trzy i pięć z konkursu SoftTechu! Wtedy, razem z Siergiejem, rozłożyli ich na łopatkach. A więc Eagleman mówił prawdę. Jesteśmy w Ameryce, w Dolinie Krzemowej! Teraz już go nie zabijają! Raczej.

- Jak się ma twój przyjaciel... jak mu było, ten Rosjanin, Siergiej? - spytał Rajiv, szukając wzrokiem potwierdzenia u Basima, którego ciemne, poskręcane w anielskie loki włosy opadały aż na ramiona, szerokie i umięśnione.

Maks spojrzał na Eaglemana. Ten przyzwolił ruchem głowy. - Siergiej nie żyje - odpowiedział.

- Szkoda - pokręcił głową Basim - on był najlepszy. A pamiętasz, jak...

- Panowie, do rzeczy! - w pół słowa przerwał mu Eagleman. - W laptopie jest rosyjski szyfr - zwrócił się do Rajiva i Basima. - Trzeba jak najszybciej go złamać. Maks wprowadzi was w szczegóły. Nie możecie stąd wychodzić. Wszystko, co będzie potrzebne, dostaniecie na miejsce. Wszystko oprócz pańienek. Macie ochronę - niewidoczną, ale dobrą. Możecie bezpiecznie pracować. Nic wam nie grozi. Powodzenia. - Eagleman odwrócił się, szybkim krokiem ruszył ku wyjściu i zaraz zniknął za stertami komputerowego złomu.

Maks spojrział uważnie na kolegów. Zastanawiał się, jak zacząć, żeby nie zrobić im przykrości. - Trzeba szybko zbudować maszynę, która da radę tej ruskiej francy - powiedział śmiało. - Siergiej już ją napoczął, zanim go zabili. Przygotowanie takiego komputera zajmie nam ledwie dzień, dwa. Popatrzcie na ten schemat, jest tu kilka moich nowych patentów. - Maks wyciągnął z kieszeni spodni przybrudzoną i pomiętą kartkę, na której widać jeszcze było ślady brudnych palców Fredka Sokoła.

Rajiv zrobił miejsce na stole, zamaszystym ruchem ręki przesuając podzespoły rozrzucone w nieładzie, po czym dłonią rozprostował papier na blacie. Przez dłuższą chwilę uważnie przyglądał się rysunkom. Podniósł w końcu głowę, spojrział z sympatią na Maksa i rzekł zakłopotany: - Wybacz, stary, ale coś takiego mieliśmy już dwa lata temu. Tam stoi, będzie w sam raz. - Głową w turbanie wskazał komputer stojący na regale w rogu sali. - Teraz pracujemy nad kolejną generacją.

Maks milczał. Sięgnął po kartkę, z pedantyczną dokładnością złożył ją na czworo i wsunął do kieszeni spodni.

Rozdział 233.

Nowy Jork

Palli Eagleman podszedł do biurka prezesa Goldmine'a i bez słowa położył przed nim wydruk zawierający ledwie kilka linijek tekstu, który przykrył rozłożone na blacie giełdowe wykresy i rekomendacje inwestycyjne zespołów analityków banku Stern & Sons. Prezes podniósł głowę, spojrzał na przyjaciela, który w tak niecodzienny sposób przerwał mu pracę.

- Co to jest, Paul? - spytał, choć wiedział, że sprawa musi być ważna.

- Czytaj - rzucił Eagleman i nieproszony rozparł się w fotelu.

Prezes wziął kartkę do ręki, wyprostował plecy na oparciu fotela i szybko przebiegł wzrokiem tekst. Nie był długi.

1. Amerykanie zgodnie z planem skupują ropę.

2. Operacja w Polsce rozpoczęta. Uruchomić związkowców. Cel: przejęcie PPG (Polskiego Przedsiębiorstwa Gazowego).

3. Usunięcie prezydenta Turkmenistanu w toku. Alfa

Goldmine rzucił kartkę na biurko, nic nie powiedział. Myślał.

Paul nie przerywał mu tej chwili. Wiedział, że tego nie lubi najbardziej. Czekał.

- Co to jest, Paul? - Goldmine spytał jeszcze raz, choć już się domyślał. Jego twarz stężała na chwilę. Hamował gniew.

- Szyfr rosyjskich służb specjalnych - odpowiedział spokojnie Eagleman, w ogóle niezrażony, nieraz już ćwiczył takie sytuacje.

- Drażyłeś tamtą sprawę bez mojej wiedzy. Wiesz dobrze, że tego nie znoszę...

- Wiem. Ale zostawiasz mi dużą swobodę, a ja umiem z niej rozsądnie korzystać. Dlatego ze mną pracujesz - inteligentnie zauważył Eagleman.

Napięta twarz Goldmine'a rozluźniała się powoli. - Ach, Paul. Jak ja cię czasami nienawidzę! - powiedział, kręcąc głową, trochę z dezaprobatą, a trochę z niedowierzaniem.

Jeszcze raz wziął z biurka kartkę z wiadomością, jeszcze raz przebiegł wzrokiem tekst i spojrzał na Eaglemana.

- Dawaj szczegóły - powiedział już spokojniej do przyjaciela.

- Nasz zespół w Krzemowej Dolinie rozszyfrował specjalną przesyłkę adresowaną prawdopodobnie do Sovgazu albo na Kreml. Jak łatwo się domyślić, dotyczy jakiejś operacji kierowanej przez nadawcę depeszy. Od razu muszę ci powiedzieć, że nie wiemy, kim jest Alfa.

- Jak widzisz, i to cię złości - kontynuował Eagleman - staliśmy się elementem agresywnej rosyjskiej gry. Gdybym chciał cię zezłościć jeszcze bardziej, powiedziałbym: współnikiem Moskwy. Pamiętasz? Przestrzegałem cię!

- Nie wymądrzaj się, Paul! - Goldmine pogroził mu palcem. - Na ropie z tankowców zarobimy jakieś dwa i pół do trzech miliardów dolarów. To twoim zdaniem mało? Nie warto się wypiąć, bo dupa zaboli? Paul, zlituj się!

Eagleman milczał, ale w sprawie wypięcia nie miał pewności.

- My tu będziemy rozdawać karty, nie martw się - mówił dalej prezes. - Jesteśmy jak kot, co zawsze spada na cztery łapy, a do tego jeszcze z cudzym portfelem. - I pamiętaj, żeby sprzedać ropę przed końcem jesieni! Wtedy zawsze spada: czy chcemy, czy nie. Jednocześnie kupuj już dziś kontrakty terminowe na wzrost cen gazu: damy Rosjanom, co chcieli, i drugi raz zarobimy. - Prezes Goldmine uśmiechnął się szatańsko, policzki lekko mu się zaróżowiły.

Przybrał mentorski ton, choć przecież wiedział, że Paul Eagleman na rynku energii zna się o niebo lepiej niż on sam: - Gdy zaczniemy sprzedawać ropę, gaz pójdzie w górę. Ceny energii zawsze wracają do równowagi - przecież czy palisz węglem, czy mazutem, ciepło jest takie samo. Rynki finansowe są jak przyroda, staruszku - my jej czasami tylko trochę pomagamy. A w lutym, Paul, jedziemy w drugą stronę!

- Okay, boss. Wygląda na to, że w jednym miałeś rację: Rosjanom chodziło o podbicie cen gazu - Eagleman dopieścił szefa. - Ale grają nie tylko o gaz. To jest plan całkowitego uzależnienia dużej części Europy od Rosji - zrewanżował się mocnym ciosem w słaby punkt prezesa. Wiedział, że nie lubi Rosjan, że jego rodzina przyjechała do Ameryki spod Wilna. Dlatego czym prędzej punktował dalej:

- Prezydent Turkmenistanu, który chciał urwać się Rosji ze smyczy i obiecywał Europie eksport gazu

planowanym gazociągiem Nabucco - już nie żyje. Oficjalnie miał zawał. Jest nowy prezydent, prawdopodobnie sterowany z Moskwy. Po uzyskaniu wyłącznego dostępu do turkmeńskich złóż, który sprezentują Kremlowi marionetkowe władze w Aszchabadzie, cały gaz popłynie do Rosji. Rosjanie będą mogli sprzedawać go, komu zechcą i za ile zechcą

- lub odciąć nieposłuszne kraje. Ale do tego konieczne jest przejęcie sieci przesyłowych na Zachód. Dlatego muszą mieć tę polską firmę - PPG, monopolistę w przesyłce gazu przez Polskę.

Gdy Eagleman skończył, prezes siedział przez chwilę zasepiony i zaplatał na palce gumkę recepturkę. Od kiedy rzucił palenie, zawsze tak robił w czasie intensywnego myślenia. Nie trwało to jednak długo.

- Paul, mimo wszystko, lubię cię coraz bardziej

- Goldmine uśmiechnął się szeroko i rozparł władczo w fotelu, zadowolony z pracy wykonanej przez Eaglemana i swoich pomysłów.

- Obiecuję! - Podniósł rękę do góry. - Od dzisiaj nie będę mówił, że jesteś mały, bo jesteś wielki. Będę mówił, że jesteś krótki - zażartował dość nieprzyjemnie, ale Paul nie był przesadnie wrażliwy na własny temat.

- Na czym można jeszcze w Polsce zarobić?

- Goldmine spytał nagle, zmieniając temat.

- Nie rozumiem? - Eagleman był zaskoczony.

- No, Paul, nie żartuj! Co tam będzie się działo w najbliższych latach? Jakies wielkie fuzje, prywatyzacje? Co?

- Może być fuzja największego ubezpieczyciela z największym bankiem, ewentualnie kolejne prywatyzacje. Polacy mają dziurę budżetową jak lej po bombie, rząd musi jakoś zdobyć pieniądze. - Eagleman powoli zaczynał rozumieć, o co chodzi szefowi, ale niezmiernie chciwość Goldmine'a przerażała nawet jego. - Nic z tego - powiedział, czytając w

myślach prezesa. - U Polaków mamy przechlapane po naszym ostatnim ataku na złotego. Nic w Polsce nie wytargujemy.

- Spokojnie, Paul, spokojnie... Grzesznik może się przecież nawrócić. Trzeba pomóc bliźnim w potrzebie. Czyż nie? Zajmij się tym inteligentnie. Mamy kogoś na miejscu, kto by ci pomógł? - spytał ze szczerą troską.

- Mówiłem ci, jest tam nasz doradca, były minister. No ten, co dmucha kelnerkę... - przypomniał Eagleman.

Goldmine skrzywił się: - Kogo wy zatrudniacie? Weź go, nie ma wyjścia. Jeśli coś schrzani - wywal na zbitą mordę, ale jeśli dobrze się spisze, kup mu willę z basenem - i też wywal na pysk. I wymyśl coś w sprawie Turkmenistanu, tam na pewno da się zarobić.

Rozdział 238.

Cypr, góry Troodos

W oczy świeciło cypryjskie słońce. Pułkownik Andriej Blazow z wielkim wysiłkiem rozerwał powieki mocno jeszcze sklezione meczącym, niespokojnym snem. Podniósł głowę i powoli zwłókł się z łóżka.

Wyjrzał przez okno domostwa. W zapuszczonym oliwkowym gaju buszowały słoneczne promienie, ale niżej, na zboczach i w dolinach gór Troodos, ciągle zalegały ciężkie mgły. Z zazdrością pomyślał o turystach, którzy wygrzewając się na gorących plażach Larnaki, widzą mgiełki daleko na horyzoncie.

Wrócił do łóżka. Czuł ciężar swojego ciała. I obojętność. Słyszał szum w uszach, w głowie coś pulsowało. Stuk klawiatury komputera zza ściany sprawiał mu fizyczny ból. Czyżby nawrót choroby? Pamiętał, że wkrótce potem pojawia się lek. Nieokreślony, obezwładniający jeszcze mocniej. Bał się tego. Bał się bardziej niż nagłej śmierci, tak zwyczajnej w jego profesji.

Już raz boksował się z chorobą. Dawno temu. Wkrótce po tym, gdy pochował Annę i malutką Wandzię. Ich imion nie wyryto na pamiątkowej tablicy poległych pod wieżą telewizyjną w Wilnie.

Zderzenie samochodu z czołgiem... Co za dziwaczna śmierć, gdy wokół świszczą kule. Wandzia miałaby teraz dwadzieścia lat.

Stanowczo odpędził wspomnienia. Trzeba wziąć się w garść i dokończyć pracę! Czy zdoła? Czy mu pozwolą?

Wczorajsza rozmowa z Kajdanowiczem w Moskwie uświadomiła mu z całą siłą, że nie będzie skrupułów ani litości, jeśli nie wykona zadania. Nie będzie okoliczności

łagodzących. Wszystko albo nic. Sto procent skuteczności. Ma ostatnią szansę.

Komplikacje, które się pojawiły, nie wynikały z jego zaniedbań. Jak zawsze ktoś czegoś nie dopilnował, ktoś coś przeoczył - stało się, szyfr wyciekł. Tak bywa. Wszędzie. W wielkiej korporacji, jaką są służby specjalne, też. Tylko ignorantom wydaje się, że są wszechmocne. Gównio wszechmocne! Wszechmocna to jest ludzka głupota i zawodność sprzętu.

Nic to. Trzeba poprawić i już. Człowiek w Warszawie da sobie radę: ze związkowcami sprawę załatwił w mig. Blazow nie znalazł go, ale wiedział - to kawał fachowca.

Turkmenistan weźmie na siebie. Wszystko ma przygotowane. Akcje podpaień przeprowadzał nieraz: mały ładunek w odpowiednim miejscu i już się rurociąg hajcuje - przecież to gaz, niewiele trzeba. Efekt pioruna, zero śladów. Wtedy nasz człowiek naciśnie Turkmena raz i drugi, znał go od dawna - ma facet siłę przekonywania. Po trzecim fajerwerku prezydent zgodzi się na wszystko.

Pułkownik rozgrzał się i zmobilizował tymi myślami. Poczł się lepiej. Szum w głowie ustał. Spojrzał na zegarek: była dziesiąta. Wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł z sypialni.

- Skontaktuj się z Aszchabadem, będę przesyłał wiadomość - rzucił sprężyscie do Olega.

- Nie mamy z nimi kontaktu od wczoraj. - chłopak bezradnie rozłożył ręce. - Ciągłe próbuję, ale co chwila są przerwy w łączności, połączenie z centralą całkiem siadło. Albo awaria satelity, albo nasz konwerter nawala, to mu się już zdarzało. - Oleg przeciągnął się na krześle. - Pojadę do miasta po nowy, na wszelki wypadek. Rozruszam się trochę. Pozwoli pan, pułkowniku?

- Jedź, ale wracaj zaraz. Muszę mieć łączność z Aszchabadem. Masz być z powrotem najpóźniej po jedenastej - zgodził się niechętnie Blazow.

Cygaro Cohiba wydało z siebie ostatnie tchnienie dymu. To znak, że minęła godzina. Andriej Blazow nie potrafił palić cygar tak długo jak rekordziści - im nie gasną nawet przez dwie godziny, ale i jego wynik był całkiem niezły.

Podniósł się z kanapy, odłożył plik anglojęzycznych cypryjskich gazet. Spojrzał na monitor: widocznie system znów zaczął działać - do skrzynki wpadła wiadomość.

Blazow poczuł przyływ energii. Usiadł przed komputerem. Na ekranie ukazała się paczka przewiązana wstążką. Wstukał swój tajny kod Alfa. Zawartość paczki wlała się na ekran. To było potwierdzenie odbioru wiadomości. Z Aszchabadu, ale od kogoś, kogo nie znał!

*POTWIERDZAMY ODBIÓR WIADOMOŚCI OD ALFY O
NASTĘPUJĄCEJ TREŚCI:
ROZPOCZĄĆ OPERACJĘ BIHAM.*

Blazow zbladł. Co to jest operacja Biham?! Przecież niczego nie wysyłał! Ktoś wydaje rozkazy w jego imieniu nieznanym mu ludziom! Pułkownik bezwiednie chodził wkoło po pokoju. Nawet nie liczył kroków.

Ale dlaczego potwierdzenie odbioru trafiło do mnie? - zastanawiał się. - Jakaś prowokacja? Mało prawdopodobne. A może błąd systemu, który źle skierował pocztę przeznaczoną nie dla mnie?

Gdzie jest Oleg? Już dawno powinien tu być.

Blazow powoli składał w całość drobne z pozoru fakty: nagłe wezwanie do Moskwy, odłączenie od centrali, zerwanie połączenia z człowiekiem z Aszchabadu, nagły wyjazd Olega do miasta... Szpiegował go czy już nie żyje? Może jedno i drugie? A Fiodotow, ten

durny Fiodotow, którego zwłoki znaleziono na plaży?
Natalia?

Ludzie, z którymi pułkownik kontaktował się osobiście w czasie akcji, zniknęli. Blazow zrozumiał, że od początku pisano mu rolę bohatera, który też rozplynie się we mgle po wykonaniu zdania. Od pierwszego spotkania z Kajdanowiczem nie miał żadnej szansy. Teraz dygnitarz uznał, że już nie warto na niego stawiać. Że popełnił błędy, że sprawy w Turkmenistanie idą źle, że jego plan ataków na gazociągi nie wystarczy... Że jest zbyt miękki?

Kajdanowicz ma swój własny plan i innego wykonawcę! - myślał logicznie. A więc i mnie dopadną prędzej czy później. To tylko kwestia czasu. Zegar tyka. A gdy on, Andriej Blazow, zniknie, nie zostanie najmniejszy ślad po prawdziwym zleceniodawcy. Zleceniodawcą na wieki wieków, amen, będzie nikomu nieznanemu agent Alfa. Szatański plan.

Ale co to jest Biham? - zastanawiał się gorączkowo. - Biham... Biham. Biham! Tak ma na imię wnuczka nowego prezydenta Turkmenistanu! Jezu! Chcą porwać dziecko!

Rozdział 243.

Afganistan, Kabul, 27 grudnia 1979

Pojazd pancerny z afgańskimi znakami trzęsie się niemiłosiernie na dziurawych ulicach Kabulu. Twarda ławka, podskakując do góry, boleśnie uderza w tyłek, celnie trafia w kość ogonową. Porucznik Andriej Blazow dyskretnie odrywa jedną rękę od automatu, który oparł kolbą na podłodze między stopami, i ściera pot z czoła. Spogląda na komandosów: nie on jeden się poci. Na dworze zimno, pod pancerzem gorąc, ale to nie dlatego... Nie tylko.

Długa kolumna pojazdów pancernych zajeżdża przed okazały prezydencki pałac o dwóch symetrycznych kopułach. Podczas przejazdu przez miasto nikt ich nie niepokoił. No bo i kto? Po co? Mają afgańskie wozy, afgańskie mundury. Ale i w mundurach radzieckiego Spacnazu daliby radę przejechać. Są przecież sojusznikami. Armia Radziecka wspiera z całych sił bezwzględny dla swoich przeciwników reżim Amina, mimo że ten nie grzeszy wiernością. Coraz śmielej patrzy na Zachód, na Amerykę.

Strażnicy otwierają bramę. To znak do ataku. Padają skoszeni seriami pocisków. Nie mieli szans na ucieczkę. Kolumna pancerna rusza gwałtownie, wypełnia dziedziniec, rozjeżdża się na boki w szyku bojowym, tworząc stalową zasłonę od strony pałacu. Z wozów wysypują się komandosi oddziału Alfa. Jest

ich kilkudziesięciu. Szybko i bez strat wbiegają do pałacu; obrońcy nawet nie zdążyli podejść do okien, załadować broni. Ostrzał z broni ciężkiej poszerza otwory okienne, wymiatając martwe ciała na korytarze.

Komandosi wyczyścili już parter budynku, wbiegają na piętro za pułkownikiem Bojarinowem. Ściany pałacu zwielokrotniają huk serii z broni maszynowej. Słychać tylko głos wystrzałów; krzyków i jęków rannych - nie.

Trzeba uważać! Mundury mogą zmylić, nie wszyscy dobrze się znają. Jeszcze ten długi korytarz i dopadną drzwi do saloniku, gdzie Amin obściskuje swoją kochankę. Z bocznych drzwi za zakrętem korytarza padają strzały, dwóch komandosów osuwa się na ziemię. Błazowa chroni posąg, od którego odbijają się kule. Obrońcy ostrzeliwują się, wybiegają na korytarz. Wszystko się miesza: kto jest swój, a kto wróg?! Strzelają na oślep. Pułkownik Bojarinow pada trafiony w głowę. - Dowódca nie żyje! - ktoś krzyczy. - Dalej! Dalej! - trzeba wykonać zadanie. Błazow wpada do saloniku. Amin na kanapie. Nawet nie zdążył spojrzeć na drzwi. Seria z automatu rysuje krwawy ślad na linii piersi prezydenta i pod biustem dziewczyny. Jego martwa ręka wysuwa się spod spódnicy.

Afganistan, Kaszam Kala, 1982

Kompania żołnierzy otoczyła wioskę. Nie byli przesadnie czujni. Nie spodziewali się oporu, liche zabudowania z kamienia przykryte płaskimi dachami wydawały się opuszczone. Czasem tylko do uszu żołnierzy docierały głosy zwierząt tłukących się po obejściach. Wyczuwały niebezpieczeństwo.

Ktoś by pomyślał, że to maruderzy: rozchełstane mundury, na szyjach chusty, kiedyś kolorowe, dziś poszarzałe od pyłu, czasem na nosie przeciwsłoneczne okulary, jakie nosił porucznik Rambo. Ale to nie byli maruderzy. To byli najlepsi z najlepszych w radzieckiej armii. Specjaliści. Od pacyfikacji.

Co to za wyczyn wejść do przysiółka i ukarać wieśniaków za ukrywanie bandytów albo donoszenie buntownikom? Niby żaden. Ale tak może myśleć tylko ten, kto nie ma pojęcia, na czym polega ta robota. I tylko ten, kto tego nie widział na własne oczy. Już samo przyglądanie się było męstwem - niewielu świeżaków wytrzymało.

Pewnie i pacyfikatorzy nie mogliby wykonywać tej, parszywej jednak, roboty - gdyby nie to, co sami kiedyś, na początku służby, widzieli.

Na przykład taki Kola, siedem wiosek na liczniku, przyglądał się kutasowi swego brata wciśniętemu między złote zęby, zanim Afgańcy poderżnęli mu gardło.

Albo Fiedka, pięć pacyfikacji, zdejmował z drzewa kapitana powieszzonego na własnych bebechach.

Giena, dziewięć pacyfikacji, ściągał Wierę, sanitariuszkę, z dyszla chłopskiego wozu.

Dlatego szli powoli w kierunku wioski i wiedzieli, co mają zrobić.

Najpierw granaty do kilku chałup - żeby trochę przetrzepać i wystraszyć. Niech się nie chowają, nie ma po co.

Do tych, którzy wybiegają - seria: trach, trach!

Potem chwila ciszy. Czekamy. Po jakimś czasie wyjdą. Zawsze wyłażą.

Wtedy dzielimy: najpierw idą mężczyźni i chłopcy - do kopania. Potem wszyscy do dołu.

Czas na kobiety i dzieci: stare do dołu, młode i dzieci na bok. Lejemy benzynę, nie za dużo, szkoda paliwa. Podpalamy.

Potem młode kobiety i dzieci. Kobiety na bok. A dzieci? - Dalej, wyciągać rączki! Benzyna, zapalki. Smród palonej skóry. Jęk dzieci. I kobiet.

Na koniec młode kobiety - idą bez protestu: hulaj dusza, niech się rusza!

I po wszystkim.

Afganistan, Kaszam Kala, kilka dni później, 1982

Wojskowy gazik kapitana Andrieja Błażowa zbliżał się w obstawie do wioski. Z drogi nie było widać żadnych śladów pracy pacyfikatorów. Nie zauważył też niczego, gdy wjechał między zabudowania. Niczego prócz dużego kwadratu świeżo zrytej ziemi na centralnym placu osady.

Ma przesłuchać jeńców na polecenie wywiadu. Zajmie to kilka dni. I choć domyślał się, co kryje powłoka świeżej ziemi i kamieni, starał się o tym nie myśleć. Ot, wojna. Wojna, która resztki człowieczeństwa wypala tak szybko i ostatecznie jak płonąca benzyna ciała afgańskich wieśniaków.

- Jeńcy jeszcze nie są gotowi. - Przysadzisty, zaróżowiony na twarzy od bimbrowy komendant tymczasowego aresztu pokręcił głową. - Zaczekajcie, odpocznijcie, pokażę wam kwaterę. - Poprowadził Błażowa w kierunku większej chałupy na skraju wioski.

- Jest tu major Kliczkow, tak, tak, ten Kliczkow, kapitanie. Specjalnie przyjechał, bo mamy atrakcję nie lada - mówił tajemniczo komendant, wyraźnie dumny z siebie i swojego aresztu. - Niech towarzyszu kapitan zgadnie, kogo mamy? - zawiesił głos. - No, zgadnijcie, towarzyszu? - zachęcał. W końcu machnął ręką: - I tak nie zgadniecie, bo nie da się zgadnąć! Mamy tu Polaka! Mudżahedina Polaka, wyobrażacie to sobie?! A na dodatek z Anglii! Ale ci panowie szlachta Polacy to dopiero popieprzeni są! Żeby z Anglii pchać się do tego piekielnego kra-

ju walczyć z nami? Jak oni muszą nas nienawidzić! A może wy też tu w tej sprawie? - Wprowadził gościa do izby. Blazow nie odpowiedział.

- Skromnie, ale da się wytrzymać. Po wojskowemu! - komendant usprawiedliwiał kwaterę. - Zawiadomimy was, kiedy Kliczkow skończy. Wielki fachura, wielki... - rzucił na odchodnym.

Andriej Blazow rozejrzał się po izbie - nawet czysto. Położył się na pryczy. Przespać to, przespać.

Obudziły go ciche jęki, rzeźenie raczej, które wypływało z izby przesłuchań i cichło w wąskich przejściach między domostwami. Spojrzał w okno - było już ciemno. A więc przespał kilka godzin.

Kliczkow, „Rzeźnik” Kliczkow - Blazow słyszał o nim i jego metodach. Ponura sława „Rzeźnika” sięgała najdalszych krańców Afganistanu, a i w Moskwie było o nim głośno. Ale nawet ci, którzy wiele przeżyli i wiele widzieli, wzdragali się, słysząc o nim

i jego podręcznej walizeczce. Dlatego myśl, że będzie musiał przesłuchiwać jeńców po wyczynach Kliczkowa, wywoływała w Blazowie obrzydzenie. Czy będzie jeszcze w ogóle kogo przesłuchać?

Wstał z pryczy, bez skutku spróbował rozprostować dłońmi pognieciony mundur, wyszedł przed chałupę. Wolnym krokiem mijał kolejne domostwa. Widział w oknach wątle światło lamp i żołnierzy grających w karty przy szklankach samogonu. Ich głośne śmiechy zagłuszały chwilami jęki z oddalonej o kilkadziesiąt metrów izby przesłuchań.

Podszedł bliżej. Może Kliczkow skończy wcześniej, jak mnie zobaczy? - pomyślał. Pchnął drzwi. Widok był tak straszny, że bolesny grymas wykręcił twarz Błażowa.

Na kamiennej podłodze przy oknie leżały na plecach dwa zakrwawione trupy. Dalej, przy ścianie, zobaczył dziewczynę,

była od połowy naga - miała może piętnaście lat. Jej nogi, szeroko rozłożone, przywiązano do pryczy. Z pochwy wystawała butelka po piwie. To ona rzeziła, teraz już cicho. Przerażający dźwięk wydobywał się gdzieś z głębi krtani.

Pośrodku izby na fotelu siedział mężczyzna. Jego twarz, zdeformowana biciem i zakrzepłą już miejscami krwią, nie zdradzała, ile ma lat. Chyba był młody i wysoki, bo nawet siedząc, głowę miał niewiele niżej niż stojący przy nim oprawca. Na lewej ręce tatuaż: kotwica Polski Walczącej - narodowa relikwia Polaków.

Gdy Blazow wszedł do izby, „Rzeźnik” trzymał właśnie w rozwartych nożycach do metalu palec wskazujący mężczyzny. Grzywka Kliczkowa, zaczesana na bok, lekko opadła mu na oczy. Zza drucianych, okrągłych okularów patrzył na nożyce i palec ofiary - wybierał miejsce do cięcia. Zgrzytnęły nożyce, mężczyzna zawył z bólu.

Kliczkow odwrócił głowę. - Proszę, proszę, kogo my tu widzimy? Kapitan Blazow z samego wywiadu! Wejdźcie, towarzyszu! Śmiało, śmiało! - Patrzył niechętnie na intruza. - Poznajcie się, to pan Polak Wolicki, z samego Londynu przyjechał, a taki mało rozmowny. Ale jeszcze porozmawiamy. - „Rzeźnik” uśmiechał się jadowniczo. - A tamta panna, niezbyt cnotliwa, jak widać, lubiła pomagać. Taka miejscowa matka Teresa... Też na razie nierozmowna. - Bawił się nożycami.

Dziewczyna rzeziła, po udach płynęła jej krew, skapywała z ramy pryczy na kamienie posadzki.

- Co was, towarzyszu, sprowadza? Pomóc chcecie? -
Stanął przed kapitanem. Nadal bawił się nożycami.

Blazow nie mógł się poruszyć: kipiały w nim gniew, wściekłość i obrzydzenie.

- Ej, chyba nie przyszliście pomóc, jaj nie macie -
„Rzeźnik” skrzywił się i odwrócił na pięcie. W ułamku sekundy, nagłym zamroczeniu, Blazow jedną ręką chwycił Kliczkowa od tyłu za szyję, drugą zasłonił mu usta. Jego ręka, zgięta w łokciu, miażdżyła krtań i kręgi szyjne „Rzeźnika”. Długo to trwało. Nogi Kliczkowa kopały powietrze, rękami próbował zwolnić żelazny uścisk Błażowa. Bez skutku. W końcu osłabł, przestał walczyć.

Blazow raz i drugi szarpnął jeszcze głową Kliczkowa do góry. Jego ciało zwiotczało i osunęło się na ziemię, gdy kapitan rozluźnił uścisk. Blazow pochylił się nad trupem, ujął głowę „Rzeźnika” w obie dłonie i gwałtownie przekręcił w bok, żeby skrócić kark. Dla pewności.

Potem przeciągnął zwłoki Kliczkowa pod okno i ułożył plecami na piersiach zakatowanego Afgańczyka. Rękę wieśniaka zgiął na szyi „Rzeźnika”. Z kieszeni jego munduru wyjął kluczyki do samochodu.

Szybko podszedł do dziewczyny. Usiadł na pryczy i delikatnie, powoli wyciągał z niej butelkę po piwie. A to gad! Założył kapsel!

Dziewczyna patrzyła na niego niemo. Czy go w ogóle widziała? Pomógł jej usiąść na pryczy. Delikatnie i szczerze okrył płaszczem Kliczkowa. Potem uwolnił mężczyznę - był słaby i oszołomiony. Beładnie rozglądał się po izbie, jakby szukał kawałka obciętego palca.

Blazow założył dziewczynie na głowę czapkę „Rzeźnika”. Swoją podał Polakowi, w dłoń włożył mu kluczyki od gazika. - Nie ma czasu - powiedział i lekko pchnął ich ku drzwiom. - Uciekajcie! Samochód jest przed domem.

Polak odwrócił się do Błazowa. Uważnie wpatrywał się w jego twarz, jakby ten widok chciał zachować na całe życie. - Nazywam się Wolicki, Andrzej Wolicki, zapamiętaj - powiedział po rosyjsku.

- Jedźcie już! - ponaglił ich po polsku Błazow. Polak spojrzał zdziwiony. Ruszyli z wysiłkiem do drzwi, zostawiając na kamieniach krwawe ślady stóp.

Zaterkotał silnik. Potem zapadła cisza. Długa cisza. Przejechali.

Rozdział 252.

Warszawa

Smród hamburgerów i hot dogów parujący z barów szybkiej obsługi był tak nieznośny, że Blazow musiał wstrzymać oddech i przyspieszyć kroku.

W przejściu podziemnym do stacji metra Centrum, zatłoczonym jak zwykle po południu, przechodnie mijali się z trudem. Niełatwo tu kogoś śledzić, ale równie trudno dostrzec, że się jest śledzonym. Pułkownik kilkakrotnie przystawał przed brudnymi szybami witryn, ale próżny trud! Nie zauważył nic podejrzanego. Na szczęście.

Zszedł na peron, wsiadł do wagonu. Przejechał kilka stacji. Wsiadł. Obserwował. Musiał być ostrożny.

Teraz czekał na stacji metra przy Szkole Głównej Handlowej - wiedział, że on tu zawsze wsiada, wracając z pracy. I choć wczoraj pułkownik czekał na próżno, był pewien, że prędzej czy później mężczyzna się pojawi: mieszka ledwie dwie stacje stąd - po co miałby jeździć autem?

Z wielkiego ściennego ekranu atakowały pasażerów migotliwe reklamy przerywane tekstami wiadomości.

...to najlepsza sieć komórkowa, rozmowy za darmo...

...tylko proszek zapewni ci śnieżną biel...

Błazow wpatrywał się w schody, czekając na mężczyznę. Prawie nie widział reklam. Nagle ekran przykuł jego uwagę:

Z ostatniej chwili: nowe rozdział w konflikcie prywatyzacyjnym. W południe kilkunastu związkowców z PPG wtargnęło do budynku Rady Ministrów. Okupują salę posiedzeń rządu. Domagają się zmiany zasad przydziału akcji pracowniczych. Związki zawodowe zapowiadają kolejne demonstracje. Z naszych źródeł dowiadujemy się, że premier analizuje sytuację i gotów jest ustąpić związkowcom.

Zegar wskazał godzinę 18.27. Wtedy zobaczył mężczyznę: wysoki, szpakowaty, w sportowej marynarce i koszulce polo schodził na peron. Bez pośpiechu podszedł do pociągu, który właśnie wjechał na stację. Zaczekał, aż wygoleni, hałaśliwi młodzieńcy, przepychając się i rechocząc, wysiądą na peron. Wsiadł do wagonu.

Błazow dyskretnie rozejrzał się po stacji. Wskoczył w ostatniej chwili. Drzwi się zamknęły. Jeszcze przez chwilę obserwował uciekający peron.

Pułkownik patrzył na mężczyznę przez szczeliny między głowami stłoczonych pasażerów. Tylko dwie stacje. Musiał się śpieszyć. Ruszył ku niemu, przeciskając się w tłoku. - Pan nie wysiada? Przepraszam! - powiedział. Mężczyzna spojrzał na niego przelotnie, ale naraz badawczo zatrzymał wzrok na twarzy Błazowa. Pociąg hamował przed stacją. Pułkownik zachwiał się, oparł o mężczyznę i wsunął mu kartkę do kieszeni marynarki.

Pasażer odprowadził go wzrokiem do drzwi.

Dział Z płytami zajmował całą dolną kondygnację sklepu. Blazow był punktualnie, choć nikogo by tu nie zdziwiło, gdyby dłuższy czas krążył między regałami.

Nie czekał długo. Po chwili pułkownik zauważył mężczyznę: stał przy półce z muzyką etniczną i czytał obwolutę płyty z pieśniami szamanów. Zsunięty nieco rękaw marynarki odsłonił fragment kotwicy wytatuowanej na przedramieniu.

Blazow odetchnął z ulgą. Na kartce, którą wsunął mu w metrze do kieszeni, napisał: *Kaszam Kala. Za godzinę w Trajficu. Dział z płytami*. Ale tak do końca nie był pewny, czy przyjdzie.

Mężczyzna podniósł głowę, uważnie spojrzął na pułkownika:

- Odnalazłeś mnie... - ni to spytał, ni stwierdził bez emocji.

- Powiedziałaś mi wtedy: „Andrzej Wolicki, zapamiętaj!”. Zapamiętałem.

Przez te wszystkie lata Blazow często myślał o Wolickim, wracało wspomnienie *Kaszam Kala*. Sam nie wiedział dlaczego. Może bezwiednie poprawiał sobie samopoczucie? Dyskretnie sprawdził Polaka w materiałach wywiadu: emigrant solidarnościowy, student, na własną rękę pojechał do Afganistanu. Na własną rękę? W to akurat wątpił. Byłby szaleńcem. Ale Polacy bywają szaleni.

Potem odszukał go raz jeszcze. Wiedział, że pracuje dla polskich służb specjalnych. Wiedział o nim w zasadzie wszystko...

- Skoro przyszedłeś do mnie, to znaczy, że wiesz, czym się zajmuję - Wolicki jakby czytał w jego myślach. - I ja wiem o tobie niemało. Z pewnością cię to nie dziwi. Uratowałeś mi w końcu życie. O takim człowieku się nie zapomina. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego to zrobiłeś.

Blazow wzruszył ramionami zgodnie z prawdą. Nie wiedział.

- Dlaczego ocaliłeś akuratnie mnie i tę dziewczynę? Zresztą nie przeżyła - wpadliśmy wtedy w zasadzkę. Uratowałeś kiedyś kogoś jeszcze?

- Nie.

Mężczyzna odłożył płytę z songami szamanów, wolno przebiegał wzrokiem po tytułach krążków ustawionych na półce, od czasu do czasu wysuwając jakieś pudełko.

- Z czym przychodzisz? - spytał po chwili.

- Może z interesem, może z prośbą, a może z jednym i drugim? - zaczął Blazow.

- Z interesem powiadasz... Tak, tak, świat się zmienił. Nie ma już ZSRR, nie ma „Solidarności”, nie ma ideałów: ani twoich, ani moich. Są interesy! Więc mów, proszę.

- Mam coś, co zainteresuje polskie służby. Dotyczy przemysłu gazowego.

- To wszystko? - spytał chłodno Wolicki.

- Na razie wszystko, będzie więcej. Będziecie zadowoleni. Warto.

Wolicki znów odłożył płytę na miejsce. Odwrócił się do Błazowa:

- Uratowałeś mnie wtedy, w Kaszama Kala. Mogę ci wierzyć, że teraz też grasz fair? - Czujnie spojrzał pułkownikowi w oczy.

- Inaczej bym do ciebie nie przyszedł. Nie do ciebie! - powiedział z naciskiem Blazow.

Wolicki skinął głową.

- A więc już wiemy, czego dotyczy interes. - Znow odwrócił się do regału z muzyką. - A cóż to za prośba? - spytał retorycznie. - Pozwól, że zgadnę. Pali ci się dupa... Nieprawdaż?

Pułkownik nie odpowiedział.

Wolicki też zamilkł. Jakaś kobieta, przeglądając regały z płytami, zbliżała się do nich powoli. Przeszli do kolejnego rzędu - z jazzem.

- Gdzie ci się ta dupa pali? W Moskwie? - spytał już żywiej Wolicki.

- Na Cyprze.

- To da się zrobić. Jestem twoim dłużnikiem, Blazow, a takiego długu nie można anulować. No chyba że się odplaci tym samym. Albo... wierzyciela zabije. - Odwrócił się do pułkownika i uśmiechnął. - Wracaj na Cypr, jutro cię odbierzemy - rzucił rozkazująco, wciąż jednak się uśmiechając.

- Na Cypr? Nie mogę wrócić. Tam też mnie zabiją!

- Doskonale wiesz, że nie możesz zniknąć w Warszawie - Wolicki nie krył irytacji. - Byłyby komplikacje. Dla nas! Ale nie martw się. Na lotnisku cię nie ruszą - za dużo ludzi. Weźmiesz taksówkę i pojedziesz prosto na bulwar Phinikoudes. Stamtąd cię odbierzemy. Białe volvo S60. Bądź tam o dwudziestej, punktualnie!

Wolicki odwrócił się na pięcie i bez słowa, nie patrząc nawet na swojego rozmówcę, ruszył do wyjścia. Blazow widział, jak kluczy między regałami. Nagle mężczyzna zawrócił. Ale nie podszedł już do pułkownika, sięgnął tylko po płytę z szamańskimi songami i skręcił do kasy.

Rozdział 25.

Larnaka, następnego dnia

Rozkład lotów jest do niczego. Blazow znów musi lecieć przez Ateny - tylko stamtąd ma kilka połączeń z państwem cypryjskich Greków. Ale i tak ląduje w Larnace za wcześnie: jeszcze półtorej godziny do spotkania! To nie jest bezpieczne!

Przez otwarte drzwi samolotu wdziera się wieczorne, ale nadal gorące powietrze. Tu, na lotnisku, jego cytrusowy zapach miesza się ze smrodem ropy i smarów.

Pułkownik dyskretnie obserwuje pasażerów: ubrani w kolorowe wakacyjne stroje w pośpiechu zbierają swoje bagaże i tłoczą się do wyjścia na schodki. Gdyby mogli, wyskoczyliby z samolotu wcześniej -wprost na plażę.

Blazow czeka. Chce być ostatni w autobusie. Na wszelki wypadek. Mijają go już ostatni podróżni. Wstaje więc szybko i wchodzi między nich - na schodkach będzie miał osłonę! Już jest na płycie lotniska. Słyszy głośne narzekania pasażerów: nie ma autobusu! Blazow stara się zachować spokój. Na Cyprze się zdarza, to nic nie znaczy - tłumaczy sobie.

Obsługa prowadzi ich w kierunku wejścia do hali. Teraz dopiero jestem na widelcu - irytuje się

- ale przecież Wolicki ma rację, na lotnisku mnie nie sprzątną.

Jest już w budynku. Musi uspokoić myśli. Przez krótką chwilę dał się ponieść panice. To nie była profesjonalna ostrożność, którą się szczycił - cecha prawdziwych fachowców.

Siada na ławce w sali bagażowej. Lepiej nie wychodzić, za dużo czasu zostało. Znów mieliby go na widelcu! Walizki krążą wkoło na taśmie jak wskazówki zegara. Powoli, bardzo powoli: czterdzieści minut, trzydzieści minut...

Zaczął się polowanie, ale to nie ja jestem myśliwym - ta myśl tłucze się po głowie Błazowa, od kiedy zjechał z gór Troodos. - Pokraczna forma reinkarnacji: w jednej chwili stałem się zwierzyną łowną i tak już pozostanie.

Od dawna czuł, że stracił duszę i nadzieję, że nie ma przyszłości. Teraz będzie na dodatek człowiekiem bez ojczyzny i bez tożsamości. Uciekinierem i zdrajcą. Ale czy jest czego żałować? - pytał rozpaczliwie samego siebie. Czy może znaleźć jakiś jasny punkt w swoim nędznym, pustym życiu? Nawet wtedy, w Wilnie, nie było go tam, gdzie być powinien. A potem tylko krew, zbrodnia i fałsz. Czy coś w jego życiu miało jakikolwiek sens? Może tylko ta jedna chwila w Kaszarnach Kala...

Patrzy na zegar: już czas! Wstaje spokojnie i rusza przez halę lotniska. Nie rozgląda się - to na nic, tylko zwróciłby na siebie uwagę. Na szczęście postój jest tuż za rogiem. - Na Phinikoudes, proszę! Taksówka rusza. Bulwar oddalony jest tylko o piętnaście minut jazdy. Niestety. Mógłby tak jechać i jechać... Już mijają słone jezioro.

Za przednią szybą taksówki majaczą neony centrum. Nie, nie wyjdzie od razu z taksówki. Zaczeka, aż zegar pokaże dokładnie dwudziestą! - pułkownik znowu jest profesjonalnie czujny.

Taksówka zwalnia, wjeżdżając na bulwar. Pułkownik każe kierowcy zatrzymać się za rogiem i czekać. Szofer złorzeczy długo po grecku, nie przestaje... Wreszcie wskazówka zegarka dochodzi do celu, zegar na wieży bije osiem razy. Blazow patrzy uważnie przez szybę, wysiada. Pełno ludzi - to dobrze.

Już widzi zbliżające się białe volvo. Kierowca zwalnia i otwiera szybę. To Wolicki: - Pakuj się szybko, do tyłu! - krzyczy, zagłuszając radio. Blazow otwiera drzwi auta, chce wskoczyć. W ułamku sekundy miga mu twarz człowieka na tylnym siedzeniu. Saszeńka?!

Nawet nie słyszy strzałów. Nagle uderzenie w pierś rzuca nim o ziemię. Widzi tylko przed sobą palmy na deptaku Phinikoudes i zarys starego meczetu Larnaki. Słyszy jeszcze oddalający się warkot samochodu, zgłuszony skocznym przebojem rosyjskiego boys-bandu. Żałosne pożegnanie.

Nagle czuje, że jego ciało unosi się do góry. Czyjeś ręce kładą go na jakimś twardym podłożu. Świadomość wraca powoli - to podłoga terenówki. - Nie zdążyliśmy - ktoś mówi. Trzy nieznajome twarze pochylają się nad nim. Słyszy głos: - Ma kamizelkę, rozcinaj!

Samochód rusza. Zanim z bulwaru skręci w głąb miasta, i dalej, na autostradę, Blazow zobaczy jeszcze w zatoce ognisty punkt wystrzelony z zacumowanego przy kei jachtu i białe volvo w płomieniach.

Rozdział 261.

Aszchabad, Turkmenistan

W Smukłych, wysokich na dziesięć metrów oknach pałacu prezydenta Turkmenistanu odbijało się pustynne słońce, oślepiając turystów, którzy w grupkach oglądali monumentalną budowlę.

Pałac niewiele różnił się od innych budynków Aszchabadu - miasta poprzecinanego szerokimi arteriami, zbudowanego na pustynnym, szarżółtym płaskowyżu, pozbawionym źdźbła trawy. Jak inne i ten gmach był wielki, rozłożysty, betonowy. Orientalne pochodzenie władzy zdradzały tylko kolumny na fasadzie i wschodnie ornamenty.

Za to prawdziwie królewski sznyt nadawała betonowemu gmachowi szeroka fosa oddzielająca pałac od bezkresnego placu, na którym teraz stały grupki turystów. No i jeszcze coś... Właśnie to coś, co w słoneczne popołudnie pokazywali sobie nawzajem turyści, mrużąc oczy i machając rękami z ożywieniem: była to nieproporcjonalnie wielka złota czapa kopuły, którą architekt, przepełniony szacunkiem, a może strachem, nałożył na łeb nowoczesnej jurty wschodniego satrapy.

Zegar słoneczny pośrodku placu prezydenckiego wskazywał godzinę czternastą. W tym samym czasie z tyłu pałacu otworzyły się ciężkie drzwi. Wyszła z nich kobieta w turkmeńskiej jasnozielonej sukni

i fioletowej chuście, która szczelnie osłaniała jej twarz od podbródka po czubek głowy. Pchała wózek dziecięcy. Dwadzieścia metrów za nią człapało dwóch spoconych ochroniarzy w czarnych garniturach.

Kobieta minęła szpaler krzewów, obficie zraszanych co noc, i ruszyła ku niepozornej furtce w kutym ogrodzeniu; za nim przebiegała droga zaopatrzenia pałacu. Kobieta kierowała się ku wielkiej fontannie zbudowanej pośrodku skweru okolonego rachitycznymi drzewami. Wytryskujący z niej wodny pył dawał jej i dziecku ochłodę w upalne popołudnia. Delikatnie popychała wózek, starając się nie słyszeć sprośnych dowcipów, którymi bawili się ochroniarze. Przeszła przez ulicę i skręciła w prawo, ku fontannie.

Ochroniarze byli w połowie szerokości ulicy, gdy fioletowa chusta na głowie kobiety zniknęła im za żółtą furgonetką ogrodnika zaparkowaną przy krawężniku. Kobieta nie usłyszała, gdy drzwi furgonetki rozsunęły się cicho, poczuła tylko tępy ból rozsadzający czaszkę. Jej ciało osuwało się na ziemię, przechylając niebezpiecznie wózek z dzieckiem. Jakieś silne ręce złapały go, zanim runął na bok, i wnieśli do auta. Inne silne ręce wciągnęły tam ciało kobiety.

Ochroniarze rechotali z dowcipu o blondynce. Gdy nieśpiesznie przeszli już przez ulicę i weszli na chodnik obok furgonetki ogrodnika, kobieta z wózkiem była kilkanaście metrów przed nimi. Przystanęła, poprawiała fioletową chustę. Ruszyła wolno w stronę fontanny, a oni za nią, wciąż dławiąc się od śmiechu ze starego dowcipu.

Furgonetka ogrodnika odjechała powoli.

Dziecko w wózku przy fontannie spało spokojnie. Po godzinie ochroniarz dał kobiecie znak do powrotu Tak jak było ustalone. Nie zareagowała. - Czas wracać - powiedział głośno, podniósł się z ławki powstrzymał gestem partnera i sam wolno ruszył w stronę wodotrysku oddalonego o kilkanaście metrów

Drugi mężczyzna został na ławce, ścierał pot z twarzy i patrzył na kobietę: ze spuszczoną głową siedziała na brzegu fontanny, nieruchomo jak kamień.

Gdy ochroniarz, który ruszył ku fontannie był już na tyle blisko, że poczuł na twarzy pierwsze krople wodnej mgiełki, kobieta nagle wstała, gwałtownym ruchem wyrwała dziecko z wózka i cisnęła nim w jego stronę. Zastygł z przerażenia. Instynktownie złapał dziecko, ale stracił równowagę. Zachwiał się i upadł na plecy, trzymając maleństwo w wyprostowanych rękach. .

Huknął strzał. Ochroniarz, który siedział na ławce nie zdążył nawet poderwać się na nogi ani wyciągnąć broni: trafiony w pierś skulił się i osunął na bok. Wtedy fałszywa piastunka podeszła do mężczyzny, który nadal leżał na ziemi, kurczowo trzymając ręce w górze, mimo iż wyczuł już, że ma w nich lalkę, nie dziecko. Ciężko oddychał. Spojrzała mu w oczy. - Żegnaj - powiedziała prawie szeptem. Wycelowała broń w głowę, tak jak ją uczono. I pociągnęła za spust.

Żółta furgonetka ogrodnika przejechała przez centrum Aszchabadu główną aleją. Za rogiem wcale nie skręciła w boczną drogę, jechała dalej szosą - w stronę słabo strzeżonej granicy z Iranem.

- To tylko trzydzieści kilometrów, za godzinę będziemy po drugiej stronie - powiedział kierowca. Tuż przed granicą skręcił jednak z szosy w prawo, ku oddalonym o zasięg wzroku opuszczonym zabudowaniom. Drugi mężczyzna, siedzący z tyłu furgonetki, wpatrywał się w dziecko - spało spokojnie w wygodnym wózku. Kobieta w wojskowej bluzie wstała na chwilę i odepchnęła nogą ciało martwej piastunki, które na zakręcie przesunęło się po podłodze w stronę wózka.

Auto poruszało się spokojnym, jednostajnym tempem, mimo to zostawiało za sobą chmurę pyłu na płaskowyżu równym jak stół. Po kwadransie samochód zwolnił jeszcze bardziej. Ledwie przecisnął się między dwoma kamiennymi kikutami, które kiedyś były bramą gospodarstwa, i wjechał na podwórze. Zardzewiała misa, która dostała się pod koło auta, wydała z siebie ostatni upiorny brzęk. Furgonetka zatrzymała się łagodnie w kącie dziedzińca. Wysiedli. Tylko krótką chwilę dali sobie na rozprostowanie mięśni stężonych wielogodzinnym napięciem. Śpieszyli się. Szybko podeszli do wrót jednego z zabudowań, mocno już podniszczonych przez czas i słońce. Ze środka dochodziły głosy wielbłądów.

Nagle chrząst starego, zardzewiałego rygla odsuwane go z wysiłkiem przez jednego z przybyszy zmieszał się z nagłym hukem wystrzałów, które padły niemal w jednej chwili. Ptaki siedzące na kamiennym murze zerwały się z krzykiem do lotu. Dwaj mężczyźni przed bramą bezwładnie padli twarzami na popękana ziemię. Tylko kobieta w wojskowej bluzie osunęła się na kolana. Z wysiłkiem i bólem na twarzy uniosła głowę: na dachu obórki dojrzała trzech snajperów w turkmeńskich czapach. Jeden ze strzelców, pewnie ten, który celował do niej

wcześniej, oderwał na chwilę wzrok od lunety karabinu, zaraz jednak przymierzył jeszcze raz. Odgłos wystrzału wypełnił podwórze. Kobieta przy drzwiach padła na twarz. Gdy echo przebrzmiało, strzelec podniósł się, przyklęknął na jedno kolano i wyjął magazynek z karabinu. W skupieniu przeliczył naboje raz i drugi.

- Przestań, do cholery - powiedział drugi snajper z wyrzutem, otrzepując spodnie z pyłu. - Przecież wiesz, że zużyłeś dwa. Zresztą o jeden za dużo. - Bierz wielbłądy i znikamy. Przewodniczka czeka.

Gdy na placu przed pałacem prezydenckim w Aszchabadzie turyści z kolejnej wycieczki pokazywali sobie z ożywieniem złotą czapkę pałacowej kopuły, czterech jeźdźców na wielbłądach przekraczało słabo strzeżoną granicę z Iranem. Jeden z nich w przytroczonym do wielbłąda koszu wiózł spore zawiniątko. Dziecko okryte kocem jeszcze spało.

- Dlaczego kazali nam jechać do granicy, zamiast zawrócić do Aszchabadu? - spytała przewodniczka, chowając pod męską czapką kosmyk rudych włosów, którymi szarpał pustylny wiatr.

- Taki rozkaz. Widocznie mała Biham jeszcze nam się na coś przyda - odpowiedział dowódca i ponaglił wielbłąda.

Dziewczyna spojrzała na dziecko niepewnie, a w głowie zabrzmiał jej głos jeszcze z dalekiej Warszawy: „Tylko nie dawaj mu jeść, bo jeszcze zatrujesz albo zadławisz. Nie bierz na ręce, bo upuścisz. A najlepiej w ogóle go nie dotykaj, *okay?*”.

Rozdział 267.

Warszawa

Zielone Sukno na stole konferencyjnym łatwo poddawało się dłoniom obsługi, która prostowała fałdy materiału. - Halohalo, lalalala - próby mikrofonów wypadły dobrze, rozstawiono też butelki z wodą mineralną, nie było już więc powodów, by zwlekać z rozpoczęciem konferencji prasowej premiera.

Miała się odbyć wczoraj, tę datę wpisano w zaproszenia, które rozesłano do wszystkich gazet i stacji telewizyjnych. Tematy „Prywatyzacja” i „Bezpieczeństwo energetyczne kraju”. Jednak dziennikarze, którzy przyszli do Urzędu Rady Ministrów licznie jak nigdy, pocałowali klamkę. Wiele sobie obiecywali po tej konferencji: od tygodni protesty uliczne paraliżowały stolicę, a już okupacja budynku rządu przez związkowych wásaczy - to była prawdziwa gratka!

Jednak ku wielkiemu rozczarowaniu żurnalistów konferencję prasową premiera przesunięto o dwa dni - z jakichś ważnych powodów. Z jakich? Nikt nie powiedział, co jeszcze bardziej rozdrażniło dziennikarzy, bo oni lubią wiedzieć i muszą wiedzieć. Za to im płacą i taka jest ich natura. Nie dali więc za wygraną i próbowali na wszelkie sposoby wyrwać tę tajemnicę z gardeł rządowych urzędników. A potrafią

to robić! Niektórzy po mistrzowsku! Sposoby mają i znajomości.

Wiadomo, człowiek jest istotą próżną i głodną sławy. Na pięciu-dziesięciu ludzi zawsze jeden taki się znajdzie. No a ilu szarych urzędników pracuje w ministerstwach i w kancelarii premiera, nawet licząc tylko tych na najwyższym szczeblu? No ilu? Wielu! Dlatego zawsze znajdzie się wśród nich taki, który coś prasie powie, choćby po to, żeby następnego dnia przeczytać w gazecie swoje słowa wypowiedziane oczywiście anonimowo.

Tak zawsze było i będzie. Dlatego powszechną frustrację wśród dziennikarskiej braci wywołało zbiorowe, twarde milczenie urzędników. Próbowali pojedynczo i w grupach, na wszelkie sposoby - i nic! Udało się jedynie ustalić, że premier odebrał jakiś ważny telefon, miał jakieś ważne spotkania. Ale to tyle, co kot napłakał! Nic więcej urzędasy nie chcą powiedzieć, nawet gdyby ich gorącym żelazem przypalać!

Dlatego teraz na konferencję prasową premiera dziennikarze przyszli jeszcze liczniej. Czekali stłoczeni przed drzwiami sali Urzędu Rady Ministrów, popatrując na siebie wilkiem: a nuż konkurencja coś jednak wie? Nie wiedziała.

Gdy tylko otworzono drzwi, wpadli do sali jak dzieci w zabawie „Kto nie siedzi, ten odpada”. I tak jednak musieli cierpliwie czekać, bo premier, w licznej urzędniczej obstawie, pojawił się z półgodzinnym opóźnieniem. Wyjątkowo nie miał marsa na twarzy. Można by rzec, że się nawet rozpogodził od czasu, gdy widzieli go ostatni raz na żywo, w urzędzie, ze związkowcami w tle, którzy ryczeli „Rotę”.

Rząd urzędników w ciemnych garniturach zasiadł za stołem konferencyjnym. Niektórzy z nich od razu chwycili za butelki z wodą mineralną.

- Proszę państwa, zaprosiłem tutaj pana przewodniczącego Wilka ze związku zawodowego PPG...

- Premier wychylił się nad blat stołu i spojrzał na wąsatego związkowca, który z niewyraźną miną siedział na skraju. Skinął mu głową.

Przez salę przeszedł szmer: - Ustąpił związkom...

- Dorzuci im akcji...

- Pan przewodniczący wykazał wiele dobrej woli

- mówił dalej premier. - Mieliśmy dobre, konstruktywne rozmowy. Dlatego porozumienie stało się możliwe. Negocjacje nabrały tempa szczególnie w ciągu ostatnich dwóch dni i nocy. Nasz kompromis z pewnością nie zadowoli wszystkich - tu znacząco przerwał. - Ale to jest droga, którą powinniśmy iść. Droga powściągliwości. Droga zaufania. Droga odpowiedzialności. Pan minister gospodarki przedstawi szczegóły porozumienia...

Minister gospodarki wyglądał na człowieka skołowanego lub niewyspanego. Albo jedno i drugie.

- W ramach zawartego porozumienia pracownicy PPG otrzymają dodatkową pulę akcji...

Sala zaszumiała znowu: - No i pękł... - A co miał zrobić?... Chce kupić sobie spokój!

- Jednak nie będą to akcje PPG - minister patrzył w notatki - lecz innych przedsiębiorstw państwowych, tak zwanych resztówek skarbu państwa: między innymi Fabryki Bombek i Ozdób Choinkowych z Tarnobrzega, Zakładu Uzdrowiskowego z Kudowy Czarny Bór oraz Fabryki Rowerów „Romek” z Przemyśla.

- Witamy nowych inwestorów! - Wyrwał się zza stołu konferencyjnego dyrektor fabryki bombek. - I życzymy sukcesów inwestycyjnych.

W sali zapadła cisza. Dziennikarze nie mogli ochłonać, więc premier mówił dalej:

- W sprawie bezpieczeństwa energetycznego mogę państwu przekazać z zadowoleniem, że rząd Turkmenistanu podjął decyzję o uczestniczeniu w budowie, wraz z państwami Unii Europejskiej, gazociągu Nabucco. Ogłoszono już pierwsze przetargi budowlane. Finansowanie projektu i późniejszą eksploatację gazociągu wzięło na siebie wielkie konsorcjum bankowe Credit United i Stern & Sons.

- Pozwólcie państwo, zanim przejdziemy do pytań, jeszcze słowo o następnych procesach prywatyzacyjnych - tu premier znów zwrócił się do ministra gospodarki. - Panie ministrze, proszę...

Minister znów spojrział w notatki.

- W ramach przetargu rozstrzygniętego w ostatnich dniach doradcą prywatyzacyjnym polskiego rządu będzie bank Stern & Sons. Jak państwo wiedzą, to doświadczony partner.

Rzecznik prasowy wstał. Rozglądał się po sali.

- Mamy czas tylko na jedno pytanie. Proszę... pani z telewizji Biznes Jutro...

- Niektóre przedsiębiorstwa rosyjskie wycofują się z inwestycji w Polsce. Dlaczego? Jak pan to skomentuje, panie premierze?

- Proszę pytać tych inwestorów, to są ich suwerenne decyzje.

Rozdział 271.

Moskwa

Kajdanowicz Stał przy oknie swojego gabinetu na Kremlu, bezmyślnie patrząc przez okno. Rzeka Moskwa nabrała już brunatno-szarej barwy, jak zawsze o tej porze roku. Zimny deszcz wystraszył ostatnich turystów i statek wycieczkowy smutno kolebał się przy nabrzeżu.

Na biurku już dłuższą chwilę dzwonił czerwony telefon, ale Kajdanowicz nawet się nie poruszył. Dzwonek umilkł.

To dobrze, że jesień przyszła tak wcześnie - pocieszał się. - Ceny gazu pójdą w górę. Już poszły o trzydzieści procent, nieźle. Budżet Rosji odetchnie trochę, z Ukrainą łatwiej będzie się rozprawić, a przynajmniej ją przycisnąć, jak co roku.

Skrzypnęły drzwi. W progu stanął zwalisty, krótko ostrzyżony mężczyzna w czarnej marynarce.

- Jest pan proszony...

Kajdanowicz odwrócił się, spojrzał na mężczyznę. Podobny do Saszeńki - pomyślał z niedowierzaniem.

Podszedł do biurka. Podniósł z blatu okulary. Powoli założył je na nos i pieczołowicie dopasował. Ruszył do wyjścia. Zwalisty kamerdyner przepuścił go w progu i zamknął za nim drzwi gabinetu.

Nowy Jork

Guzik uruchomił mechanizm. Ściana z mahoniowej boazerii przesunęła się, odsłaniając wielki telewizor. Drugi guzik włączył DVD. Na ekranie, jak każdego ranka, Gordon Gekko w filmie „Wall Street” przemawiał do akcjonariuszy spółki Teldar Paper:

Nie jesteśmy tu po to, aby ulegać fantazji, lecz by ocenić rzeczywistość ekonomiczną. Ameryka stała się mocarstwem drugiego rzędu. Jej deficyt handlowy i fiskalny osiągnął koszmarny rozmiar.

Nowe prawo ewolucji w Ameryce korporacyjnej zdaje się głosić przetrwanie najgorzej przystosowanych. Cóż, według mnie albo robicie to, co do was należy, albo zostajecie wyeliminowani.

Nie jestem niszczycielem - jestem wyzwolicielem! Chodzi o to, panie i panowie, że chciwość jest dobra. Chciwość przynosi rezultaty. Chciwość wyjaśnia, streszcza i wyraża esencję ducha ewolucji. Chciwość, we wszystkich swych postaciach - życia, pieniądza, miłości, wiedzy - popycha w górę rozwój ludzkości.

Prezes Robert Goldmine wyłączył telewizor i odwrócił się do komputera. Przebiegał kursorem rubryki zysków banku Stern & Sons.

Był zadowolony i spokojny. Spekulacje ropą - wiele zer, spekulacje gazem - nie mniej, walutami też nieźle. Na koniec roku będzie można wypłacić ludziom porządne premie. Zasłużyli.

W przyszłość też patrzył ze spokojem. Perspektywy rysowały się dobre. Szczególnie w Turkmenistanie, który wpuści do Europy dużo taniego gazu ruropociągami należącym do banku Stern & Sons. Na przesyłce też świetnie się zarabia! - myślał. - A w Polsce dobierzemy się do gazu łupkowego.

Zresztą już tam jesteśmy - mamy oddanych przyjaciół, zaufanych partnerów z koncesjami i know-how. To Ameryka przed laty odkryła dla świata ten gaz. Teraz zrobimy w Polsce nasz drugi Teksas! Czeka nas jeszcze sporo pracy. Ale damy radę. A i Polska na tym skorzysta.

Goldmine pamiętał, że rosyjska agresja w Gruzji zaczęła się w szczycie koniunktury, gdy ropa była po 140, a gaz po 13 dolarów. Zawsze gdy się bogacą, czują się bezkarni. Jeśli ceny paliw pójda do sufitu, znów zaczną wierzgać - myślał o Rosjanach bez sympatii. Zresztą sam wtedy też zarobił krocie.

Trzeba będzie ceny ropy i gazu trzymać krótko - planował. - Przez jakiś czas. A potem zobaczymy, kto da więcej.

Plaża gdzieś nad morzem

Ciepły wiatr kołysał lekko palmami, pochylając ich czubki raz ku spokojnym morskim falom, raz ku szerokiej plaży z brudnym i mocno zbitym piaskiem.

- Twardo! - poskarżyła się Joanna. - Nawet pupa nie zostawi śladu na piasku. Nie ma to jak u nas nad Bałtykiem... - Leżała na plecach i spoglądała w niebo. - Patrz, dziś są nawet ciemne chmury! Może będzie padać? Ciekawe, gdzie jest Blazow? - nagle zmieniła temat.

- Na sąsiedniej plaży, a może gdzieś na drugiej półkuli, któż to wie? - odpowiedział pytaniem Maks. Przyglądał się ochroniarzowi w opiętych szortach, który wsparł się na drewnianym ogrodzeniu kąpieliska i patrzył w morze. Ale ciacho! - pomyślał.

Nagle bolesny kuksaniec Joanny utkwiał mu głęboko pod zębem. - Nawet o tym nie myśl! - Joanna zapinała stanik. Wyraz jej twarzy nie wróżył niczego dobrego. - Zresztą, kochanie, nie myśl sobie, ja też mogę się porozglądać. To z pewnością nie jest bezludna wyspa...

- Czy jest tu jakiś mężczyzna?! - zawołała tylko trochę żartem, a jej głos poniósł się po plaży.

- Jesztem do usług, melduję szę! - Eagleman biegł w ich stronę, drobiąc po piasku krótkimi nogami i radośnie machając słomkowym kapeluszem.

Joanna machnęła tylko ręką. Ech...